

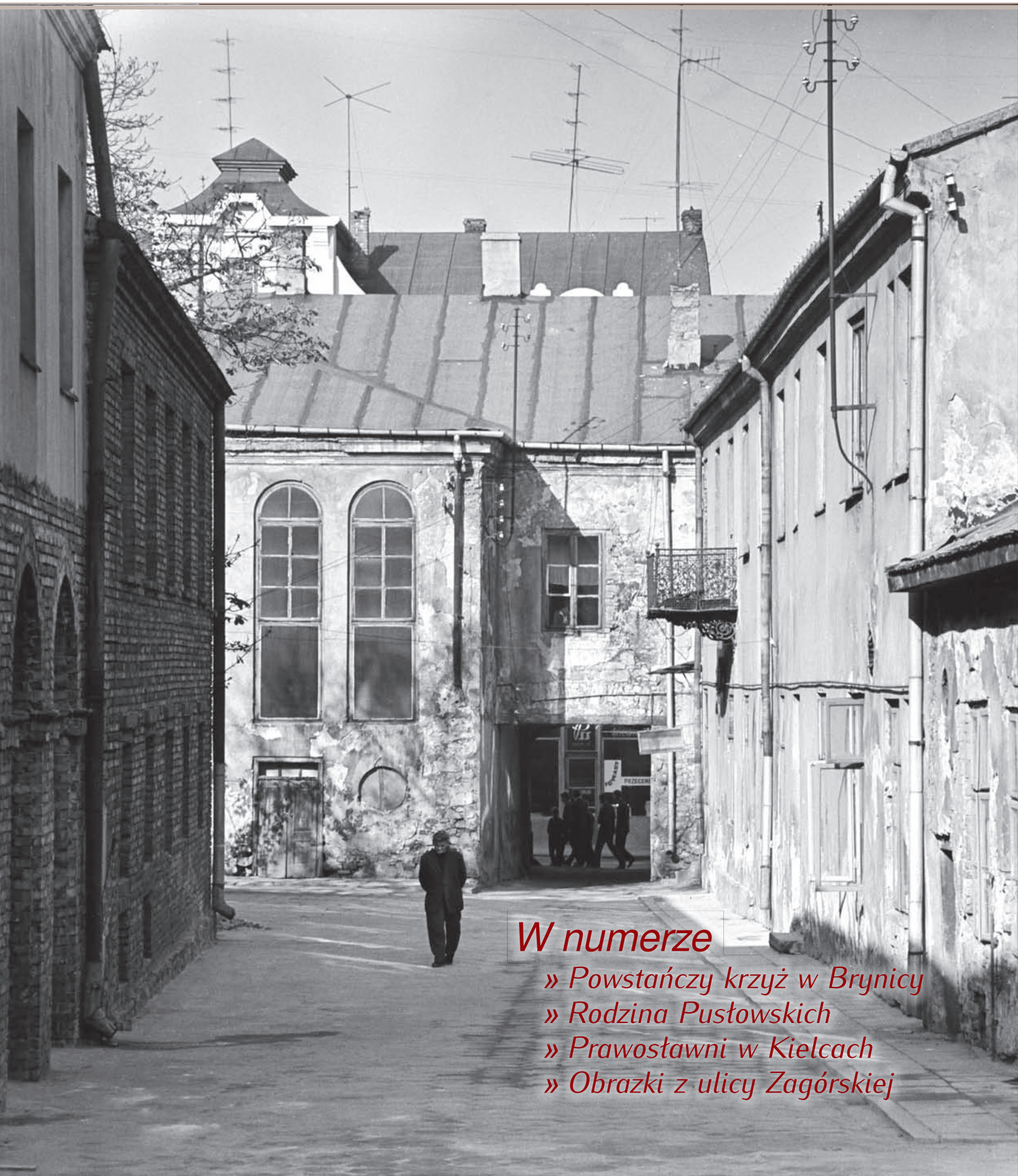
Świętokrzyskie

Środowisko ❖ Dziedzictwo kulturowe ❖ Edukacja regionalna

Kielce, sierpień 2013 r.

nr 11 (15)

ISSN 1895-2895



W numerze

- » Powstańczy krzyż w Brynicy*
- » Rodzina Pustowskich*
- » Prawosławni w Kielcach*
- » Obrazki z ulicy Zagórskiej*



WOJEWÓDZKA
BIBLIOTEKA
PUBLICZNA
IM. WITOLDA
GOMBROWICZA



więcej niż biblioteka



Swiętokrzyska Biblioteka Cyfrowa



<http://sbc.wbp.kielce.pl>



Spotkajmy się
na Przystani Kulturalnej!



Parnas

blog literacki

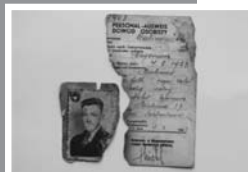
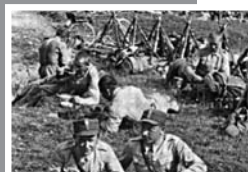
www.wirtualnyparnas.blogspot.com

www.wbp.kielce.pl



dołącz do nas na Facebooku

W numerze:



Seweryn Aleksander Wiśtock (1938–2013)	2
Rodzina Pustowskich	3
„Póki łańcuch niewoli karki wolnych krwawi” Polska żałoba narodowa 1861–1866	10
Mieszkańcy Buska w Powstaniu Styczniowym	15
Powstańczy krzyż	18
Obrazki z ulicy Zagórskiej	25
Poligon wojskowy 2 Dywizji Piechoty Legionów w Daleszycach w latach 1923–1939	31
Historia Stowarzyszenia Żołnierzy i Sympatyków 4 pułku w latach 1990 – 2009	37
Pomnik chwały – Grób Nieznanego Żołnierza	46
W 70-tą rocznicę wydarzeń... Pacyfikacja Michniowa we wspomnieniach rodziny Malinowskich	50
Prawosławni w Kielcach i ich cmentarz	54
Towarzysze Hilarego Mali	60
Konstytucja 3 Maja w XVIII – wiecznej kolekcji Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach	65
Wartości artystyczne wystroju kościołów na terenie Chęcin i okolicy	69
Moi wielcy Profesorowie we wspomnieniu i anegdocie	74
Książka w grze, czyli euro pisarzy	79
Mój Tata	88
Zapomniane historie... O produkcji granatów w Białogonie	91
Biblioteka w gminie – gmina w bibliotece	92
Refleksje po lekturze...	94
Jacek Małachowski kanclerz wielki koronny*	94
Bibliotekarz Roku 2012	96

Na okładce: S. 1 – Podwórko – przejście z ulicy Wesotej do ulicy Dużej. Budynek dawnego hotelu „Europa”, obecnie siedziba teatru dla dzieci „Kubuś”, rok 1960. S. 4 Park miejski. Fot. Janusz Buczkowski.

Wydawca

WOJEWÓDZKA
BIBLIOTEKA
PUBLICZNA
IM. WITOLDA
GOMBROWICZA



Dyrektor Andrzej Dąbrowski

25-033 Kielce
ul. ks. P. Ściegiennego 13
Tel. 41 344 70 74
fax: 41 344 59 21
sekretariat@wbp-kielce.pl
www.wbp.kielce.pl

Redakcja
Korekta
Skład
Nakład

Andrzej Dąbrowski
Jerzy Osiecki
Andrzej Dąbrowski
Jerzy Osiecki
Mariusz Stec
500 egz.

Druk Drukarnia Jawist 25-512 Kielce,
ul. Warszawska 209,
tel. 41 332 24 83
© Copyright by WBP
im. W. Gombrowicza w Kielcach
ISSN 1895-2895

Seweryn Aleksander Wistocki (1938–2013)

Dnia 6 lipca 2013 roku zmarł filolog polski, politolog, antropolog kultury, krytyk sztuki i pisarz Seweryn Aleksander Wistocki

Urodził się w 1938 roku. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim, politologię na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach oraz Studium Teatralne w Warszawie. W latach 1965–70 był liderem Grupy Twórczej UJ SZP „Sowizdrzał”. W latach 1985–93 pracował w Dziale Sztuki w Muzeum Śląskim. W 1993 roku współorganizował Europejską Konferencję Naukową „Etnologia wobec współczesności” w Katowicach.

Jego głównym zainteresowaniem była sztuka współczesna, w tym problematyka śląska sztuki nie elitarnej oraz badania nad internetycznym charakterem kultury śląskiej. Był autorem tekstów piosenek, fraszek i drobnych utworów satyrycznych oraz materiałów dotyczących współczesnej historii Polski. Ostatnio, będąc na emeryturze, współpracował z wieloma instytucjami i organizacjami twórczymi, m.in. z Instytutem Sztuki PAN, Państwowym Muzeum Etnograficznym i Muzeum Niepodległości w Warszawie, Muzeum Archidiecezjalnym, Muzeum Śląskim i Muzeum Historii Katowic, Zakładem Badań Narodowościowych PAN w Poznaniu, z Ośrodkiem Regionalizmu Świętokrzyskiego w Zagnańsku, Wojewódzką Biblioteką Publiczną w Kielcach. To wyliczenie jest miarą Jego aktywności i twórczych możliwości.

Napisał kilka książek, wydał album *Mistrz Teofil Ociepka*, a także ok. 450 tekstów naukowych, popularno-naukowych, esejów, które publikował m.in. w *Tygodniku Kulturalnym*, *Niepodległości i Pamięci*, *Rocie*, oraz *Gońcu Świętokrzyskim*. Był członkiem Polskiego Towarzystwa Etnologii Miasta w Warszawie. Uhonorowany został prestiżową Nagrodą im. Władysława Orkana.

Regularnie drukował i w naszym piśmie. Jako wszechstronnie wykształcony erudyta dzielił się z czytelnikami swą wiedzą, czyniąc to zawsze w sposób dowcipny i barwny. Jego bogata polszczyzna, chwilami była trochę niedzisiejsza, ale to dodawało tekstom uroku, ekspresji i precyzji. W ślad za Oskarem Kolbergiem i innymi lubił nazywać siebie nie używanym już słowem *ludozawca*, żałując, że słowo to wypadło z obiegu, chociaż ono najlepiej oddaje istotę zainteresowania antropologów. W wyrażaniu poglądów był bardzo wyrazisty i co dziś nieczęste – daleki od wszelkich poprawności: politycznej, obyczajowej, aksjologicznej. Po prostu zwykł sprawy nazywać po imieniu, prowokując i świadomie wywołując kontrowersje. Taki był i tak żył – zawsze w zgodzie ze swoimi przekonaniem. W numerze, który dajemy Państwu dziś do czytania, tekst Pana Seweryna będzie ostatnim. Więcej niczego już nie napisze.

Jego charakterystyczną, nieco sarmacką sylwetkę zapamiętamy na zawsze, a naszemu o Nim wspomnieniu towarzyszyć będzie głęboki szacunek i podziw. Lubiliśmy Go serdecznie. Bardzo też ceniliśmy jego pozytywne uwagi na temat naszego pisma *Świętokrzyskie*. Zapewne były one szczere, skoro wciąż dostarczał nam nowe teksty... Jesteśmy głęboko zasmuceni, pisząc o Panu Sewerynie w czasie przeszłym.

Redakcja

Errata do numeru 10 (14) wydawnictwa *Świętokrzyskie*.

Na s. 56 w tekście P. Profesor Urszuli Oettingen *Wieś na Ponidziu wiosną 1915 roku* zamiast zdjęcia przedstawiającego kościół w Mierzwinie zamieściliśmy fotografię kolegiaty w Opatowie. Za pomyłkę przepraszamy Czytelników, a szczególnie Autorkę artykułu.

Kościół w Mierzwinie, stan obecny. Fot. Jerzy Osiecki.



Rodzina Pustowskich

Dr hab. prof. UJK Urszula Oettingen

Czarkowy są położone nad Nidą, niedaleko jej ujścia do Wisły, w okolicy Nowego Korczyna. W XVII w. stanowiły silny ośrodek działalności braci polskich. W tym czasie ich właścicielami byli wyznawcy arianizmu Moskorzewscy, a po wygnaniu arian z Polski, od 1661 r. Morsztynowie. W drugiej połowie XVIII w. Czarkowy należały do Joachima Morsztyna i stały się główną siedzibą tej rodziny. Z jego inicjatywy został wybudowany pałac o cechach rokokowych i klasycystycznych, który przejęli po nim Pustowscy.

Miejscowość po trzecim rozbiore państwa polskiego znalazła się na obszarze zaboru austriackiego, zaś po 1815 r. – rosyjskiego. Jej lokalizacja tuż przy granicy z Austro-Węgrami, w południowej części Królestwa Polskiego miała znaczny wpływ na losy przyszłych właścicieli i ich silne związki z Galicją, a zwłaszcza Krakowem.

Czarkowskie dobra w 1808 r. odziedziczyła jedna z dwóch córek Joachima Morsztyna, Maria, żona Karola

Steckiego, a po jego śmierci gen. Karola Kniaziewiczza (1762–1842). W 1819 r. nadnidziańskie włości znalazły się w rękach córki Marii z pierwszego małżeństwa Aleksandry (1796–1864), która poślubiła napoleońskiego generała Michała Hieronima Radziwiłła.

W marcu 1849 r. ziemie te nabył od ostatniej właścicielki Władysław Pustowski (1801–1859). Sprawy własnościowe dóbr ziemskich Czarkowy uregulowane zostały w trzech oddzielnych księgach wieczystych: Czarkowy, Opatrzność Boska i Krzczonów.

Pustowscy pochodzili z Litwy i tu posiadali swoje główne włości. Władysław był jednym z pięciu synów Wojciecha (1762–1833) i Józefy z Druckich-Lubeckich (1776–1830). Wojciech Pustowski, poseł na Sejm Czteroletni, wielokrotnie wybierany na marszałka szlachty powiatu stonimskiego, pomnożył bogactwa i utrwalił wysoki status towarzyski i majątkowy tej gałęzi rodziny. Władysław odziedziczył po nim większość dóbr w guberniach: wileńskiej, mińskiej,



Pałac w Czarkowach, rys. Józef Mehoffer. Ze zb. Muzeum Narodowego w Krakowie.

kowieńskiej i grodzieńskiej z główną siedzibą w Albertynie, i również umiejętność prowadzenia spraw gospodarczych. Kiedy był właścicielem Czarków, zajmował się swoimi włościami na Litwie, jeździł do Francji, gdzie posiadał winnice w Margaux. W Czarkowach bywał prawdopodobnie sporadycznie i z daleka poprzez administratorów obserwował życie nadnidziańskiej posiadłości, nie przejawiając jednak większej aktywności w zakresie przywrócenia do działalności, kupionej wraz z dobrami ziemskimi, kopalni siarki „Opatrzność Boska”.

Władysław Pustowski zmarł w Warszawie w 1859 r. pozostawiając z małżeństwa z Genowefą z księżąt Druckich-Lubeckich dwóch nieletnich synów: Władysława Franciszka (1847–1908) i Zygmunta Władysława (1848–1913). W tym czasie w skład dóbr Czarkowy Wielkie wchodziły folwarki w Czarkowach, Krzczonowie, Sokolinie, Szczytnikach, Piasku Wielkim, Smogorzowie oraz czternaście wsi. Ogółem powierzchnia dóbr wynosiła 10 884 morgi, w tym w użytkowaniu włościan znajdowało się 3 917 morgów zaś probostw w Piasku i Sokolinie 294 morgi.

O charakterze posiadłości świadczyła nie tylko jej powierzchnia, która w stosunku do innych majątków ziemiańskich była duża i plasowała właścicieli w grupie najbogatszych ziemian guberni radomskiej, ale też zakłady działające na terenie dóbr. Były to trzy gorzelnie, „browar piwny”, dwanaście karczem, trzy młyny wodne, cegielnia, „wapielnia”, kopalnia gipsu „na swoje potrzeby i na sprzedaż”, kopalnia „kamienia siarkowego i wapiennego”, kopalnia torfu przy folwarku w Szczytnikach oraz kopalnia siarki („fabryka siarczana”) w Czarkowach – nieczynna z powodu zalania szybów kopalnianych wodą, dwa spichrze nad Wisłą niedaleko Nowego Korczyna”.

Genowefa Pustowska po śmierci męża wyjechała z synami na Zachód, gdzie przebywała głównie w Rzymie i w Paryżu. Dopiero w 1870 r., po powrocie z zagranicy, bracia podzielili się spadkiem. Zygmuntowi przypadła m.in. część dóbr na Litwie oraz nadnidziańskie włości wraz z Czarkowami. Od tego czasu przebywał coraz częściej w Krakowie, co zbliżyło go też do Czarków, które stały się ważnym miejscem zamieszkania jego rodziny. O takim podziale spadku, zwłaszcza przejęciu czarkowskiego klucza zdecydował na pewno fakt zawarcia w tym roku związku małżeńskiego z Marią Moszyńską (1845–1926), której rodzina mieszkła w Krakowie.

Warto dokładnie wymienić posiadłości, których właścicielem stał się Zygmunt co umocniło jego pozycję w arystokratyczno-ziemiańskich kręgach. Oprócz dóbr Czarkowy położonych w guberni kieleckiej, otrzymał fabrykę papieru wileńsko-kuczkuryską, folwark Kuczkuryski, las Jazowo, dobra Tauroginy i Syrwidze w guberni kowieńskiej z miasteczkiem Tauroginy, majątek Chomsk z miasteczkiem o tej samej nazwie w guberni grodzieńskiej i dom w Warszawie

na Nowym Świecie. Spadek wyceniono na 671 814 rubli. Podobną wartość posiadał majątek, który znalazł się w rękach jego brata. Uzyskał on dobra na Litwie m. in. z fabryką wyrobów sukiennych w Albertynie oraz posiadłością Pieski – od połowy XVII w. gniazdo rodowe Pustowskich, w Warszawie część Hotelu Europejskiego. Wspólną własnością braci pozostały dobra Telechany z Plantą w guberni mińskiej, „Kopalnia z zakładami siarkowymi w Czarkowach z należącymi do tych zakładów budowlami, maszynami, funduszami dotąd wyłożonymi na zakład”.



Grobowiec rodziny Pustowskich na cmentarzu parafialnym w Starym Korczynie. Fot. autorka.

Otrzymane dobra bracia Pustowscy podzielili między sobą po reformie agrarnej przeprowadzonej w Cesarstwie Rosyjskim i Królestwie. Jej efekty rzutowały w późniejszych latach na sytuację wielkiej własności ziemskiej, szczególnie w zakresie nieuregulowanych serwitutów, szachownic pól, wspólnot gruntowych. W szerszym kontekście tłem dla problemów o charakterze gospodarczym był stały proces powiększanie areatu własności chłopskiej w stosunku do folwarcznej.

Zygmunt Pustowski był kosmopolitą o rozległych zainteresowaniach głównie humanistycznych. Pasjonował się historią, literaturą i sztuką. Zajmował się genealogią swojej rodziny. Zastępował jako koneser, mecenas, kolekcjoner i bibliofil. Gromadził książki, dokumenty, rękopisy i starodruki, meble, makaty, gobeliny, dywany, kolekcje porcelany, srebra, szkła, obrazy, rzeźby, drobne sprzęty i bibeloty. Rzeczy te sprowadzał z różnych ośrodków: Paryża, Wiednia, Warszawy, Krakowa. Umieszczał je w czarkowskim pałacu i w zakupionym w 1885 r. oraz przebudowanym w stylu „willi renesansowej” domu w Krakowie. W ten sposób obie rezydencje poprzez wystrój wnętrz nabrały charakteru muzeów. Zamawiał również dzieła sztuki u wybitnych współczesnych artystów m.in. Jana Matejki, Jacka Malczewskiego, Olgi Boznańskiej, Jana Stanisławskiego, Józefa Mehoffera. Niektóre obrazy i rzeźby uwieczniały członków jego rodziny.

Po podziale majątku świeżo poślubieni Pustowscy nadal wiele podróżowali, jednak coraz częściej wracali do Krakowa. Tutaj zatrzymywali się w domu ojca

Marii – Piotra Moszyńskiego (1800–1879). Pomimo licznych wyjazdów Zygmunt zajął się pałacem w Czarkowach. Na tej decyzji zaważyło malownicze położenie rezydencji na wzgórzu górującym nad okolicą, z płynącą poniżej Nidą oraz bliskość Krakowa, gdzie mieszkała liczna rodzina i przyjaciele.

Czarkowy położone w pobliżu Wisty, regionie naznaczonym historią zrywów narodowowyzwoleńczych, licznymi zabytkami mogły budzić patriotyczne skojarzenia. Z drugiej strony wychodziło to na przeciw rodzinnej tradycji przywiązania do kraju i jego historii. Wpływ na taką atmosferę miał udział członków rodzin małżonków w patriotycznych spiskach, Powstaniu Listopadowym i Styczniowym. Szczególnie postać teścia Zygmunta, Piotra Moszyńskiego – sybirskiego zesańca wywierała wpływ na panujący w Czarkowach nastrój i kultywowanie wartości narodowych. Zygmunt wychowany na zachodzie poprzez swój ekstrawagancki styl życia, otwartość na świat, uchodził za kosmopolitę. Jako intelektualista nie angażował się w działalność polityczną, jednak z zachowanych przekazów wynika, że miał poglądy konserwatywne zbliżone do osób z kręgu krakowskiego „Czasu”.

W latach 1871–1873 przeprowadzono generalny remont pałacu. Kolejnym etapem było urządzenie jego wnętrza. Ostateczne zamieszkanie Pustowskich w czarkowskiej rezydencji nastąpiło około połowy lat siedemdziesiątych XX w. Z zachowanych źródeł wynika, że stała się ona na kilkanaście lat głównym miejscem pobytu rodziny. Dom w Krakowie, tuż przy Plantach (obecnie ul. Westerplatte 10) zaczął pełnić tę funkcję dopiero w końcu lat osiemdziesiątych XIX w.

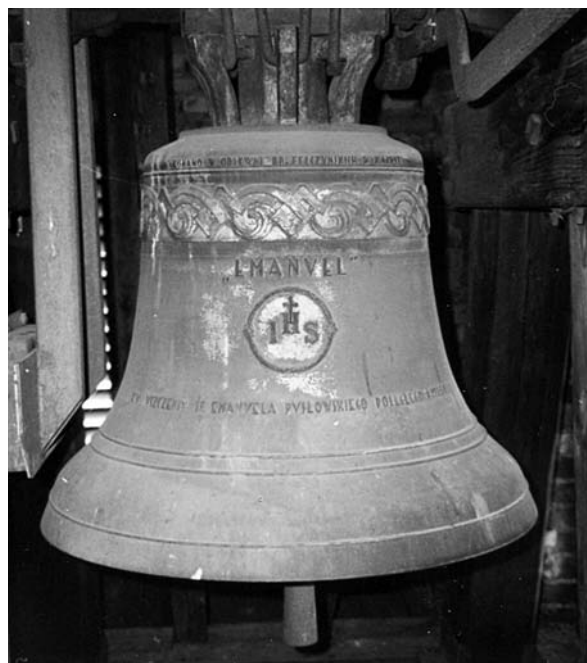
Właściciel zadbał również o wygląd zewnętrzny budowli m.in. umieszczając na głównej fasadzie tarcze herbowe Pustowskich, Lubeckich, Moszyńskich i Malinowskich, podkreślające związki rodowe jej mieszkańców. Zajął się również otoczeniem pałacu. Sprowadził z Krakowa wybitnego ogrodnika Jana Rounerta, który uporządkował park i urozmaicił go okazami rzadkich drzew, wniósł również w regularne osiemnastowieczne założenie akcenty krajobrazowych brył zieleni.

Zygmunt i Maria mieli czworo synów: Stanisława zmarłego we wczesnym dzieciństwie, Emanuela (1871–1915), Ksawerego (1875–1968) i Włodzimierza (1877–1899). Najstarszy z braci był z wykształcenia i zamiłowania matematykiem, nauki pobierał w Paryżu i Zurychu. Ksawery studiował prawo, filozofię, historię sztuki. Był również poetą-lirykiem czerpiącym wiele z otaczającej go natury (m.in. w 1910 r. ukazał się tomik „Dożynki w Czarkowach”).

Zygmunt Pustowski w swoim życiu kierował się głównie potrzebą rozwoju intelektualnego. Nie posiadał umiejętności prowadzenia spraw gospodarczych, którymi zresztą interesował się w małym stopniu. Dlatego jego majątkiem zajmowali się administratorzy i oficjaliści. Większą inwencję w tym zakresie przejawiał jego syn Emanuel, któremu ojciec powierzył na początku XX w.

prowadzenie czarkowskich włości. Sam usunął się w cień obcując z zabytkami, literaturą i szukając spokoju, chociaż czasami ponosiła go fantazja w realizowaniu różnych pomysłów. Jego żona Maria pilnowała spraw domowych i podtrzymywała wraz z synami rodzinną i gościnną atmosferę Czarkowach. W przeciwieństwie do męża była osobą bardzo wyciszoną na czym zaważyły jej przeżycia w młodym wieku – poważna choroba nerwowa matki Anny z Malinowskich, śmierć pierwszego narzeczonego Juliusza Tarnowskiego (1840–1863) poległego w Powstaniu Styczniowym i samobójstwo najmłodszego syna Włodzimierza, odbywającego służbę wojskową w Staszowie. Była osobą głęboko religijną o poglądach podbudowanych idealizmem i romantyzmem. Wyrażało się to stosunkiem do okolicznych włości, którym pomagała, służyła radą, prowadziła z nimi wspólne modlitwy. Uzdolniona literacko, w tym kierunku popierała zainteresowania syna Ksawerego.

Pustowsky byli rodziną, których styl życia plasował w kręgu arystokratyczno-ziemiańskiej inteligencji. W końcu XIX i na początku XX w. Czarkowy stały się znaczącym ośrodkiem życia kulturalnego. Prym w towarzystwie wiodli dwaj synowie oraz przebywający tu często, syn siostry Marii Pustowskiej, Karol Hubert Rostworowski (1877–1938) – dramaturg, poeta, muzyk. W nadnidziańskiej rezydencji panowała młodopolska atmosfera. Z Krakowa przyjeżdżali zaprzyjaźnieni malarze, rzeźbiarze, muzycy, poeci, historycy, dziennikarze. Prowadzono rozmowy dotyczące aktualnych spraw politycznych, społecznych i kulturalnych. Tu rodziły się, dojrzewały i były realizowane dzieła z zakresu sztuki i literatury. Tutaj powstał dramat Rostworowskiego *Pod Górę*,



Dzwon Emanuel, poświęcony pamięci E. Pustowskiego. Fot. autorka.

w którym postaci i ziemiański dwór wzorowane były na czarkowskich realiach.

Nastrój posiadłości potęgował wiejski krajobraz, z leżącymi poniżej pałacu pokrytymi strzechą chałupami, leniwie płynącą Nidą, zagonami upraw, bagnistymi łąkami, kręcącymi się po swoich obejściach włościanami, i zwierzętami domowymi. Spokojna okolica, gdzie życie wyznaczały głównie pory roku, oddziaływała również na wizerunek bezpośredniego otoczenia rezydencji. Aleję wjazdową zamykał płot zamocowany na drewnianym słupie zwieńczonym rzeźbą anioła. Furmani i służący ubierali się w krakowskie stroje, jeżdżono wozami drabiniastymi. Na dachu jednej z oficyn i u dołu tarasu założono gniazda bocianie. Spacerowano po ogrodzie, pływano łódkami po Nidzie, „puszczano wianki”. W znaczeniu modernistycznym było to zewnętrzna oznaką związku dworu ze wsią. W 1910 r. usypano z inicjatywy Emanuela, na granicy majątku, kopiec upamiętniający 500 rocznicę bitwy pod Grunwaldem. Wszystkie te materialne elementy oraz styl bycia mieszkańców stanowiły odzwierciedlenie nowych prądów artystycznych, w tym modnego symbolizmu.

W 1913 r. Józef Mehoffer wykonał rysunki ołówkiem obydwóch fasad pałacu w Czarkowach. Wśród niewielu zachowanych źródeł przedstawiających obiekt, te chyba najpełniej odbijają jego charakter. Pokazany „z oddechem”, doskonale współgra z otaczającą go przyrodą. Budowla trwa jakby w oczekiwaniu na to, co stało się faktem później – jej spalenie w pierwszym roku Wielkiej Wojny. Na podstawie zachowanych materiałów pisanych i ikonograficznych można odtworzyć wygląd rezydencji, który właściwie nie zmienił się od czasu jej budowy. Do pałacu wiodła długa i prosta aleja lipowa, przy końcu której widniała szeroka brama z bocznymi wejściami między czterema słupami. Za nią widoczny był gazon, a dalej front piętrowego pałacu, o wyraznie rokokowej dekoracji. Budynek nakrywał gontowy mansardowy dach z owalnymi lukarnami. W części środkowej dominował ryzalit z attyką górującą ponad dachem. Wieńczyły ją wazon i kartusz z herbem Morsztynów – Leliwa.

Elewacja od strony ogrodu miała charakter bardziej klasycystyczny. Środkowa część była zwieńczona trójkątnym tympanonem i kartuszem herbowym. Boczne ryzality nadawały harmonijny, trójdzielny wygląd fasadzie. Z tej strony taras pałacu otoczony był żywopłotem. Za nim znajdował się duży trawnik ograniczony kamiennym murem. Dalej zaś skarpa opadająca w kierunku wsi i widocznej z daleka Nidy. Przy rezydencji, od południa, znajdował się ogród ozdobny, z drugiej strony zabudowania gospodarcze.

O Czarkowach, panującej tu atmosferze i okolicy z uznaniem wypowiadali się odwiedzający to miejsce. Rodzinie Pustowskich sporo słów poświęcił Wacław Lednicki (1891–1967), bystry obserwator towarzyskiego życia arystokratyczno-ziemiańskich kręgów, w których z racji swojego nazwiska i pozycji

spoteczno-politycznej ojca Aleksandra (1866–1934), jako młody człowiek przebywał.

Wspominał o Zygmuncie Pustowskim, jego ekscentrycznych pomysłach, które zaskakiwały, ale nie były odbierane źle, urozmaicając życie elit. O Emanuelu, którego nazywano Nelem, wyrażał się z uznaniem. W przeciwieństwie do brata Ksawerego (Sawy) nie prowadził on ożywionego życia towarzyskiego, gospodarował w Czarkowach i starał się doprowadzić majątek do dobrego stanu po rozrzutnej i niekiedy ryzykanckiej działalności ojca. W Krakowie bywał zwykle dla załatwienia interesów i tylko czasami wstępował na czwartkowe obiady w resursie. Posiadał reputację bardzo wykształconego i inteligentnego człowieka, ale zarazem „ideowego ryzykanta”. Będąc oficerem austriackiej rezerwy udał się w czasie wojny rosyjsko-japońskiej do Japonii, aby walczyć przeciwko Rosji. Jej upadek uważał za najważniejszy warunek do osiągnięcia niepodległości Polski.

Refleksje Lednickiego na temat czarkowskiej rezydencji pochodzą z czerwca 1911 r., kiedy odwiedził majątek na zaproszenie Ksawerego. Na stacji kolejowej przy granicy czekała na niego bryczka przyozdobiona w „chomąty krakowskie”. Furman ubrany był w kolorową sukmanę i konfederatkę z pawimi piórami. Jak się okazało cała służba, a niekiedy i sam Zygmunt Pustowski chodzili tak ubrani. Wielkie wrażenie zrobił na nim pałacowy ogród, grupy kasztanów i lip, główna prosta aleja, regularne założenie centrum posiadłości. Pisał: *Skoro wjechaliśmy do dworu, spostrzegłem rzeczywiście bardzo piękny pałac francuski z wysokimi oknami i drzwiami na parterze i owalnymi oknami pierwszego piętra. Pałac obramowały z obu stron wspaniałe grupy wielkich drzew, które półkołem otaczały go również z tyłu. Byłem oczarowany.*

W dniu przyjazdu na schodach ganku przywitał go *stary pan Pustowski, w okularach, z siwą brodą, w białych spodniach i czarnej alpakowej marynarce*. Potem prowadzony przez Ksawerego, który uprzedził gościa, że ujrzy za chwilę najpiękniejszą część Czarkowych, udał się do jego matki. Po wymianie kilku słów z panią Pustowską, wyszywającą ornat dla miejscowego proboszcza, zobaczył widok, który wywarł na nim niezapomniane wrażenie – *Ogród obramowany owymi wielkimi masami starych kasztanów i lip, schodził tarasami w dół. Tu dopiero zrozumiałem, że pałac stał na wzgórzu; w oddali, wciąż jakby w ramie tych dwóch zielonych murów, wita się Nida, a za nią rozciągnięta się szachownica pól, zaś na horyzoncie widniały liczne kościoły – jak się dowiedziałem budowane przez Łokietka i Kazimierza Wielkiego.*

Ze stylu życia domowników, sposobu przestrzegania dobrych manier, czasami może zbyt wykwintnych, podszytych specyficznym humorem albo wyważoną ironią, lecz nie pretensjonalnych, swobody zachowań w granicach dobrego smaku, wynika, że tu był prawdziwy dom Pustowskich. Odpowiadał im otwarty,

spokojny, harmonijnie ukształtowany wiejski krajobraz. Było to miejsce odpoczynku od krakowskiego zgiełku, chociaż i tutaj często przebywali goście, ale ich obecność nie była męcząca. Nikogo nie dziwiły zachowania pana Zygmunta, powaga Emanuela, elokwencja i towarzyskość Ksawerego.

O działalności i dochodowości dóbr należących do Zygmunta mówią zestawienia o charakterze finansowym z podziałem na trzy grupy. Kryterium stanowiło położenie geograficzne majątności. Osobno rozpatrywano rochód i przychód domu w Krakowie, włości i zakładów na Litwie oraz Czarkowych. W ostatecznym zestawieniu wyliczono, że główny dochód pochodzi z Czarkowych, potem Litwy; do Krakowa zaś trzeba „dokładać”. W tym ostatnim wypadku jedyną kwotą przychodu był czynsz roczny, prawdopodobnie za wynajęcie części pomieszczeń.

W tym czasie zarząd dóbr Czarkowy znajdował się w Krzczonowie. Czuwał on nad czterema folwarkami: w Czarkowach, Krzczonowie, Sokolinie, Szczytnikach. Dzięki analizie materiałów źródłowych można pokusić się o stwierdzenie o dobrym prowadzeniu gospodarki w dobrach czarkowskich. W zakresie produkcji rolnej widać przejście, obok głównej produkcji zbożowej, do nowoczesnej struktury upraw, tzn. roślin okopowych i pastewnych, a także ich zróżnicowanie. To dawało możliwość reagowania na zmieniające się potrzeby rynku. Dążono do modernizacji majątku, co przejawiało się w jego mechanizacji i stosowaniu nawozów sztucznych. O wielkości produkcji decydowały coraz bardziej nakład kapitału i dostępność siły roboczej, a nie wielkość powierzchni użytkowej. Nierentowne obszary rolne były wyłęczane z produkcji lub zalesiane. Na dochodowość majątku wpływ miały czynniki natury

zewnątrznej o charakterze ekonomiczno-politycznym. Od połowy lat dziewięćdziesiątych XIX w. do I wojny światowej panowała względnie pomyślna koniunktura rolna i powolny wzrost opłacalności produkcji zbożowej.

Znacznym obciążeniem dla ziemskiej własności były podatki. Na początku XX w. musiano płacić podatek gruntowy główny i dodatkowy, podymny główny i dodatkowy, drogowy, ogniowy, transportowy; podatki gminne. W ciągu 1905 roku z dóbr Czarkowy należało zapłacić 2 604 rubli, w tym podatki gruntowe wynoszące prawie 1150 rubli.

Kopalnia siarki „Opatrzność Boska” w Czarkowach była wspólną własnością Zygmunta i jego i brata. Wiążąc z nią duże nadzieje i ambicje, postanowili oni po dwudziestoletniej przerwie uruchomić ją na nowo, wykorzystując do tego siły fachowe oraz okolicznych chłopów jako robotników. W 1869 r. zaangażowali do prowadzenia i organizowania pracy w fabryce Jana Hempla, który wspólnie z angielskim konstruktorem Thomasem wybudował w Czarkowach nowoczesną hutę. Pomimo zaangażowania poważnych środków finansowych, wprowadzenia nowych rozwiązań technicznych, w 1885 r. zakład zawiesił działalność. Jego istnienie należy rozpatrywać w kategoriach ekonomicznych, kulturowych i patriotycznych. Nie zabrakło tutaj też elementów romantyzmu i przywiązania do „rodzinnego” przedsiębiorstwa. Świadczy o tym fakt nadania kopalnianym szybom nazw będących imionami członków rodziny.

Pustowscy stali się pionierami przemysłu na terenie właściwie go pozbawionym. Wcielali w ten sposób idee pozytywistyczne – gospodarczego rozwoju „nieistniejącego państwa”. Chłopi jako górnicy w kopalni i pracownicy w hucie mieli możliwość zarobkowania, ale również czynienia obserwacji i podniesienia



Pałac w Czarkowach po spaleniu przez Rosjan. Fot. z 1918 r. Ze zb. Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Kielcach.

ogólnej wiedzy dotyczącej procesu produkcji siarki i relacji między właścicielami a robotnikami.

Po wybuchu I wojny światowej, Czarkow w wrześniu 1914 r. znalazły się na obszarze walk prowadzonych przez armie austro-węgierskie i rosyjskie. Przez tydzień rezydencja Pustowskich stanowiła główną bazę wypadową działań kawalerii 1 Pułku Piechoty Legionów Polskich dowodzonego przez Józefa Piłsudskiego. W legionowych wspomnieniach zachowały się opisy pałacu i jego mieszkańców. Anonimowy pamiętnikarz zanotował: *Dwór był prześliczny; stara stylowa budowla z siedemnastego [sic!] wieku; wkoło niego cudny cienisty park tarasami schodzący ku Nidzie. Dziwnie kojąco działała ta zaciszna siedziba, te staroświeckie pełne zabytków przeszłości komnaty, ta jesienna zieleń drzew pieszczotliwie otulających cienistymi konarami stare rodzinne gniazdo. Jakoś chciało się zapomnieć o zgietku bitew – o strasznej zawierusze wojennej wstrząsającej Europą.*



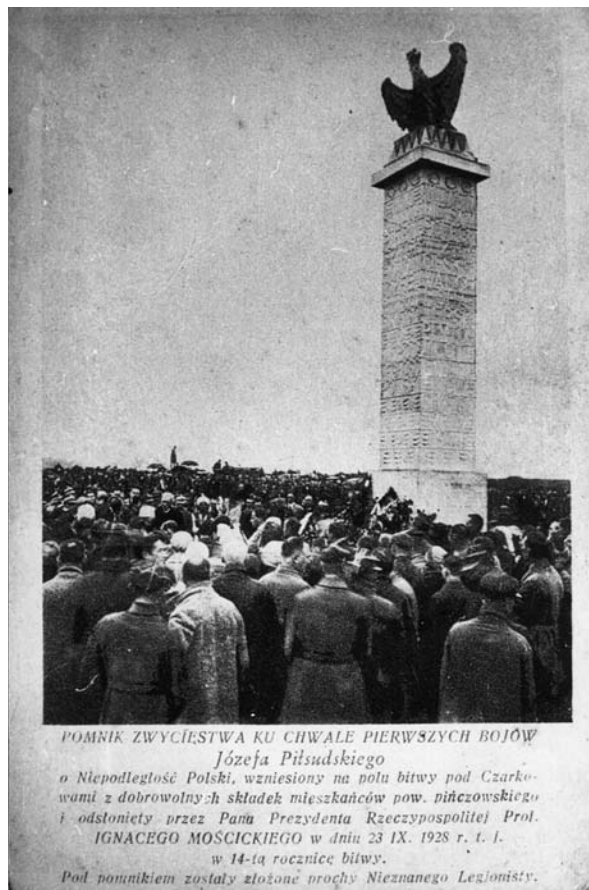
Ksawery Pustowski, fot. z ok. 1920 r. Ze zb. Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie.

W wyniku nacisku wojsk rosyjskich legionowe oddziały wycofały się na teren Galicji. Około południa 23 września 1914 r. opuściły również pałac. Jego domownicy, w tym czasie Maria Pustowska (Zygmunt zmarł w 1913 r.), jej syn Ksawery, Rostworowski i przyjaciel rodziny filolog Witold Kozłowski oczekiwali na rozwój wypadków. Niedługo pojawili się rosyjscy żołnierze. Po spisaniu protokołu podpalono pałac

i zabudowania gospodarcze. Wnętrza zdemolowano, wyrzucono wszystkie dzieła sztuki i sprzęty do ogrodu, polewano naftą i palono. Ksawerego aresztowano i wywieziono do Dębina, potem zaś do Moskwy, gdzie przebywał do 1918 r. Istniejące źródła potwierdzają opinię, że Rosjanie spalili dwór za przyjęcie strzelców Piłsudskiego i poniesioną porażkę rankiem tego dnia w pobliskich Szczytnikach. Dodatkowym motywem mogła być również postawa gospodarza majątku Emanuela, który po wybuchu wojny, pomimo że miał już 43 lata zgłosił się na ochotnika do austriackiej armii, walcząc w której, poległ 22 maja 1915 r. na froncie pod Samborem.

Zagłada posiadłości odbiła się szerokim echem wśród okolicznego ziemiaństwa i legionistów. W wielu wspomnieniach pisano o tym fakcie, współczując rodzinie, a zarazem podkreślając jej odwagę i patriotyzm. Tragizm tego wydarzenia podkreślały kolejne etapy rozwijającej się akcji. Nie padły jednak słowa żalu do legionistów ze strony uczestników czarkowskiego dramatu, a zwłaszcza Emanuela. Przebywając na froncie interesował się losami swojej posiadłości, planował odbudowę pałacu. Kilkanaście dni przed śmiercią napisał do matki list, w którym pomimo że nie był zwolennikiem koncepcji społeczno-politycznych Piłsudskiego, z uznaniem i szacunkiem wyrażał się o jego działalności wojskowej.

Wrześniowe wypadki 1914 r. zaważyły na losie rodziny. Ksawery mieszkał po I wojnie głównie



Pomnik na polu bitwy pod Czarkowami, fot. z 1928 r. Pocztówka ze zb. autorki.

w Krakowie, pielęgnując w domu-muzeum swoje zbiory i udzielając się towarzysko. W letnich miesiącach przyjeżdżał do Czarkowych, gdzie zatrzymywał się w wyremontowanej oficynie; odpoczywał, doglądał parku; zamierzał również odbudować pałac.

W okresie międzywojennym Czarkowy stały się miejscem odwiedzanym ze względu na prowadzone tu boje Legionów Polskich. W 1928 r. przy polnej drodze z Czarkowych do Winiar, za „Kopcem Grunwaldzkim” odstąpiono pomnik „Ku chwale pierwszych bojów Józefa Piłsudskiego o niepodległość Polski” według projektu Konstantego Laszczki. Przedstawiał on zrywającego się do lotu orła w koronie na wysokim cokole. W 1937 r. przy pomniku złożono prochy ekshumowanych i przeniesionych z okolicznych cmentarzy kilkunastu legionistów poległych w 1914 i 1915 r.

Tereny te odwiedził Aleksander Jerzy Narbut-Łuczyński, uczestnik wrześniowych bojów 1914 r., a zarazem autor opracowania obejmującego okres legionowych zmagani od sierpnia do listopada 1914 r. On też wykonał w 1932 r. szkic przedstawiający widok doliny Nidy z „pałacowego wzgórza”.

O przywiązaniu Pustowskich do okolicy i ich związku z tragicznymi wydarzeniami 1914 r. świadczą dzwony, znajdujące się na dzwonnicy w Starym Korczynie. Poświęcono je 15 sierpnia 1939 r. w dniu Święta Żołnierza Polskiego. Największy z nich

ufundowany przez legionistów I Brygady, nazwany został „Józef” dla uczczenia postaci Piłsudskiego. Drugi „Władysław”, zakupiony przez parafian Starego Korczyna, poświęcono biskupowi Władysławowi Bandurskiemu. Pozostałe dwa noszące imiona „Zygmunt” i „Emanuel” ufundował Ksawery Pustowski dla upamiętnienia swojego ojca i brata.

Dziejowe wypadki zaważyły na tym, że nie doszło do odbudowy pałacu. Na mocy Dekretu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z dnia 6 września 1944 r. właścicielem dóbr należących do Ksawerego Pustowskiego stał się Skarb Państwa. Rozparcelowane czarkowskie włości, jak głosi zapis w księdze hipotecznej, otrzymało 90 okolicznych chłopów. Wielkość nadanych działek zawierała się w granicach od 0,5 do 3,5 ha. Ostatni właściciel Ksawery mieszkał dalej w Krakowie, zmarł bezpotomnie w 1968 r. przekazując część swoich cennych zbiorów i krakowską nieruchomość Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Spoczął, jako ostatni z rodu, w rodzinnym grobowcu na cmentarzu w Starym Korczynie, obok swoich rodziców i braci.

Ruiny rezydencji ostatecznie rozebrano w 1948 r. Z istniejących niegdyś budowli zachował się spichlerz oraz budynek gospodarczy z XIX w. Widoczne są również pozostałości murowanego ogrodzenia pierwotnego założenia ogrodowo-pałacowego. Pozostał rozległy park, którego masyw widnieje nad doliną Nidy.



Czarkowy – Pomnik Ku Chwale Pierwszych Bojów Józefa Piłsudskiego, stan obecny. Fot. Jerzy Osiecki.

„Póki łańcuch niewoli karki wolnych krwawi”

Polska żałoba narodowa 1861-1866

Jolanta Michniewska

Pomysł żałoby narodowej narodził się wśród młodzieży warszawskiej i był protestem wobec rządów zaborcy.

Żałoba narodowa miała polegać na wyrzeczeniu się zabaw, balów, widowisk, oficjalnych uroczystości i strojnych szat. Czarny ubiór miał przypominać, że Ojczyzna znajduje się w niewoli. Podczas pogrzebu pięciu poległych w manifestacji patriotycznej w Warszawie kobiety przywdziały czarne, gładkie suknie, założyły czarne łańcuszki z ogniwami w formie kajdan i duże krzyżyki. Jakaś dama złożyła u jednego z kupców na Krakowskim Przedmieściu znaczny fundusz na godła żałobne z lawy, które rozdawano darmo, kto ich tylko zażądał¹.

naukowe odczyty, a w teatrach wystawiano sztuki o tematyce podniosłej i poważnej².

Ulice wypełniły się ludźmi ubranymi na czarno z biżuterią patriotyczną.

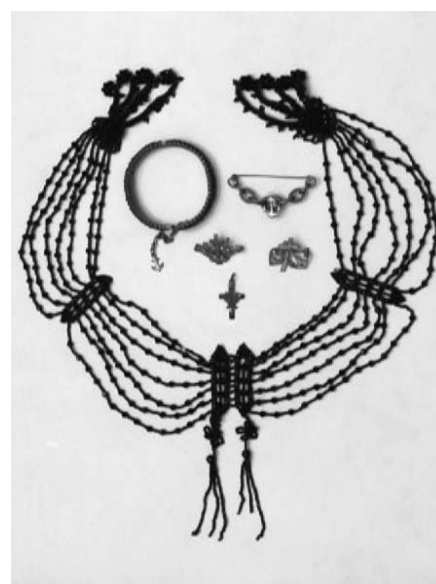
Maria Ilnicka pisała:

*Póki łańcuch niewoli karki wolnych krwawi.
Niech czarna suknia Polki świadczy wobec świata
O najstraszniejszym gwałcie zbrodniczych bezpraw.*

Popularne maskarady nie udały się. Generał Witkowski zorganizował w Warszawie uroczysty bal, na który przyszło osiem żon urzędników, sprowadzono Żydówki,



Biżuteria narodowa.



Żałobę rozpoczęły kobiety 27 lutego 1861 r w Warszawie, stąd dotarła ona na wszystkie ziemie pod zaborami. *Magazyn Mód* w styczniu 1861 r. informował, że w karnawale Warszawa była cicha i poważna, nie widać było okazałych strojów. Organizowano patriotyczne nabożeństwa, czuć było skupienie i powagę. Młodzież postanowiła zmusić społeczeństwo do żałoby, opornym wybijano szyby w domach, gdzie organizowano tańce, urządzano psoty i kocią muzykę osobom strojnemu ubranym. W Resursie Kupieckiej zamiast balów odbywały się

żony i córki drobnomieszczan, natomiast damy polskie nie wzięły w nim udziału. W Tykocinie, naczelnik Dmitriew sprowadził na bal okoliczną szlachtę z żonami i córkami pod groźbą kontrybucji i kar cielesnych³. Odezwę do kobiet wydał 3 marca 1861 roku arcybiskup Antoni Melchior Fijałkowski, który wręcz nakazał kobietom noszenie żałoby na czas nieograniczony.

Czarną suknię wykańczano białym kołnierzykiem lub falbanką i białymi mankietami. Spódnica była na szerokiej krynolinie. Na ramionach noszono czarne

¹ M. Bruchnańska, *Ciche bohaterki. Udział kobiet w Powstaniu Styczniowym*. Miejsce Piastowe 1934, t.I, s.51

² J. Grabiec, *Rok 1863*, Poznań 1929, s.57

³ Tamże, s.437



Polskie kobiety w żałobie.

chustki lub szale. Ubiór miał być wykonany z tkanin matowych lub półmatowych. Mężatki czesały gładko włosy i upinały je w węzeł na karku. Dla dziewcząt zalecano warkocze. Strój miał cechować prostota i powaga. Kobiety nosiły kapelusze z czarnymi kwiatami, czarne siateczki na włosy lub konfederatki. Pojawity się kontusze jako powrót do tradycyjnych ubiorów staropolskich. Ubranka dziecięce utrzymywano w tonacji czarno-białej. Żałobnie ubierano lalki, a obręcze do zabaw okręcano czarnymi i białymi taśmami⁴. Kolor biały symbolizował wolność. Złotą biżuterię zastąpiono biżuterią z lawy wulkanicznej i żelaza. Stosowano motywy kajdan, korony cierniowej, krzyż z sercem i kotwicą symbolizujący „Wiarę, Nadzieję i Miłość”.

5 kwietnia 1861 r. policja lwowska zabroniła noszenia kokard żałobnych, polskich orłów, wstążek trójkolorowych do zegarków, lasek z siekierkami, buzdycanów i wszelkich oznak politycznych⁵. Francuska, pani Maria Bonin, tak pisze w swoim pamiętniku:

Z dnia na dzień stawata się żałoba surowszą: po wielkich krzyżkach, zawieszonych na szyi przysła kolej na kolie z czarnych paciorków, później tańcuszki stalowe lub żelazne zamknięte klamrą zrobioną z dwóch rąk w uścisku, symbol potężenia Polski z Litwą, jak też data noszona na piersiach 1569, stanowiąca to samo przypomnienie. Pierścienki, bransolety, kotnierzyki, ubrania kapeluszy nawet przedstawiały koronę z cierni z dwiema palmami i kotwicę wpiętą nad nimi⁶.

Hrabia Berg tak scharakteryzował sytuację w Warszawie w liście do *Petersburskich Wiadomości*: *O godzinie 11 w nocy wszystko zamiera,*

hotele pozamykane, latarenki przestają błyskać. Ani żywej duszy..., głucho, ponuro, grobowo. Gdy idziesz po schodach hotelu, dziwnie spoglądają na ciebie studzy, przykro i zimno się robi od wejrzeń... A oto w głębi sali przemyka jakaś czarna kobieta w grubej żałobie, zachwycającej piękności, ale blada jak trup. Wszystko nosi czarne: suknię, kapelusz, woal, rękawiczki, płaszcz – do ostatniej koronki... Niebawem spostrzeżesz na ulicach, na placach takie same tajemnicze, czarne kobiety, podobniejsze do widm niż żyjących istot⁷.

Żałoba zwróciła uwagę Anglii, Szwecji i innych krajów europejskich. Hiszpanki naśladowały Polki, nosząc biżuterię z czarnych dżetów, które nazywano „polskimi łzami”.

Cudzoziemki przebywające na ziemiach polskich na znak solidarności nosiły czarne suknie. O jedwabach nawet nie było mowy, ponieważ stanowiły one przejaw luksusu i przepychu. Na wiosnę 1863 r. krynoliny zmieniły swój wygląd. Były płaskie na górze, a rozszerzone u dołu i miały mniejszy obwód. Na czas uroczystości narodowych kobiety na kilka godzin zdejmowały żałobne stroje, żeby podkreślić święto i zaznaczyć narodowy charakter obchodów. Panie zakładały wówczas białe, świąteczne suknie lub balowe z szarfami i trójkolorowymi kokardami. Kobiety niższych stanów wdziewały kolorowe suknie i wszyscy udawali się do kościołów. Po południu ulice, place, aleje i parki zapętniały się tłumem spacerowiczów w jasnych strojach. Tak było np. 12 sierpnia 1862 r. w rocznicę Unii Polski z Litwą. Po uroczystościach na ulicach znowu widać było osoby ubrane na czarno. W jednym z sonetów anonimowy autor napisał:

*Rodacy! Pstra odzież dziś, w głowie pstrość znaczy,
Na grobie Ojczyzny nam strojnziej w żałobie.*

Naczelnik miasta Warszawy 20 listopada 1863 r. zawiadamiał, że aresztowano około 1000 kobiet z powodu noszenia żałoby narodowej. Rzemieślnicy którzy wyrabiali brosze, paciorki, klamry z orłem i napisami osiągnęli znaczne zyski. Był duży popyt na biżuterię żałobną i patriotyczną. Władze carskie zaczęły stosować surowe represje i przez trzy lata bezskutecznie próbowały zakazać wszelkich form żałoby. 18 października 1863 r. generał major Lewszyn urzędujący w Warszawie wydał ukaz nakazujący zdjęcie żałoby narodowej. Po 29 października (10 XI) 1863 r. kobiety ubrane w żałobne stroje miały być zatrzymywane i odstawiane do więzienia. Kobiety idące pieszo w żałobie płacić miały 10 rubli, panie jadące wynajętym powozem 15 rubli, a damy jadące własnym ekwipażem po 100 rubli. Urzędnicy, których żony i dzieci chodziły w żałobie, utracić mieli jednomiesięczne pensje. Żałobę narodową ścigano bezwzględnie w Królestwie, a jeszcze bardziej na Litwie, Wołyniu i Ukrainie.

⁷ Tamże s.55

⁴ M. Możdżyńska-Nawodka, *O modach i strojach*, Wrocław 2004, s.233

⁵ M. Bruchnańska, *Ciche bohaterki...*, s.58

⁶ Tamże s.65



Kaseta z biżuterią patriotyczną.

Gazeta Lwowska z 17 września 1863 r. donosiła: *Żałoba narodowa ma być zniesiona i to pod karami pieniężnymi*⁸.

Janowa Tyszkiewiczowa przeprowadziła damom noszącym żałobę w Wilnie. Na Litwie więziono za noszenie czarnych sukni panie: Mostowską, Strawińską, Niezabitowską i inne. 28 maja 1863 r. żołnierze rzucili się na kobiety idące do kościoła w żałobie po śmierci Sierakowskiego, podarli im suknie i znieważyli słownie⁹.

W Kownie Tekla Jurewiczowa i jej córka Jadwiga włożyły jako pierwsze czarne stroje i obszyły firanki białymi i czarnymi tasiemkami. Biłgorajski pisze o oficerach wojennych na Podlasiu: Nachodzili na dwory, rekwizycje robili szukając odzienia żałobnego. Czarna suknia, pierścionek, szpilka z jakim biustem, choćby samego cara, brana była

za żałobę, ćwiczono damy, nakładano sztrafy na każdą osobę z familii¹⁰.

W majątku Mierzynówka na Podlasiu, który był własnością moich przodków, podporucznik Gust zastał panią Paszkowską, pannę Zadarnowską i ich kuzynkę pannę Zawadzką. Przeglądał ich ubiór, biżuterię i stwierdził noszenie żałoby. Kazał wymierzyć po 50 łoż każdej i zapłacić po 25 rubli srebrem¹¹.

W Bielsku Podlaskim za żałobny uznawano kolor popielaty i ciemnobrązowy. Zasądzano tam 200 rubli kary albo wsadzano do więzienia. Nawet za suknię jasno zieloną karano, bo ten kolor oznaczał nadzieję.

Przykładem wielkiego poświęcenia była działalność siostr Wandy i Jadwigi Dobrowolskich, właścicielek

⁸ *Gazeta Lwowska*, 17 IX 1863r. nr.212

⁹ M. Bruchnańska, *Ciche bohaterki...*, s.60-61

¹⁰ F. Biłgorajski, *Pamiętniki w sprawie chłopskiej w 1863 r.* Opr. St. Szczotka, Wrocław 1956, s.86

¹¹ *Karta martyrologii małego powiatu*



Babunia Marianna Zadarnowska.



Paulina Broniewicz z córką Stefanią

majątku Rajskiej Bramki pod Kamieńcem, które nie tylko nosiły czarne suknie, ale też opiekowały się rodzinami zetańców.

Jedna z panien Dobrowolskich obcięta włosy na znak żałoby i nosiła na głowie czarną siateczkę. W Poznaniu na widok Emlii Szczanieckiej, ubranej w czarny strój sędziowie powstałi z miejsc, oddając cześć i szacunek oskarżonej o pomoc powstańcom.

Najcięższą żałobę nosiły wdowy. Ubierały się w czarne, skromne suknie, szale kaszmirowe, kapelusze z krepy angielskiej z długimi woalami i czarne, szwedzkie rękawiczki. Kobiety noszące żałobę po bliskich musiały mieć przy sobie urzędowe zaświadczenia.

Władze carskie zezwalały na czarne salopy, burnusy, futra i palta ale bez białego obszycia.

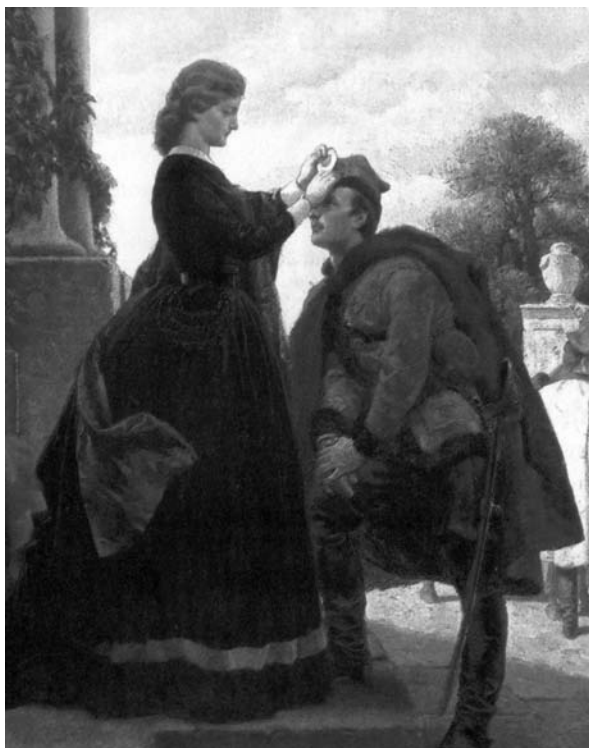


Zofia Egierska oraz biżuteria żałobna. Fot. po Powstaniu.

Co się tyczy mężczyzn, to żałoba nie mogła mieć miejsca, była kategorycznie zakazana. Stąd też, żeby pokazać narodowy charakter w ubiorach, zakładano czamary, kontusze i konfederatki. W złym tonie było pokazać się w miejscu publicznym we fraku. W Suwałkach doszło do zaburzeń z powodu tego, że patrole zatrzymywały mężczyzn ubranych w rogatywki lub czamarki, obcinano rogi u czapek, zabierano ubranie i wypuszczano z odwachu aresztowanych w bieleźnie na ulicę¹².

Moda podlegała zmianom. Do stroju kobiecego wprowadzono ozdobne krakowskie pasy z mosiężnymi lub posrebrzonymi kótkami, zawieszonymi w kształcie festonów. Na Ukrainie noszono ciemne chustki ze szlakiem.

¹² J. Grabiec, *Rok 1863*, s. 115



Artur Grottger – *Pożegnanie*.

27 lutego 1861 r. kielczanie dowiedzieli się o pięciu zabitych podczas manifestacji w Warszawie, na znak solidarności zamówili nabożeństwo żałobne i ubrali się w czarne stroje.

4 listopada 1861 r. naczelnik powiatu kieleckiego Tański wydał polecenie zabraniające noszenia przez kobiety strojów żałobnych. Codziennie zaczepiano kobiety, które nosiły czarny ubiór lub biżuterię patriotyczną. 21 lutego 1862 r. w Kielcach po raz kolejny zakazano urzędnikom i ich rodzinom noszenia żałoby. Major Bendkowski karał grzywnami panie noszące stroje narodowe i żałobne. 27 lipca 1864 roku ogłoszony został w Kielcach cyrkularz, na mocy którego urzędnicy państwowi byli odpowiedzialni za noszenie przez ich żony żałoby narodowej.

Dowodzi to, że kobiety w Kielcach, mimo kolejnych zarządzeń i kar, do końca powstania demonstrowały swą patriotyczną postawę¹³. W 1864 r. w kieleckim więzieniu, za przestępstwa polityczne znalazły się: Leokadia Borchólska, Władysława Kusiłowska i Zofia Gołtemberska. Jeszcze w 1867 r. w okolicach Sandomierza zatrzymywano kobiety, szukając ozdób żałobnych na sukniach i kapeluszach.

Władze surowo karały kobiety za sprzyjanie powstaniu. Ksawera Dalewska została zesłana do guberni permskiej, Helena Kirkorowa do Irkucka, a Grudzińska i siostry Guzowskie do Ussola¹⁴.

¹³ K. Urbański, *Stosunek Kielczan do demonstracji lat 1861-1862 i Powstania Styczniowego*, Kielce 2008r., s.67

¹⁴ W. Śliwowska, *Syberia w życiu i pamięci Gieysztorów-zesłańców postyczniowych*, Warszawa, 2000, s.47,167, 222- 223.

Polki przybywały również dobrowolnie na Syberię za wygnającami, według Maksimowa było ich 1800¹⁵.

W 1866 r. żałobę narodową zakończono po ogłoszeniu amnestii przez cara. Jednak te kobiety, które utraciły kogoś bliskiego, nosiły czarny ubiór do końca życia.

Żałoba narodowa była symbolem uczuć patriotycznych, wyrazem solidarności z walczącymi powstańcami styczniowymi i wielkiego hartu ducha. Francuski pisarz Charles de Montalembert mówił, że Polka nie uważa swej żałoby za wieczną, gdyż przyjdzie dzień, w którym ustroić się będzie mogła w szaty, godne narodów wolnych i zwycięskich¹⁶.

Wszystkie ilustracje i fotografie pochodzą z rodzinnego archiwum Jolanty i Marka Michniewskich.



Przedstawienie teatralne w rocznicę Unii Polsko-Litewskiej. Panie Broniewiczowa i St. Eustachiewiczowa jako personifikacje Polski i Litwy.

¹⁵ Z. Librowicz, *Polacy w Syberii*, Kraków 1884r., s.239

¹⁶ M. Bruchnańska, *Ciche bohaterki...*, s.53

Mieszkańcy Buska w Powstaniu Styczniowym

Robert Osieński

27 lutego 1861 roku podczas manifestacji patriotycznej na Placu Zamkowym w Warszawie doszło do starć z wojskiem rosyjskim. Padło 5 zabitych i kilkunastu rannych. Niedługo potem, 8 kwietnia, kolejna manifestacja patriotyczna zakończyła się masakrą. Wydarzenia, o których mowa, znalazły żywy oddźwięk także na prowincji. W wielu miastach i miasteczkach odprawiano w kościołach żałobne nabożeństwa, w których uczestniczyły tłumy. Na ulicach ostentacyjnie paradowano w czarnych strojach ozdobionych patriotyczną biżuterią. Z ambon padały słowa wzywające do pojednania i zgody narodowej. Podobnie było w Busku, gdzie również nie tracono okazji do zmanifestowania uczuć patriotycznych.

Dużą rolę, jak się wydaje, odegrał tu Karol Majewski – czołowa postać w życiu spiskowym Królestwa Polskiego – który latem 1861 roku przebywał na kuracji w Busku i nawiązał żywy kontakt z miejscowymi organizatorami manifestacji religijno-patriotycznych. Dużą aktywność w budzeniu świadomości narodowej odgrywali księża z okolicznych

parafii. Proboszcz parafii Szczaworyż – ks. Kamiński – wygłaszał patriotyczne kazania, które stały się powodem licznych donosów do władz. Podobnie było w Szańcu, gdzie proboszczem od 1861 roku był ks. Kazimierz Wnorowski – zesłaniec na Syberię za udział w spisku z 1848 roku. W Szańcu ks. Wnorowski wygłaszał patriotyczne kazania przypominające potęgę Polski w czasach minionych oraz wzywające do zgody narodowej.

W 1863 roku Busko było piątym co do wielkości miastem powiatu stopnickiego guberni radomskiej i liczyło 983 mieszkańców, wyłącznie narodowości polskiej. Na podstawie szczątkowych przekazów źródłowych i pamiętnikarskich wiemy, że w Busku istniała komórka organizacji spiskowej powiatu stopnickiego, jednakże nie znamy ani jej składu, ani działań przygotowawczych do wybuchu powstania. W niektórych przekazach wspomina się, jakoby istniał plan ataku na Pińczów, w którym spiskowcy z Buska mieli brać udział, jednakże nie znajduje to potwierdzenia w innych źródłach



Karol Majewski. Fot. ze zb. autora.

7 lutego 1863 roku przybył do Buska Jan Sipowicz – delegat na powiat stopnicki – wysłany przez Naczelnika Wojskowego Województwa Sandomierskiego – gen. Mariana Langiewicza – w celu tworzenia oddziałów ochotniczych, zbiórki broni i amunicji. Po zebraniu ludności na rynku został odczytany manifest Komitetu Centralnego Narodowego z 22 stycznia 1863 roku oraz proklamacja Langiewicza z 26 stycznia 1863 roku, wzywająca do tworzenia oddziałów ochotniczych, zbiórki broni, amunicji i żywności. Następnie powołany został w Busku komitet powstańczy. Jak wynika z zachowanych przekazów, Sipowicz planował utworzenie w Busku magazynów z żywnością i uzbrojeniem dla Langiewicza.

12 lutego Sipowicz przybył ponownie do Buska, gdzie wydał rozkaz zniszczenia dwugłowych orłów carskich oraz aresztowania osób podburzających do niepokojów. Na pytanie komitetu powstańczego czy zastąpić zniesione orły carskie Sipowicz odpowiedział: *„Ponieważ w miejsce znieść się mających insygniów rządowych rzędu najezdniczego nie mamy jeszcze znaków Rządu Narodowego, polecam więc Komitetowi zająć się spieszenie przygotowaniem obrazów Matki Boskiej Częstochowskiej, jako Królowej Polski, i te na wszystkie miejsca, gdzie powinny być cechy urzędowe rozestąć dla przytwierdzenia i rozmieszczenia; to znacznie podniesie ducha moralnego w włościanach widzących, że poczynamy z Bogiem i stosownie do tej myśli trzeba postępować.”*

17 lutego 1863 roku wojska Langiewicza stoczyły zwycięską potyczkę z Rosjanami pod Staszowem. Wieść o tym zwycięstwie wywołała żywy oddźwięk w powiecie stopnickim. To zapewne wtedy z Buska wyruszyło do Langiewicza 24 ochotników. Poprowadził ich burmistrz – Feliks Jaworski. Razem z nim poszli bić się o niepodległość następujący mieszkańcy Buska: Stanisław Sarnecki, Adam Czerwiński, Wincenty Wojnakowski, Piotr Głuszkiewicz, Antoni Kietb, Jan Latarski, Józef Grabala, Piotr Chmielewski, Stanisław Ostrowski, Jan Łosakiewicz, Kwiryn Podstawski, Karol Wójcik, Karol Borzęcki, Jan Gołda, Teofil Sosnowski, Marcin Napierski, Franciszek Sereski, Leon Jaworski, Franciszek Bosak, Wincenty Markiewicz, Ignacy Jurecki i Jan Łącki. Powyższy fakt został odnotowany w raporcie naczelnika powiatu stopnickiego, przechowywanym w Archiwum Głównym Akt Dawnych (AGAD syg.C/2 K171).

10 marca 1863 roku w obozie w Goszczy Langiewicz ogłosił się dyktatorem. Tam też zapadła decyzja przedarcia się w Góry Świętokrzyskie, gdzie były znacznie korzystniejsze warunki do prowadzenia działań partyzanckich. 16 marca stanął dyktator w Chrobrzu, zajmując dla swoich potrzeb pałac Aleksandra Wielopolskiego. Następnego dnia, po otrzymaniu wiadomości o marszu znacznych sił rosyjskich na Chroberz, Langiewicz postanowił

maszerować do osady Grochowiska, położonej wśród rozległego kompleksu leśnego. Około 16.00 kolumna marszowa powstańców została ostrzelana przez Rosjan od strony Krzyżanowic. Potyczka pod Chrobrzem, jakkolwiek zakończona pomyślnie, była jednakże zapowiedzią złych wieści. Ukazała bowiem upadek ducha w szeregach powstańczych i ujawniła znaczne siły rosyjskie operujące przeciw Langiewiczowi.

Około 22.00, po wyczerpującym marszu błotnistymi drogami, powstańcy dotarli do Wetcza Starego. Tu nastąpił nocleg w bardzo ciężkich warunkach, przy zimnym marcowym wietrze, braku żywności i wody. Następnego dnia przed południem zziębnięci i zgłodniaли powstańcy dotarli do osady Grochowiska. Mały oddziałek, składający się kilku wozów i kilkunastu ułanów, wystąpił intendent Tomasz Winnicki z Wetcza do Buska po żywność. Powstańcy zabrali z Buska przygotowane zapasy żywności i udali się w stronę Grochowisk. Wkrótce potem do Buska wkroczyły oddziały rosyjskie mjr. Bentkowskiego (Polaka w służbie carskiej). Przed 14.00 przybył do Buska ptk. Ksawery Czengiery – głównodowodzący siłami rosyjskimi. W trakcie narady wydał rozkaz zniszczenia powstańców obozujących w Grochowiskach koncentrycznym uderzeniem trzech kolumn: od strony Bugucic (3 rotę piechoty, szwadron kozaków i 2 działa), od strony Wetcza (3 rotę piechoty i szwadron dragonów) i od strony Galowa (4 rotę piechoty, 2 szwadrony dragonów, 120 kozaków i 4 działa). Langiewicz w porę dostrzegł grożące niebezpieczeństwo, jednakże nie miał już czasu ani przestrzeni na wymanewrowanie przeciwnika i uniknięcie walki. W ten sposób doszło pod Grochowiskami do jednej z większych bitew Powstania Styczniowego. Bitwa miała chaotyczny przebieg i mimo ewidentnej przewagi po stronie rosyjskiej, zakończyła się dla powstańców pomyślnie. Bitwa miała wszakże jeszcze inny epilog. Głód, zmęczenie i upadek ducha kompletnie obezwładniły powstańców. Przed świtem Langiewicz opuścił oddział, udając się do Galicji, a rankiem wyczerpane i zdemoralizowane wojsko pociągnęło jego śladem.

Po rozproszeniu się oddziału Langiewicza osłabła znacznie działalność komitetów powstańczych, które z początkiem lutego 1863 roku powołał Sipowicz. Władzy powstańczej nie było, co wykorzystali niektórzy chłopcy, napadając na właścicieli ziemskich i wszystkich popierających walkę narodowo-wyzwoleńczą. Napadów takich dokonano na proboszczów w Solcu i Szańcu, na folwark Macierz k. Chmielnika oraz na dom właściciela Młynów – Jaworskiego. Napastnicy uzbrojeni byli w drągi i siekiery, niektórzy mieli broń palną.

O wiele groźniejszym zjawiskiem było powstawanie band chłopskich trudniących się rozbojem i pospolitym bandytyzmem. Najgroźniejszą z nich była banda braci Juszczyków. Napadali oni na domy

i parafie, wzywali do rzezi szlachty, urządzali łapanki na powstańców. Bandytów aresztowano i uwięziono. Wyrok skazujący właściwego sadu został uchylony przez rosyjskie władze wojskowe, które zarzuciły sądowi tendencyjność i zamiar karania za łapanki na powstańców. Ostatecznie bandytów uwolniono na rozkaz gen. Czengierego. Na początku czerwca 1863 roku bracia Juszczykowie zostali powieszeni przez żandarmerię powstańczą Bończy. Żandarmi Bończy powiesili także dwóch chłopów z Marzęcina, którzy wskazali Rosjanom miejsce obozowania powstańców pod Grochowskimi.

We wrześniu na teren powiatu stopnickiego przybył Karol Kalita ps. Rębajło i przystąpił do organizacji tzw. oddziału stopnickiego. Wielkie zasługi w organizacji tego oddziału poniósł naczelnik żandarmerii powstańczej na powiat stopnicki – Władysław Nowacki-Kopaczyński ps. Junosza. To on dostarczał rekrutów, organizując w tym celu akcje poborowe. Pobór taki został zorganizowany także w Busku, skąd poszła do powstania kolejna grupa mieszkańców.

Oddział Junoszy powstał we wrześniu 1863 roku w lasach chroberskich i liczył początkowo 24 konnych, jednolicie umundurowanych i dobrze uzbrojonych. Rankiem 30 września oddział przybył do folwarku Grochowska, gdzie zatrzymano się na cztery dni. Pobyt ten tak wspominał Junosza w swoich pamiętnikach:

„...Przyszedłem nad ranem i postąłem rekwirunek do miasteczka Buska, do naczelnika miasta. Rano sami tamtejsi mieszkańcy z żonami i dziećmi przybyli, przywożąc furaz i dla nas żywność, aż do zbytku. Co to za radość była tych mieszkańców, kiedy nas zobaczyli. Nie wierzyli, że to my już mamy tak umundurowanych żołnierzy. Nie widzieli innego oddziału prócz Langiewicza, w rejteradzie z Grochowsk ku Wiśle do Galicji...”

Wkład mieszkańców Buska w walkę narodowo-wyzwoleńczą w okresie powstania styczniowego należy ocenić jako znaczny. O słuszności powyższego sądu niech świadczy choćby procentowy wskaźnik represjonowanych mieszkańców miasta. Busko było pięciokrotnie mniejsze od Chmielnika czy Pińczowa, a w przeliczeniu na liczbę mieszkańców zestani na Syberię stanowili tu największy odsetek. Wśród około 1200 zestanych na Syberię mieszkańców guberni radomskiej udało się ustalić nazwiska 5 mieszkańców Buska: Adam Borzęcki lat 19, Ludwik Drzewiecki lat 28, Józef Błaszkiwicz lat 17, Józef Lackorzyński lat 20 i Józef Hen lat 22. Fakty, o których mowa, stanowią zatem niepodważalne świadectwo wielkiego patriotyzmu miejscowej społeczności. Nic zatem dziwnego, że Busko znalazło się wśród 69 miast guberni radomskiej, którym w 1869 roku, na mocy ukazu carskiego, odebrano prawa miejskie, w ramach represji za patriotyczną postawę mieszkańców w okresie powstania



Karol Kalita „Rębajło”. Fot. ze zb. autora.

Bitwa

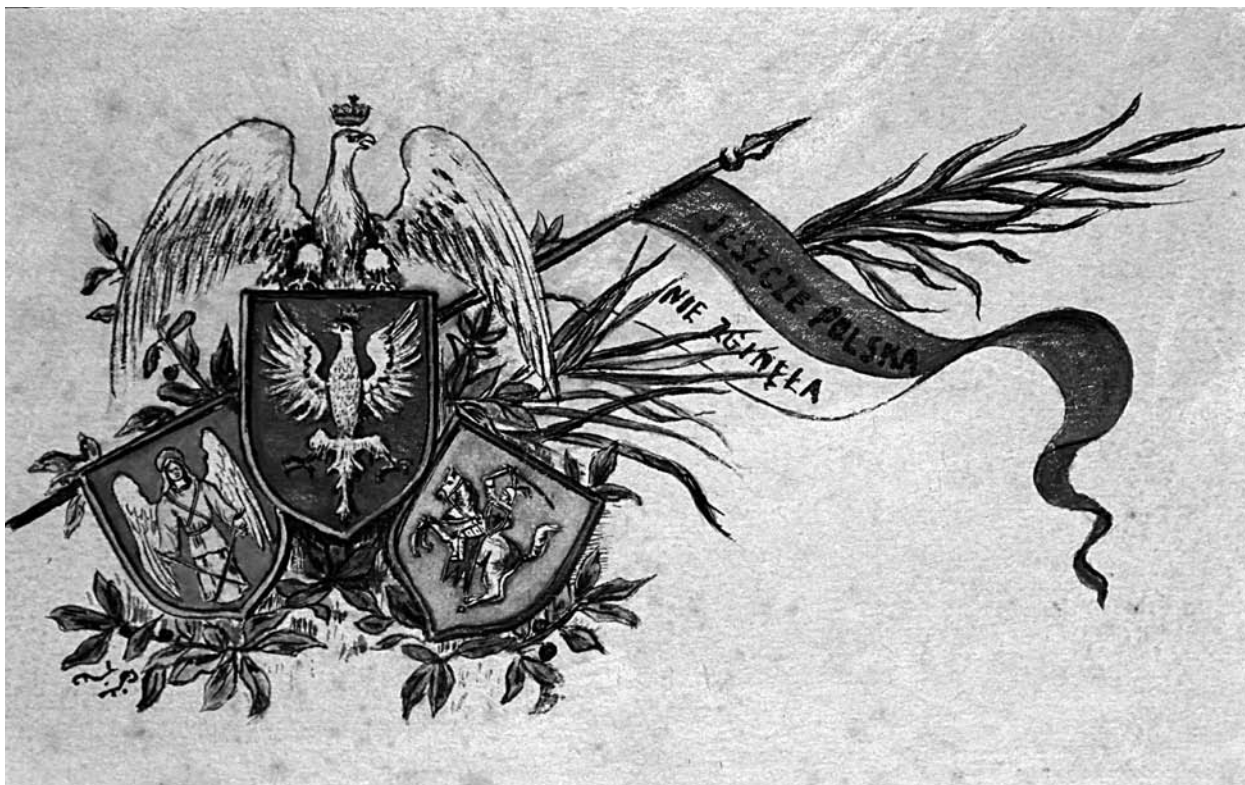
Dookoła ciągle toczyła się bitwa. Od lewej strony z Góry Kamiennej dolatywały głucho stękania armat. Ich pociski długo gwizdały w powietrzu nim uderzyły w zmarzniętą ziemię i, wyrывая z niej fontanny grudy, zachłystywały się własnym hukiem. Miasteczko płonęło coraz większym ogniem. Lecz tylko huki i trzaski ognia było słychać. Żadnych ludzkich głosów, żadnych okrzyków, żadnego pojękiwania. Nic. Cisza. Dziwna cisza, jakby te jezory ognia i kłęby dymu palonych chatup tamowały oddechy i ścisnęły gardła, nie pozwalając ludziom krzyczeć.

Od południowej strony na skrawku nieba, w prześwicie między gałęziami drzewa, pojawiły się kaczki. Czy już przyszedł na nie czas? Wiosna zapowiada się wyjątkowo wczesna. Przemykały szybko. Może strachały się huków albo gęstych kłębow? Wysokim lotem chroniły pióra przed ogniem. Mądre ptaszyska.

Od prawego boku szedł na jego ciało dotkliwy chłód. Podsunął rękę pod miejsce na boku, z którego szedł ten chłód. Poczut lepkosć. Przekręcił głowę, unioś

ją nieco. Po ręce splotwała brunatna maź... był ranny. Pewnie ten dragon, który leciał na niego z długim drzewcem, sięgnął go jednak... jego lekka staszówka nie odbiła drzewca dostatecznie mocno. Poczut ukłucie pod żebrami, równocześnie usłyszał strzał i dragon obsunął się w śnieg. Znowu padł strzał... ktoś go ocalił czy usiłował zabić? Stracił przytomność.

Jak długo tu leży? Mimo bólu usiłował podeprzeć się na łokciu drugiej ręki. Ta wysmarowana mazią była bardzo słaba... Okrutnie zakłuło w boku, którego dotknęło drzewce dragona, aż musiał jęknąć, ale głowa uniosła się znacznie. Już niemal siedział. Po śniegu wokół niego walały się ciemne kształty w jakichś nienaturalnych pozach, często otoczone czerwonymi plamami. To jego towarzysze broni. Leżało ich wielu, mnóstwo. Najbliżej Józef Gotąb. Ostatniej nocy spali razem w chłopskiej komórce. Józef długo opowiadał o zatargu z dziedzicem, który zabrał mu krowę za to, że weszła na jego łąkę. Zabrał i nie chce oddać, chociaż mleko bardzo potrzebne jest jego matemu dziecku. Generał obiecywał mu kawałek pola, jeżeli zwycięży. Teraz Józkowi już niepotrzebne to pole.



Jeszcze Polska nie zginęła. Pocztówka ze zb. Jana Lesiaka.

Ma go tyle, co sobą pokrył. Na boską wieczność tylko jego, nie dziedzica. Obok Józefa, jakby podejmował go pod kolana, leży ten..., co dopiero wczoraj przystał do ich partii. Nawet porządnej kosy nie miał, a tak chciał walczyć... Uciekł do lasu, żeby nie zagarnęła go branka. Teraz już nie musi się bać nikogo, Boga jedynego tylko. Jak go zwać?... Dalej leżą inni bracia. Jeden i drugi z nich jakby jeszcze poruszył się, jakby jeszcze chciał spojrzeć na Boży świat, i dopiero zamierał. To chyba od nich idzie to jęczenie?

I ta dziwna cisza! Niby ogłuszyła go armata.

To ponad tą ciszą kłębił się dym, wysoko aż do nieba sięgały ogniste jęzory. Na ich tle, po szerokiej łące biegł koń. Na nim siedział jeździec wymachujący szablą. Czy uciekał od piekła płonącego miasteczka, czy kogoś gonił? Za nimi biegł jeszcze jeden koń, bez jeźdźcy. Dziwne widziadło. Na zachód przez pola za miasteczkiem uciekali jacyś piechurzy. Porzucali swoje kosy, które im przeszkadzały i pędzili co sił, chcąc skryć się pośród drzew porastających zbocze Góry Kamiennej.

Wszystko widział bardzo wyraźnie, każdy najmniejszy ruch. Tylko po jego stronie, tej wschodniej, na której on leży, na pochyłym zboczu miejscami pokrytym płatami śniegu panował bezruch. Bezruch i cisza.

Tuż przy nim też leżało kilka ciał. Najbliższe ciało wielkiego dragona... to chyba on dźgnął go długą piką? Starat mu się przyjrzeć. Spod wysokiej czapy wyglądały chytre oczy. Jakby nie były martwe. Powoli kierowały się w stronę... jego staszówki o kilka stóp dalej białej końcem ostrza w ziemię. Wydawało się, że szabla jeszcze drży. Ledwie oczy dosięgły jej, ręka dragona drgnęła. Drgnęła i znieruchomiła. Znowu drgnęła, a palce zaczęły grzebać w śniegu, jakby starały się poprowadzić rękę w tamtym kierunku.

Pojął zamiar dragona. Nie może dopuścić do tego. Kto pierwszy?

Szarpnął się, by wstać. Bok okrutnie zabolął, coś w nim głęboko zakuło, bez kontroli upadł na twarz. Znowu zabolęło, ale pozwoliło mu to od razu pokonać połowę odległości do szabli. Lewa ręka, ta zdrowsza, pomogła podnieść się na jedno kolano, potem na drugie. Ręka dragona również ożyła, nieco podciągnęła ciało do szabli i podejmowała kolejny wysiłek. Jej palce przekopały się przez śnieg do ziemi i ryły ją zdecydowanie.

Na kolanach mógł posuwać się szybciej. Ręka dobrze je wspomagała. Sięgnął do rękojeści szabli... jeszcze za daleko. Palce dragona również zdecydowanie podciągnęły wielkie ciało. Też im brakło parę cali... Będzie pierwszy! Musi być pierwszy! Jeszcze tylko jeden krok... jedno szarpnięcie...

Nadludzkim wysiłkiem uniósł szablę, by uderzyć... najlepiej w te chytre i wytrzeszczone ślepie. Spojrzał na nie... Były martwe. Już nie trzeba było uderzać i gasić tych wrogich oczu. Zgasły same wyczerpane wysiłkiem przesuwania ciała. Ręka dragona również znieruchomiła z palcami wbitymi w ledwo rozmarzłą ziemię.



Krzyż powstańczy w Św. Katarzynie. Fot. Jerzy Osiecki.

Nie czuł żadnej radości, zadowolenia, żadnej satysfakcji, że jeszcze jeden Moskal leżał u jego nóg. Czy to z bólu między żebrami, czy z bólu ręki, która również krwawiła, po plecach przeszedł go dreszcze. Postanowił iść stąd jak najdalej. Gdzieś z tyłu, u podnóża pochyłości, na której rozłożyło się spalone miasteczko i obok którego on teraz leżał, winna być rzeka. Przekraczali ją wczoraj, gdy szli, wezwani przez Langiewicza, na koncentrację tutaj. Nawet pili z niej mroźną wodę. Niektórzy obmywali spocone twarze... Powoli odwrócił się, spojrzał na rzekę.

Rzeka

Płynęła środkiem obniżenia, jakby bagniska, rzadko porośniętego krzakami i suchą trzciną. Może i dzisiaj da się przez nie przejść. Jeżeli od wczoraj ziemia rozmiękła od ognia i krwi, obojdzie bagnisko prawą stroną. Tam Wzgórze Bolechowickie, na jego wysokości rzeka zwęża się i kryje w dużych krzakach. Jeszcze dalej niemal przeciska się między wzgórzami porośniętymi wysokim a rzadkim lasem, można nawet dałoby się ją przeskoczyć. Ale tam biegnie wzdłuż rzeki szeroka droga, pewnie czuwa na niej Moskal... To niebezpieczne, lepiej pójść bagniskiem, gdzie trochę krzaków i trzcin, o schronienie taciej.

Powoli ruszył w kierunku rzeki, starając się, aby przebity bok jak najmniej bolał. Przycisnął go zdrowszą ręką. Mniej bolało... znowu za górą huknęło jedno i drugie działo, a świsty pocisku gwałtownie zaczęły narastać, jakby zbliżały się w jego kierunku. Odruchowo uskokzył za krzak i pochylił się. Z bagna uniosły się dwie fontanny



Walka – drzeworyt ze zb. Tomasza Kalety.

wody i kłaków starej trawy. Odniósł nawet wrażenie, że kilka kropel zimnej wody sięgnęło jego twarzy. To niemożliwe. Dla wroga ranny nie stanowi zagrożenia. On myśli tylko o ucieczce stąd i opatrzeniu bolącego boku. Gdyby był jeneratem... wszystkie armaty skierowałyby w jego stronę, oddział kozaków by pognął w jego kierunku... ale on?

Wychylił głowę zza krzaka. Nie było kozaków, fontanny wody opadły, armaty ucichły, nie jest przecież jeneratem. Nikogo nie było, a on stał po kolana w wodzie. Bagno zaczęło już puszczać tej wczesnej wiosny. Czuł wodę w butach, choć przecież dopiero na jesieni kupione i do tej pory spisywały się dobrze. Tuż przed nim płynęła rzeka. Była płytka, nad powierzchnię wody wystawały pojedyncze źdźbła traw, którymi poruszał spokojny nurt. Mile drżały. Woda bardzo czysta, odbijały się w niej kłęby dymu aż tu przygnane od miasteczka. Gdyby to było lato, wykąpałby się w tej rzeczce. Teraz tylko napije się, od wczoraj nic nie jadł, dziedzic Sobkowa nie był zbyt hojny, skąpił nawet chleba, tłumacząc, że wszystko zabrała jakaś nieznana mu partia powstańcza... kłamał, czy mówił prawdę? Oddział Jeziorańskiego był pierwszy w tej okolicy. Pewnie głodni bracia zjedli wszystko, co nadawało się do jedzenia... zwilży więc spieczone usta, obmyje twarz... Wbił swoją staszówkę w dno rzeki, pochylił się, by ręką zaczerpnąć wody... nagle zauważył, że prąd wody porywa zza cholewy jego buta cienkie strumyk krwi... krwawi, to nieustannie krwawi jego bok... krew sptywa aż do butów. Poruszył nogą, wtedy z buta chlusnęła woda, jeszcze bardziej się rumieniąc. Krwawi dość mocno, ale tego nie

czuje. Tylko ten chłód, który idzie po całym ciele. Poczuł go zdecydowanie, aż wstrząsnęło ciałem. Musiał podeprzeć się staszówką.

Zapominając o pragnieniu, ruszył przez rzekę. Teraz chłód wstrząsnął nim raz i drugi. Przyspieszył. By przekroczyć nurt rzeki, musiał zanurzyć się w wodzie powyżej kolan. Uczynił to zdecydowanie. Poczuł dodatkowy chłód. Ciało drżało, ale na nogach był jeszcze większy chłód; przenikliwy, paraliżujący ruchy. Musi iść... tu nie wolno zatrzymać się, nawet przystanąć... za wszelką cenę iść... Zebrał siły i ruszył. Jedną nogę przesunął szybko. Drugiej musiał pomagać, wspierając się na szablę. Była sztywniejsza od pierwszej, mocniej ciążyła. To z cholewy jej buta chlusnęła różowawa krew. Czyżby też była ranna? Nic złego nie czuł. Nie ma czasu zastanawiać się nad tym. Musi iść dalej. Może na twardym brzegu... Następne poruszenia nóg były lżejsze, od razy więc uczynił trzy szybkie kroki, aż potknął się. Miał staszówkę, która pomogła mu utrzymać równowagę. W dnie rzeki musiał być dołek albo duży kamień, którego nie zauważył. Szabla, zabrana karczmarzowi podczas ostatniego postoju w Morawicy, uratowała go od zamoczenia. Powinien iść uważniej. Do brzegu rozlanej rzeki było jeszcze kilka metrów.

Gdy starał się ustalić odległość, zauważył powstańca pijącego wodę. Wreszcie towarzysz... Głowę miał zanurzoną w wodzie, a nogi pozostawały na brzegu. Były bez butów... bez butów w śniegu i błocie! Nie zważając na ból w boku, niebezpieczną wodę, ruszył szybko. Chwycił za potataną kapotę i usiłował podnieść pojącego wodę.

Kapota rozerwała się, głowa znowu chlupnęła do wody. Chwycił powstańca za rękę... była zimna i sztywna. Szarpał w stronę brzegu. Ciało przesuwano się z trudem, aż odwróciło na plecy. Spojrzały na niego wielkie, przerażone oczy, jakby to on miał zamiar staszówką rozplątać policzek i brodę temu nieszczęśnikowi. Duża brunatna plama wyglądała spod porwanej na piersiach koszuli ... odskoczył, przerażony. Garścią śniegu przetarł oczy. Trup jednak nadal leżał obok. Powoli odzyskiwał świadomość. Pomyślał, że powinien pochować to ciało. Tak nakazuje Bóg i żołnierski honor. Pochówek temu nieszczęśnikowi już niewiele pomoże... wróci tu, gdy wyleczy swoją ranę, a na pewno, gdy zwycięży....

Ach rzeka, rzeka. Początek i koniec wszystkiego; źródło i śmierć, chaos i porządek. Narodziny i fizyczna granica. Tyle samo daje pożytku, co i czyni szkód. Doda sił albo utopi. Tyle wysiłku kosztuje każde spotkanie z nią, każde pokonanie jej nurtu. Otwiera i zamyka świat. Rzeka, rzeka!

Sięgnął po szablę i zaczął iść w stronę wzgórza rysującego się na tle szarego nieba.

Pustynia

Na delikatnej pochyłości wzgórza śnieg zalegiwał tylko miejscami, przerywany dużymi płatami brunatnej ziemi. Jednakowo na śniegu jak i na brunatnych płatach było wiele śladów ludzkich butów i zwierzęcych kopyt. Jakby i tu rozgrywała się walka, po której jednak poza śladami nic nie zostało. Ruszył po tej delikatnej pochyłości.

Co raz spoglądał na rękę wysmarowaną ciemniejącą mazią. Raz i drugi zdrową ręką sięgał po śnieg i wycierał krew. Ustępowała z trudem. Ciągłe jednak pozostawały na ręce plamy, a między palcami okropne bruzdy tuszczącej się krwi, za paznokciami również obrzydliwe czarne cienie.

Mimo wycierania, ciągle pojawiała się na niej ciemna strużka krwi, ledwie poruszał palcami. Przecież musiał poruszać tą ręką, skoro druga przyciskała bolący bok albo pomagała mu wspierać się na staszówce. Z szablą szło mu się zdecydowanie szybciej i nieco wygodniej.

Kiedy ostatnim razem przystanął dla zaczerpnięcia tchu, w ręce pojawiło się drętwienie. Jakby łażyły po niej mrówki, jakby zbyt długo trzymał ją w jednej pozycji, na przykład pod głową i tak zasnął wyczerpany wyrąbywaniem drzewa w lesie. Ale to nie łożenie mrówek po ręce ani zbyt długi sen w niewygodnej pozycji denerwowały najbardziej.

Do stróżki krwi, wyciekającej spod rękawa kapoty, dołączyło drętwienie. Chyba było źle. Musi coś z tym zrobić. Rozejrzał się za jakimś schronieniem. W niewielkim dotku, jakby po wyrwanym drzewie, rosły trzy karłowate sosny. Powalone drzewo leżało obok. Przysiadł na jego pniu. Rozpiął kapotę. Chciał rozpiąć koszulę, którą kazała założyć matula, kiedy

szycował się do Langiewicza. To nic, że nowa, nie szkodzi..., tak koniecznie trzeba. W nowej będzie, jakby szedł do kościoła – mówiła matula, podwijając jej trochę przydługie rękawy.

Obolałymi rękami nie mógł rozplątać troków. Palce były sztywne. Musiał szarpnąć i zerwać troki. W miejscu, w które Moskał uderzył go drągiem, krew zakrzepła. Dotem sączyła się świeża stróżka. Próbował zajrzeć do rany, chociaż trochę ją obejrzeć. Nie mógł oderwać od niej koszuli. Musiał mocno szarpnąć. Oooooch... – zasyczał głośno, aż przestraszył się i rozejrzał, czy ktoś nie usłyszał jego stabości. Z rany buchnęła krew... Przysłonił ją ręką, ale krew pojawiła się między palcami. Musi ją zatrzymać... szybko oślabnie. Szarpnął za koszulę w miejscu, gdzie przyszyty był trok. Tu była stabsza. Oderwał jej spory kawał. Matula mu wybaczy... zgniótł go mocno, przyłożył do rany. Naciągnął pozostałą część poły koszuli, kapotę obwiązał rzemieniem i gwałtownie wstał. Wydawało mu się, że ktoś idzie w jego kierunku. Słyszał stąpanie, jakby stąpanie wielu nóg, jakby konie pędziły po grudzie...

Uciekać! Musi uciekać! Wytrzyma!

Chwycił staszówkę i ruszył w popłochu. Niby przybyło mu sił albo... poniósł go strach. Zwolnił jednak po kilkudziesięciu jardach. Znowu opuszczaly go siły. Oddychał z trudem. Odczuwał pragnienie wody. Śnieg, potykany garściami, nie mógł go ugasić. Szkoda, że nie poszedł wzdłuż rzeki. Jej woda była wyjątkowo smaczna i zimna. Ugasiłaby pragnienie i tę gorącość, co pojawia się w piersiach. Ale rzeka płynie po odśnieżonym terenie i zbliża się do drogi... Nie!

Kierował się w stronę kościoła królującego nad okolicą wysoką wieżą. Dzieliła go jeszcze spora odległość..., ale przecież dojdzie. Tam odpocznie. Pośród kamiennych murów i w cieniu krzyża odpocznie szybko. Dojdzie! Już niedaleko. Mimo oślabienia starał się przyspieszyć kroku.

Kościół był już blisko... ale znowu musiał odpocząć, usiąść choć na chwilę, złapać kilka głębszych oddechów. Nie miał już ni joty sił. Rozejrzał się. O dwa kroki obok duży kamień wystawał z ziemi i śniegu. Był płaski, mógł być siedzeniem albo... ottarzem. Ociężale spoczął na nim. Znowu sięgnął po garść śniegu, by kolejny raz obmyć rękę z krwi. Następną garść upchnął w gardło. Gorącość w piersiach cokolwiek ustąpiła. Usłyszał głosy jakichś ptaków. Spojrzał w niebo. Od zachodu ciągnęło spore stado czapli. Wygięte szyje i wyciągnięte poza ogon nogi wywoływały wrażenie pośpiechu. Głośno kwakały, dodając sobie sił do dalszego lotu. Siwe czaple już dążyły na swe żerowiska w płytkiej wodzie. I one zapowiadały wczesną wiosnę. Pewnie niedługo przyjdzie. Zaczął odwracać się na kamieniu, by ustalić dalszy kierunek ich przelotu...

Nagle usłyszał odległe rżenie konia. Potem drugie i trzecie... Rozejrzał się w popłochu. W rzadkim lesie porastającym zbocze Bolmińskiej Grząby, którą przecinała droga z Piekoszowa, coś błyśkało odbitym słońcem. Przyjrzał się uważniej. Kozacy! Konnica! Czy to spóźniony Czengery ciągnął na miejsce małogoskiej bitwy? Pleban Gnutkiewicz długo zachwalał łaski Matki Bożej z Dzieciątkiem Jezus z cudownego obrazu, jakie od lat spływały na parafian. Przedłużał modlitwę. Generał miał za co dziękować Matce Bożej i jako prawy katolik, i jako czuły ojciec. Piekoszowska Wspomożycielka wysłuchiwała błagania i ozdrowiła jego ciężko chore dziecko... nie mógł pośpieszyć plebana z komunią, a opuścić kościół przed błagostowieniem... nigdy nie dopuszczał takiej myśli. Teraz musi gnać co siłą, by zwycięstwa nie przypisano Dobrowolskiemu... Konnica pędziła drogą, a skrajem lasu biegli sołdaty... mrowie! Od Piekoszowa pohukiwały armaty aż chwilami drżała ziemia.

Uskoczył z kamienia za pobliski krzak. Nagle skądś przybyło mu siły. Tu nie wolno mu pozostawać ni jednej chwili dłużej. Sołdaty rozłazą się po lesie, jakby go przeczesywali. Krzaki po kilku krokach zaczęły gęstnieć. Początkowo bardzo powoli, potem zdecydowanie szybciej przesuwali się między nimi. Był już przy kościele...

Stary kościół był znacznie okaleczony. Wieża jego sygnaturki, strącona z dachu, leżała na kamiennych schodach. Jej krzyż obłamany. Prawy narożnik frontowej ściany utracił armatni pocisk. Na ziemi leżała sterta kamieni. To artyleria Dobrowolskiego bombardowała wszystko, co mogło być schronieniem dla powstańców. Szyby w oknach kościoła były wytłuczone. Kolorowe szkiełka zachowały się ledwie w kilku kwaterach. Nieprzyjemnie trzeszczały pod nogami. Między nielicznymi grobami na przykościelnym cmentarzu znaczyły się dość głębokie doły, jakby już wierni zaczęli kopać sobie groby. To były doły po armatnich pociskach.

Przysunął się do muru. Przywarł policzkiem do zimnych kamieni, mocno oparł się o ścianę, jakby szukając w niej ratunku, nisko opuścił głowę. Wargi jego zaczęły dygotać. Coś szeptał. Niby rozmawiał ze sobą lub z kimś, kto go słyszy, lecz nie odpowiada. Tylko słucha. Po chwili, choć ręka ze staszówką mocno bolała, uniósł ją nieco. Wsadził szablę w otwór po wybitym szkle i pchnął ją mocno, jakby godził w dragona. Metal poleciał dość daleko i z brzękiem spadł na kamienną posadzkę u stóp obrazu Matki Bożej. Uczuł ulgę. Podniósł głowę, spojrzał w szare niebo. Siwe czaple już znikły z jego tła. Maryja podniesie jego szablę i obroni się. Tylko Szwedowi udało mu się ją okaleczyć, kozakowi nie pozwoli... On musi uchodzić dalej. Teraz żaden obrońca z niego. Nie ma siły, a sołdatów coraz więcej na zboczu. Niech mu Maryja wybaczy, musi szybko uchodzić...

Ucieczka

Coraz więcej konnych jeźdźców pojawiało się na pochyłości wzgórza. Między nimi szperali piechurzy. Przeszukiwali krzaki, oglądali drzewa, podejrzewając, że i w ich koronach mogli ukrywać się buntowszczyki. Sołdaty też kierowali się w stronę kościoła.

Spojrzał na wzgórze po drugiej stronie kościoła. U jego stóp rozciągała się szeroka dolina porośnięta lasem. Na północnym krańcu doliny, nieco w bok od kolejnego wzgórza, coś zdecydowanie odróżniało się od matowej zieleni. Jakby dachy chałup. Dolina wydawała się spokojna. Może tam nie ma wojsk Dobrowolskiego ani Czengerego? Tam pójdzie.

Przeżegnał się z szerokim zamachem ręki, westchnął z żalem i opuścił zrujnowany kościół. Ruszył w dół. Przechodząc obok kościelnych schodów zawalonych resztkami sygnaturki, znowu zerknął na krzyż, który wyciągał do niego ramiona. Jedno z nich było nadłamane. Drugie solidne, jakby niedawno poprawiane. Jeszcze widać było na nim niemal świeże uderzenia siekiery... Zabierze go ze sobą, poniesie. Niech to będzie i jego krzyż. Nadłamane ramię pozostawił na schodach między resztkami sygnaturki.

Po pochyłości szło mu się znacznie lepiej. Nogi niosły niemal lekko, nie odczuwały kilkutygodniowego marszu dolinami i wzgórzami prastarych gór, przez rzeki, bajora i po stromiznach ich skał, po śniegu i roztopach wcześniej przychodzącej wiosny. Unikając nieustannie dróg. Od Bodzentyna, przez Święty Krzyż, Staszów, Pierzchnicę, Morawicę, Sobków, aż pod Małogoszcz. Nieustannie w bitwach i potyczkach, ucieczkach i pościgach – nogi niosły go posłusznie od tyłu dni. Teraz nawet postrzelona ręka jakby mniej krwawiła, a rozpruty piką bok mniej bolał. Szło mu się szybko i lekko. Gdy zanurzył się w lesie, odgłosy obecności wojska Czengerego ucichły, ich widok znikł. Już nie odczuwał strachu, nawet przestał się oglądać.

Kierował się na wysokie wzgórze zwane Miedzianką, z którego od pokoleń wydobywano miedź. Jego długie górnicze korytarze mogą zapewnić doskonałe schronienie. Przewodnik prowadzący ich przez las, wspominał o tym. Tam pójdzie. Przed wrogami od szwedzkich czasów broni tego miejsca Wojtek Miedzianostopa. Może i jego obroni, uchodzi przecież za wielkiego patriotę oddanego ziomkom. O Miedziance i jej obrońcy jeszcze wczoraj opowiadał jeden z chęcińskich żupników...

Teraz może dłużej odpocząć. Należy mu się to po biegu od kościoła w dół, kiedy wydawało mu się, że słyszy tupot sołdackich sapogów. Twarz pali od uderzeń gałęzi, przecież nie zważał na nie ani nie osłaniał twarzy. Nogi płaczą się z wysiłku, rozpruty bok nadal piecze, a przez suche gardło ledwie przeciska się powietrze... tylko ręka nie krwawi... Może już całkowicie uszła z niej krew? Uśmiechnął się do swojej głupiej myśli.

Wyszedł na dużą śródleśną polanę. Wyznaczały ją rzadkie w tym lesie brzozy. Otaczały one polanę wieńcem. Pośrodku zalegiwał bielutki śnieg. Miejskami zlewał się z bielą brzóz, a miejscami ostro kontrastował z brązową szarością leśnego runa. Wokół brzóz rozłożyły się niebieskie przebiśniegi. Przypominały niebo lekko zapróśzone jasnymi i ciemnymi chmurkami... W kącie polany, od północnej jej strony na drzewach chwiały się trzy cienie. Coś go ukuło w serce. Ruszył do nich szybko... to chyba powieszeni powstańcy... nie mieli okryć ani butów, właściwie nie mieli ubrań, tylko nędzne koszuliny ostantały ciała przed uderzeniami wiatru. Jednego z nich znał – Macieja Grocha. Przystąpił do ich partii pod Chmielnikiem, skąd pochodził. Był czeladnikiem u piotrowickiego krawca, marzył o własnym warsztacie... To chyba on? Twarz wykrzywiona przerażeniem i z dużą plamą zaschniętej na policzku krwi tylko nieco go odmieniała. Jego powieszonych towarzyszy nie znał. Gdy powiał nawet delikatny wiatr, ciała ożywały. Przy większych podmuchach zaczynały kręcić się, odchyłać na boki, zbliżając się do siebie, niemal dotykając, to znowu oddalając. Wykonywały jakiś makabryczny taniec śmierci. Jedna z obciążonych gałęzi skrzypiąta, jakby charczały gardła wisielców.

Znowu zaczął uciekać. To było dzieło żołdatów Czengerego – powtarzał sobie w myśli. – To były ciała ziemskich nieszczęśników, którym ubzdurata się wolna ojczyzna. Żołdaty przeczesują lasy i wieszają schwytanych „buntowszczyków”. Nie podarują nikomu, kogo dopadną... Potknął się o jakąś gałąź. Gdyby nie krzyż, którym podpart się odruchowo, upadłby niechybnie. Jeszcze raz przystanął przed zanurzeniem się między drzewa. Obejrzał się. Nie było polany, nie było brzóz, nieba niebieskich kwiatków ani powieszonych na drzewach trupów. Na horyzoncie nie było też wyniosłego wzgórza Miedzianki, na którym planował dłuższy odpoczynek. Tylko las, który otaczał go głuchą ciszą. Wszystko inne gdzieś przepadło, znikło. Czy tak już ostatecznie, że ma wzrokowe omamy?

W widoku tej polany, z bielą śniegu pośrodku, obwiedzionej białymi brzożami wyrastającymi z niebieskich obłoków przebiśniegów i z dyndającymi trupami ludzkimi na obrzeżu była wielka ironia losu, wybryk natury. Był o tym głęboko przekonany. Niebo wypełniło się śmiercią. Jakby diabeł zakpił sobie z boskiego dzieła.

Przeżegnał się kolejny raz i znowu ruszył zdecydowanie. W lutym dzień zapada wcześnie. Musi iść, jeżeli chce znaleźć dobrych ludzi, którzy postują mu schronieniem. Tu ciągle niebezpiecznie, kozacy mogą pojawić się w każdej chwili. Czengery nie spoczną dopóty, dopóki nie wytrzebi wszystkich buntowszczyków... długo modlitwa w piekoszowskiej świątyni go nie powstrzyma.

Śmierć

Przekroczył kolejny wiejski trakt, ominął kolejne dwie wioski. W pierwszej wydawało mu się, że widzi konnych, więc przycupnął na długą chwilę w rowie dla sprawdzenia czy to prawda, czy kolejny majak. Dalej ruszył dopiero, gdy nogi zaczęły drętwieć a w wiosce nic się nie poruszyło, ciałem zaś wstrząsały trudne do powstrzymania dreszcze. To było złudzenie. W drugiej wiosce, przypadkowo napotkany chłop, sam zatrzymał swój nędzny wóz ciągnięty przez chudą krowę, gdy tylko zauważył obcego powoli kroczącego skrajem drogi. Już mu było wszystko jedno, niewiele się nawet rozglądał. Szedł i szedł... Dobry chłopina przestrzegł go, żeby nie zachodził do wsi. W niej sőtys z kilkoma chłopami uzbrojonymi w drągi czeka na takich jak on, żeby sprzedać Moskałom za pięć rubli-srebrników.

Podziękował chłopu uniżenie, krzyżem pobłogosławił i postuchał go. Odbił bardziej na północ ku Rykoszynowi, jak radził chłop. Już minął tę wioskę, a następną, z dwoma wysokimi wieżami kościoła, obszedł dużym łukiem. Głodny był okrutnie, ciałem wstrząsały coraz większe dreszcze, zęby głośno o siebie stukały. Może przy kościele dają jakąś strawę, ogrzać się chociaż można... Podczas dotychczasowej tułaczki w wielu miejscach spotykali się z taką hojnością plebanów. Ale chłop mówi, że to wioska, gdzie pleban sprzyja generałowi. Tam lepiej się nie pokazywać. Wolał jeszcze raz zaufać chłopu. Mimo głodu, zmęczenia i chłodu obszedł wioskę wielkim łukiem i już wydawało mu się, że kozacy Czengerego zostali daleko w tyle. Poszli do miasteczka, gdzie bój toczyło kilka powstańczych partii... Wtedy niespodziewanie znowu na trakcie prowadzącym z wioski do dużego miasta pojawiło się kilku jeźdźców... to chyba ci od generała Czengerego, wytapujący buntowszczyków?

Pędziło ku niemu trzech konnych. Jeden z nich nieco pozostawał w tyle, jakby dosiadał słabszego konia. Dwaj pozostali wysorowali się zdecydowanie przed niego. Ci dopadną go w pierwszej kolejności. Już chyba nie zdąży im ucieść... Głośniejsze zaczął wymawiać słowa modlitwy i próbował przyspieszyć kroku...

Nie zważając, że na pustym polu nic go nie ostanta, że jest całkowicie widoczny dla kozaków, starał się uciekać dalej. Nie szukał drogi ani krzaków. Pędził prosto przez pola w stronę lasu, który złudnie wydawał mu się bardzo blisko. Strach dodał mu siły.

Jeszcze starał się przekroczyć wąską dróżkę prowadzącą od kilku chatup rozrzuconych po okolic w stronę niewielkiego potoku. Potknął się na czymś śliskim i stoczył do rowu w połowie wypełnionym wodą, która spływała do potoku. Nie mógł z niego wyjść. Zdrętwiała ręka i bok bardzo przy tym przeszkadzały. Śliskie, gliniaste zbocze podcinało nogi. Również resztki krzyża nie pomogły, choć starał się mocno wbić drzewce w ziemię. Ślizgało się po glinie gorzej

niż jego nogi. Chwycił za gałązkę krzaka porastającą brzeg rowu. W niej upatrywał jedyny ratunek. Gałązka była cienka i wiotka, ale mocno trzymała się niewiele grubszego pnia. Ciągnął za nią i powoli gramolił się na brzeg. Udało się z trudem. Wtedy dostrzegł na niewielkim wzgórku wysokie mury pałacu, który sponął przed kilkoma laty. Gdyby żyli poprzedni jego właściciele i budowniczkowie, szczególnie hrabia Adam Tarto, mógłby szukać w pałacu ratunku. To patrioci, walczyli z Moskalami już od ponad wieku. Obecny właściciel niewiele troszczy się o pamięć przeszłości...

Ledwie wydostał się z gliniastego rowu, Kozacy byli już przy nim. Ci dwaj pierwsi zatrzymali się na brzegu potoczka, tuż nad jego ciałem i... zaczęli się śmiać, widząc jego przerażone oczy i krzyż, którym starał się zastronić przed ich szablami. Z takim przerażeniem patrzył na niego dragon, kiedy pierwszy sięgnął swojej staszówki i wysoko uniósł ją nad jego głowę. Pewnie tak miał wytrzeszczone oczy, jak on teraz.

Damasceńska stał szabli kozaka rozłupała krzyż, zastaniający głowę powstańca, na drobne kawałki. Szeroko rozprysły się one po okolicy. Rozłupała też głowę, a krew zalała wytrzeszczone ze strachu oczy. Powstaniec osunął się na kolana. A kiedy kolejny jeździec, dosiadający stabszego konia, mając wątpliwości czy na pewno nie żyje, mocno dźgnął go dzidą, buntowszczyk padł na twarz w stronę rzeczki. Jakby znowu chciał napić się ożywczej wody, by odzyskać choć trochę sił i uciekać dalej. Ciało nie sięgnęło jednak wody. Teraz dwóch kozaków cięto go szablami, a ten przybyły ostatni, jakby chciał nadrobić stracony z powodu słabego konia czas, wielokrotnie zatapiał w obumierającym ciele dzidę...

Ciało powstańca już nie odczuwało uderzeń szabel ani ukłuć dzidy... obumierało.

Epilog

Rosjanie, krwawo okupujący tę krainę, długo nie pozwalali chować ciał poległych patriotów, chcąc odstraszyć innych od buntu i kolejnej walki. Ludowa bajduła opowiada, że porąbane przez kozaków nad potokiem w Brynicy ciało powstańca niespodziewanie jednak znikło mimo zakazu, jakby zapadło się do ziemi nad strumykiem, a w miejscu tym pojawił się krzyż. Cały był z twardego, mocno brązowego, niby zakrzepła krew, kamienia, który zalegiwał na tej ziemi dość obficie. Na jego postumencie, poniżej nóg ukrzyżowanego Chrystusa, jakby oprawiona w ramki, pojawiła się trupia czaszka z przeraźliwie głębokimi oczodołami. Była ona znakiem, że pod krzyżem spoczywa święte ludzkie ciało. Kamień, z którego zbudowany był krzyż, gęsto zaleguje na powierzchni i w głębi tej ziemi w postaci dość płaskich płyt, nieraz narażając mieszkańców na dodatkowy trud przy pracy, ale i pozwalając im budować z niego swoje solidne domy. Jest tutejszym bogactwem.



Krzyż powstańczy w Brynicy. Fot. autor.

Moskale i zaprzędani im pobratymcy-mordercy zamierzali zniszczyć krzyż, ale nikt się nie odważył tego dokonać. Jakaś tajemna siła otaczała go opieką i ościąta, rękę uniesioną do uderzenia ogarniała dziwna niemoc i opadała bezwładnie. Każdy śmiać odstępował od dzieła zniszczenia. A wzdłuż drogi tej wioski i w innych pobliskich ludzkich siedliskach zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Nieoczekiwane i niezauważane, po każdym kolejnym buncie albo wojnie, gdzie tylko ziemia nasiąkała ludzką krwią, pojawiały się krzyże. Ludzie byli święcie przekonani, że powstawały one z odłamków powstańczego krzyża przyniesionego tu z Bolmińskiej świątyni a posiekanego przez Moskali... Każdy z nowych krzyży troskliwie otaczany był wielką czcią, dlatego większość z nich dotrwała do współczesnych czasów.

Krzyż na granicy Brynicy i Piekoszowa stoi do dzisiaj, przypominając tamtą tragiczną historię sprzed lat. Jednak trochę nadszarpnął go czas. Kamień miejscami pokruszał, metalowe uchwyty na narożach postumentu, podtrzymujące narodowe flagi podczas dostojnych świąt, pokryty się rdzą. Niedługo przestaną pełnić swoje funkcje. Ciało ukrzyżowanego Chrystusa należało przymocować do kamienia choćby drutem, żeby nie utonęło w potoczku. Tylko ta trupia czaszka ciągle przypomina, że krzyż stoi na mogile człowieka do końca oddanego swojej Ojczyźnie.

Obrazki z ulicy Zagórskiej

Dr Jan Główka

Ulica Zagórska w Kielcach, historyczny trakt wiodący z zachodu na wschód, niegdyś nawet do Krakowa, zawsze wyróżniała się niepowtarzalnym kolorytem. Czy wydarzyło się tutaj kiedyś coś niezwykłego, wartego opisanie, coś, co mogłoby obudzić naszą wyobraźnię? Z czasów dzieciństwa pamiętam tunę pożaru szalejącego prawdopodobnie w Mójczy lub w Zagórze, kilka kilometrów od naszego domu. Stałem w oknie przytrzymywany przez Mamę i obserwowałem rozgrzany do czerwoności nieboskłon.

Ważnym wydarzeniem był dla mnie, kilkuletniego chłopca, przejazd dorożki, powożonej przez woźnicę uzbrojonego w bat, którym oganiał się przed chłopakami wieszającymi się pomiędzy czarnymi żelazami resorów tylnych kół. Niekiedy z okien domu, lub z podwórza, widać było przejazd karawanu, który samą swoją formą poruszał wyobraźnię. Czarny, oszklony, bogato zdobiony, powożony jak pamiętam przez dwa konie, wyłaniał się jakby z kart jakiejś interesującej książki, jak wbrew wszystkiemu przypomnienie nieśmiertelności tej ulicy.



Dziadek Stanisław Marcinkowski.

Konie na pewno czarne, przynajmniej tak wryły się w moją pamięć, przyozdobione były białymi kitami, jakby pióropuszcami sterczącymi wysoko ponad końskim

tbami. Koła powozu poddawały się wyszczerbionym kamieniom bruku, stukot kopyt powoli cichł w miarę jak zaprzęg podążał w stronę Zagórza, a później coraz głośniejszy o innym natężeniu, ze śmiertelnym ładunkiem oddalał się w kierunku centrum miasta.

O tym nigdy wówczas nie myślałem, ważniejszy był wspaniały widok, który przynosił mi wiele radości, podobnie jak widok ułanów w granatowo-czerwonych mundurach z olbrzymiego albumu, w ciężkich czarnych okładkach, który dziadek dawał mi do obejrzenia gdy jako mały chłopiec leżałem chory w łóżku. Ułani Księcia Józefa poruszali moją wyobraźnię, brałem do rąk drewniane kredki, malowałem wielkie bitwy, w których brali udział bohaterowie rodzinnych opowieści.

Pamiętam także pojawienie się na mojej ulicy cygańskich wozów, był to prawdopodobnie przejazd niewielkiego taboru, kolorowej kawalkady prowadzonej przez starych, brodatych mężczyzn. Kobiety w długich spódnicach od czasu do czasu odwiedzały pobliskie wsie Zagórze i Mójczę, niektóre zapuszczały się w kierunku centrum miasta. Dzieci ostrzegano przed wiecznymi wędrowcami, straszono starymi Cygankami, ale ciekawość brała górę i prawie zawsze za wozami cygańskimi biegła gromada dzieci.



Wóz konny, Kielce 1960, fot. J. Buczkowski.

Z konnymi wozami wiąże się także całkiem inna zabawa polegająca na ukradkowym wskakiwaniu na sam koniec fury zaprzężonej z reguły w jednego konia, którą gospodarz z Zagórza wracał z targu wioząc resztki niesprzedanych towarów. Taka zabawa kończyła się zwykle jak najgorzej dla niechcianego pasażera,



Autobus Star 52 na Placu Panny Marii, ok. 1960 r.

przegnanego przez rozgniewanego gospodarza. Właściwie to te furmanki były prawdę powiedziawszy najlepszym i niezawodnym środkiem transportu, w czasach gdy jeszcze nie było miejskiej komunikacji.

Niezwyczajnym wydarzeniem było na pewno pojawienie się pierwszego asfaltu na wybrukowanej jezdni. Od tej pory, a więc najprawdopodobniej od początku lat sześćdziesiątych, przestał nas budzić turkot wozów konnych podążających w każdy wtorek i piątek na pobliski targ. Jazda stała się o wiele łatwiejsza i komfortowa, czego potwierdzeniem stało się pojawienie pierwszego autobusu komunikacji miejskiej, który z dumną ósemką na okrągłej tarczy nad przednią szybą zbliżył nas do odległego miasta.

Oczekiwało się na śmieszny biało-niebieski albo biało-czerwony autobus z drzwiami otwieranymi z tyłu. Wytaniał się zza góry, sptywał majestatycznie między drewnianymi domkami i nielicznymi willami wśród ogrodów, spoza których pobłytykiwały zielone łąki. Jechało się do miasta, na targ, na bazy, na ulicę Żeromskiego, na stację kolejową. Miasto było nadal mityczne, odległe, tajemnicze.

Lody

Jedną z niezwykłych atrakcji, szczególnie dla dzieci, była wizyta lodziarza. Ciągnął za sobą, a może jednak pchał – dokładnie już w tej chwili nie pamiętam

– mocno trzymając pałkowaty, metalowy uchwyt niewielkiego zdezelowanego wózka, który na swych dwóch kółkach z trudem pokonywał nierówności chodnika ulicy Zagórskiej. Czasem właściciel tego interesu zmieniał marszrutę, wjeżdżał na kocie łby jezdni i wówczas dawał się słyszeć turkot wabiący amatorów słodkiego specjału. Towarzyszyły temu zjawisku głośne okrzyki będące swoistą reklamą produktu. Lodziarz nawoływał głośno: lody, lody śmietankowe, lody śmietankowe...

Natychmiast spoza drewnianych płotów, poniszczonych furtek, z głębi ogrodów ujętych w prostokąty drewnianych parkanów wybiegały całe stada dzieci czekających z niecierpliwością na pojawienie się lodziarza.

Mężczyzna w białej niegdyś marynarce, teraz nieco przybrudzonej, z gracją zatrzymywał swój wózek, uważnie rozglądał się wokół, liczył już pewnie swój przyszły zarobek. Zawijał przyzółtkę rękawy marynarki, groźnie spoglądał na niesforną kolejkę i zaczynał sprzedaż. To właściwie nie była sprzedaż lodów, to było przedstawienie, cały rytuał odbywający się na całej długości Zagórskiej począwszy od miejskiej rzeźni, poprzez okolice sklepu spożywczego Pani Jaroszewej, aż po dolne rejony, gdzie kończyło się miasto.

Z kremowych wnętrzności drewnianej paki wózka wytaniał się blaszany grzbiet ocynkowanej bańki, która po otwarciu roztaczała wokół nieziemski

aromat specjału zwanego lodami. W osobnym pudełku właściciel przechowywał wafle koloru prawie żółtego, pokryte spieczoną kratownicą wzoru, pachnące i na pewno chrupiące, jak wydawało się gromadzie dzieci otaczających sprzedawcę.

Mężczyzna zgrabnym ruchem zanurzał w brzuchu bańki dużą tyżkę i nakładał zawartość do wafła, przykrywając go drugim postrzępionym i łamiącym się kawałkiem. I już można było smakować słodki nektar, który był czymś zupełnie niezwykłym w swoim niezwykłym smaku. Ile ta przyjemność kosztowała nie pamiętam, to chyba jakaś zupełnie symboliczna kwota, na którą było stać wszystkie biegające po Zagórskiej dzieciaki.

Rodzice zabraniali oczywiście kupowania lodów z tak niepewnego źródła, w dodatku na ulicy, gdzie zapach końskiego nawozu mieszał się z zapachem kurzu wybuchającego spod kół przejeżdżających drabiniastych wozów. Czasami jednak udawało się przechytryć albo uprosić opiekunów i lody były już moje.

Sporty uliczne

Najważniejszym sportem była jazda na hulajnodze, tak bardzo wówczas popularnej i łatwo dostępnej. Pojazd ten wykonany prawie w całości z drewna był marzeniem wszystkich chłopaków. Pozwalał na najdalsze zjazdy w dół ulicy, stawał się symbolem motoryzacji, małe drewniane kółka opasane oponami sporządzonymi z litej gumy wystukiwały w dziurach chodnikowych płyt rytmiczną melodię.

Z hulajnogą wychodziło się do ogrodu, aby na krętych ścieżkach ćwiczyć slalomową jazdę, hulajnoga towarzyszyła w drodze po zakupy, była obecna na rodzinnych spacerach.

Czasami jednak dochodziło do katastrofy. Najczęściej spowodowane to było zużyciem się metalowej osi przewleczonej przez tulejkę pośrodku kółka. Wówczas trzeba było o naprawę poprosić dziadka, który wśród najrozmaitszych rupieci w garażu chował narzędzia i niezbędne akcesoria. Niekiedy niszczyła się gumowa opona, czasami zdarzało się, że pod wpływem zderzenia z murem, parkanem lub ulicznym drzewem pękał uchwyt – kierownica. To wszystko powodowało, że porządek dnia był już poważnie zaburzony. Z niecierpliwością czekało się na naprawę, bo jazda na hulajnodze była naprawdę rozrywką wspaniałą, a posiadanie nowej hulajnogi sprawiało, że właściciel stawał się lepszy, pewniejszy siebie, górujący nad innymi.

Od hulajnogi niedaleko do rowerka, tego wymarzonego, najpierw trójkątowego, później normalnego, dziecięcego, ale jeszcze z kijem służącym do prowadzenia przez kogoś z opiekunów. Rower też był przedmiotem zazdrości, trudno dostępny wtedy



Bracia Stanisław i Jan Marcinkowscy z rodzinami.

w końcu lat pięćdziesiątych. Aż w końcu dostałem rower w prezencie imieninowym od mojego dziadka.

Szczęśliwi byli ci, których ojciec jeździł do pracy swoim dużym „dorostym” rowerem. Można było wtedy jeździć „pod ramą”, co wymagało pewnych ekwilibrystycznych umiejętności i czasami kończyło się upadkiem.

Niektórzy bardziej odważni chłopcy podkradali się tuż za jadącymi dorożkami lub furmankami, aby przycupnąć z tyłu i chociaż trochę zażyć komfortu jazdy pomiędzy resorami, lub wśród pustych worków po kartoflach sprzedanych na targu.

Z reguły kończyło się to wychłostaniem przez dorożkarza lub woźnicę batem, wydającym charakterystyczny świst poprzedzony zwykle okrzykiem właściciela pojazdu:

Ja ci pokażę ty taki owaki...!!! Wówczas koledzy zazdrośni o tę chwilę spędzoną na wozie krzyczeli: batem go, batem panie woźnico!

Namiastką tych wszystkich paramotoryzacyjnych zajęć było bieganie po ulicy z fajerką od pieca prowadzoną za pomocą specjalnie wygiętego drutu. Słychać było przy tym charakterystyczny dźwięk. I chyba najbardziej ekstremalny sposób na podwyższenie poziomu adrenaliny u siebie, rodziców i dziadków: przebieganie przed zbliżającym się samochodem. Wygrywał ten, który wytrzymał jak najdłużej i prawie ocierał się o maskę zbliżającej się „Warszawy”.

Sklep

Wchodziło się po kilku schodkach, których profil naruszył ząb czasu. Któż po nich nie chodził? Na pewno kobiety wstępujące po ciastka i cukierki dla pociech wiezionych w dziwnych, niskich, biało-kremowych wózkach z postawionymi daszkami i okienkami z bakelitu chroniącymi od słońca. Robotnicy z pobliskich zakładów mięsnych, zwanych przez miejscowych rzeźnią, przeskakiwali przez rynsztok. Ciemnobrunatna ciecz wylewała się spoza wysokiej, drewnianej bramy oddzielając ich od upragnionych drzwi. Uczniowie z pobliskiej szkoły na dużej przerwie pili „na miejscu” oranżadę z ciemnozielonych lub ciemnobrązowych butelek zamykanych skomplikowanym mechanizmem

drutów, porcelanowego korka i gumowej uszczelki. Gość w wysokich gumiakach ze składu makulatury przychodził pogawędzić z właścicielem sklepiku w narożnej kamienicy.

Gruby, stary – jak się wówczas wydawało – mężczyzna za ladą, nalewał piwo do kufli, ważył kietbasę i ser, pakował do papierowych torebek butki za pięćdziesiąt groszy. Milicjant w okrągłej czapce na głowie, z paskiem pod brodą zwracał uwagę sklepikarzowi na papierki snujące się pod murem. To dziwne, ale w tamtych czasach dbano o porządek, być może jeszcze z rozpędu, tkwiły w ludzkiej świadomości przyzwyczajenia sprzed kilkunastu, najwyżej dwudziestu lat.

Koń zaprzężony do wozu wkładał łeb do brudnego, szarego, płóciennego worka zawieszonego przy dyszlu i wyjadał siano. Woźnica postawił bat w kącie sklepu, na niezbyt czystej podłodze, wyjął z kieszeni monetę z rybakim. Stary człowiek z chaplinowskim wąsikiem trzasnął przed nim porządnym, szklanym kuflem. Biała piana wylała się na metalową, złotą płytę kontuaru.

Piwo ubywało z kufła, brązowa szkapa posiliła się sianem z worka i wyjadając trawę spod drewnianych, nierównych i wyschniętych do stalowo-sinej barwy sztachet oddalała się coraz bardziej od sklepiku wygryzając kępki roślinności żółtymi zębiskami. Właściciel zaprzęgu niespiesznie poprawił maciejówkę z czarnym błyszczącym daszkiem i zbiegł po schodkach klnąc siarczyście.

Smakowite landrynki trafiały do uczniowskich kieszeni, Turek w dziwnym nakryciu głowy tupał okiem z opakowania kawy zbożowej, na drewnianej pomalowanej na biało farbą olejną półce. Trzasnęły porcelanowe korki, uwalniając spieniony płyn z butelki oranżady. Chłopczy w granatowych mundurkach z białymi kołnierzykami spijali łąpczywie czerwony, słodki płyn. Bąbelki uderzały do nosa, smak pozostawał na długo, aż do następnej dużej przerwy.

Właściciel sklepiku, a właściwie baru, przed wojną, jeszcze przed I wojną światową, był znanym w mieście restauratorem. Pomimo przeciwności losu z powodzeniem karmił miejscowych, szanujących się majstrów i urzędników, przyjezdnych kupców, których prawie obowiązkiem było gościć w zaniedbanej sali z tukowym sklepieniem, szarym od dymu tytoniowego, przesiąkniętej zapachem lamp naftowych i kuchennym aromatem.

Targ

Wśród niewielkich wzgórków sztucznie usypanych przez całe dziesięciolecie wydobywania gliny usytuowały się stragany. Wozy drabiniaste i zwykłe chłopskie wozy stały pod szarym, drewnianym płótem. Jego nierówne, potamane sztachety kłuły niebo. Kominy pobliskich wapienników zamykały horyzont po stronie południowej. Za nimi nic ważnego już się wydarzyć nie mogło. Gdzieś niedaleko jeziora zmuszały do poszukiwania zarośniętej trawami ścieżki. Miejsce to nazwano „dołami Siekluckiego”, od nazwiska byłego właściciela, którego w mieście nikt spotkać już nie mógł. Garnki różnej wielkości ustawione na ziemi, sąsiadowały z workami różnego bogactwa przywiezionego przez chłopów. Gospodynie domowe niosły w siatkach gdaczące kury przeznaczone na niedzielny rosół. Mężczyźni w brudnych, zabłoconych butach wkładali ręce do drewnianych skrzynek obitych metalową siatką. Gołębie czekały na swoich nowych właścicieli.

W tekturowych pudełkach śmiesznie ruszały łapkami czarno-białe króliki, usiłując umknąć ciężkim łapskom spoconych właścicieli, ubranych w nienaturalnie błyszczące i wymięte czarne marynarki, pamiętające jeszcze przedwojenne czasy. Nieogolone, ogorzałe twarze, w bezzębnym okrzyku zachęcały kupujących.

Zawsze chciałem posiadać takiego królika, który w naszym ogrodzie mógłby śmiesznie kicać, uniknąwszy drucianej niewoli klatki. Miałem wówczas nie więcej niż pięć, może sześć lat, gdy z babcią chodziłem na targ. Króliki, gołębie, małe pieski, sery, wiejskie kobiety z białymi tobołkami na plecach, to wszystko było udziałem mojej malutkiej wyobraźni.



Targowisko przy dołach Siekluckiego, fot. P. Piersciński, 1967.

Guziki

W wąskiej szufladzie maszyny do szycia marki „Singer” poniewierały się od lat różnokolorowe guziki wykonane z kości, drewna, bakelitu i te najciekawsze – metalowe przynoszące zapach pól bitewnych, okopów, morskich fal. Orty dwugłowe, ukoronowane, lśniące mosiądzem szponów, nieliczne bez korony z literą „S” i te z pierwszego okresu niepodległości, sąsiadowały ze sobą zastygłe w bezruchu.



Orzetek dziadka.

Kilka z nich zdobyło z pewnością kurtkę mundurową, której dziadek nie zdążył wystać do swojego brata dowodzącego jednym z okrętów wojennych cesarza Franciszka Józefa. Potwierdzały to słowa dziadecznego stryja Jana pisane pięknym kaligraficznym pismem na małym kartoniku karty pocztowej ostemplowanej pieczęcią poczty polowej.

„Kochany Staszku! Posyłam ci moją podobiznę i proszę o odpowiedź na mój list z 8 sierpnia, w którym cię prosiłem żebyś mi przysłał pilnie infant, bluzę z wykładanym kołnierzem. Jak ci się powodzi i co porabiasz. Mnie dosyć dobrze. Na urlop będę mógł pewnie aż w grudniu jechać. Jak bym miał prędzej widoki to cię zawiadomię. Bardzo by mi było przyjemnie po tylu latach z tobą się widzieć. Proszę odpisz zaraz. Całuję cię, Jan”.

Kartka, a właściwie zdjęcie z miejscem na korespondencję, wystana we wrześniu 1917 r. przedstawiała podobiznę mojego dziadecznego stryja w letnim mundurze w otoczeniu oficerów. Monarchia chyliła się już ku upadkowi, koniec był nieuchronny.

Wreszcie w małej miejscowości w Galicji pojawił się listonosz roznoszący jednakowe, charakterystyczne, barwne karty pocztowe z nadrukiem przedstawiającym flagi państw Ententy. Na każdej z nich opatrzonej dodatkowo stemplem „CENSURA MILITARE. PRIGIOMIERI GUERRA. VERIFICATO”, widniało przeważnie kilka wyrazów. Dziadek nakreślił stereotypowe

słowa: *„Kochani! Jestem w niewoli włoskiej, zdrów. Do zobaczenia. Wasz Stach”.*

I wreszcie kilka wierszy notatek sporządzanych przez Dziadka Stanisława w niewoli włoskiej w końcu roku 1918. Z pozostałych już kart małego notesu, na kratkowanym papierze, można odczytać dzisiaj równe, staranne pismo. Otówek ostro zastrugany, jakich wiele potem w moim dzieciństwie oglądałem na stole Dziadka, zapisywał ciekawostki z życia codziennego.

„Dziś rano popijaliśmy jak wolni obywatele kawę z cukrem zagryzając cwibakiem, a przez cały dzień będziemy się futrować makaronem. Przed 2 dniami zastrzelił włoski podporucznik czeskiego podoficera sztabowego. Powód: wzajemne wypoliczkowanie. W nocy mieliśmy złodzieja w namiocie, mnie skradł kawałek chleba, kamizelkę starą i dobry płaszcz deszczowy; złodzieja nie schwyciliśmy, więc przepadło. Oprócz tego ukradł 2 pudełka pomidorów. Dochodzą nas słuchy, że do kraju nie możemy wrócić, natomiast wskutek starań Paderewskiego mamy odejść w głąb Włoch i tam jako internowani na dobrych warunkach mamy czekać aż się ukończą rokowania.

W obozie spisują ochotników do armii polskiej. Ja nie bardzo w to wierzę abyśmy stąd prędko odeszli. W każdym jednak razie na ochotnika, chociaż już starzy weterani, pójdziemy ochoczo i chociaż reumatyzm łamie kości, za swoją ziemią pójdziemy stąd wszyscy. Śmiertelność wielka wśród ludzi wskutek osłabienia i głodu. Teraz właśnie wynoszą umarłego z namiotu”.

Wyzwolenie

Kilka miesięcy po tym, gdy dziadek powiesił w piwnicy na zarzewiałym gwoździu plecaki uszyte w sierpniu 1944 r., sakwojaż, który miał odegrać kluczową rolę w wędrówce przez lasy świętokrzyskie ku Warszawie, w ogrodzie pojawił się sowiecki czołg. Czerwona gwiazda, symbol nowych czasów całkowicie zdominowała szaro-brunatną kolorystykę styczniowego poranka. Od Zagórza jechały w kierunku miasta coraz to nowe pojazdy wypełnione żołnierzami w grubych, watowanych kurtkach. Opowieści o karabinach na sznurkach były już nieaktualną plotką-legendą, która w zderzeniu z najbardziej wymyślnymi środkami służącymi do uśmiercania wroga uciekającego w poścachu na zachód, nie znajdowała żadnego oparcia. Chociaż pewne elementy wschodniego obyczaju, wschodniego myślenia i łapczywego zagarniania wszystkiego, co można było włożyć do kieszeni, worka, plecaka, zjeść, ukraść, schować, pozostały.

– Gdzie twoi czasy? Zapytał skośnooki żołnierz Pana Inżyniera – a nie była to wizyta kurtuazyjna.

– Już giermance wzięli – odpowiedział Pan Inżynier Eugeniusz Zagrodzki, znający trochę mowę naszych nowych przyjaciół z czasów budowy transsyberyjskiej linii kolejowej.

– Nam nużny czasy szto by charaszo strielat katuszami – kontynuował skośnooki.

- U nas niet czasow, no u nas mnoga wodki - przyszedł z pomocą Inżynierowi Mój Dziadek.

- No dawaj, moźiet byt wodka - z zadowoleniem krzyknął skośnooki.

Mieszkańcy domu odetchnęli, na jakiś czas zagrożenie stało się mniej wyczuwalne, a przynajmniej można było spodziewać się, że najgorsze już minęło. Najważniejszy był przecież pierwszy kontakt, pierwsza reakcja obydwu stron.

Trzydzieści lat później realia tego styczniowego poranka stały się trochę mniej ostre, jakby zamazane upływem czasu, niektóre fakty nabierały nowej wartości, zgodnej z wymaganiami chwili. W każdym razie uczennice pobliskiego liceum, zbierające informacje na temat ofensywy styczniowej otrzymały od Dziadka zapis tamtych wydarzeń potwierdzający fakt poszukiwania przez spragnionych żołnierzy radzieckich szklanki wody i bochenka chleba przed wymarszem na wyzwolenie Europy.

Hycel

W jednej chwili wszystkie psy z naszej ulicy zmykały z podkulonymi ogonami w kierunku Zagórza, gdzie pośród chatup, szop, pomiędzy zagajnikami można było zmylić czujność i zniknąć bez śladu. Tymczasem od starej rzeźni, gdzie stódki zapach krwi płynącej rynsztokiem stawał się zapowiedzią losu, nadjeżdżał powoli dwukołowy wózek zaprzężony w starego wychudzonego konia, którego młode lata zniknęły już dawno za horyzontem ludzkiej myśli.

Na kocich łbach podskakiwały drewniane koła ujęte w żelazne, wyszczerbione i sztukowane obręcze. Trzymając lejce w jednej dłoni, a bat w drugiej, szedł obok wozu mężczyzna w starym, wyszarzałym, roboczym ubraniu. Kurtka, a właściwie kufajka przewiązana skórzanym paskiem, zdawała się nie mieścić kilku warstw flanelowych koszul pozbawionych guzików. Mężczyzna spoglądał podejrzliwie wokoło, a jego twarz zdradzała podenerwowanie.

Zapewne był to niemiły widok, ale dla dzieciaków z ulicy bardzo interesujący, coś działo się

w tej codziennej egzystencji, w tym rozkładzie dnia odmierzonym przez kolejne wezwania dziadków lub rodziców na positek do domu. Nie chcieli się wracać do domu ani na chwilę. Czas spędzony w ogrodzie, lub na zabawach podwórkowych nigdy się nie dłużył.

Zapachy

Zagórska miała swoje specyficzne, niewyobrażalnie trwałe i niepokojące zapachy. Pierwszy z nich to zapach łąk i pól otaczających domy przy mojej ulicy, zapach majowych chrabąszczy, które całymi chmarami przelatywały od drzewa do drzewa, a złapane do stoików lub pudełek od zapalek chciały się wydostać na wolność, przebierając śmiesznie czarnymi nóżkami. W majowym słońcu nagle czuło się zapach końskiego łajna z bruku ulicy, zmieszanego z aromatem siana z worków, które woźnice wieszali na końskich szyjach, gdy spragnieni wstępowali na piwo do sklepu spożywczego.

Kiedyś pojawił się zapach smoty, którą pracownicy powlekali dach naszego domu pod czujnym okiem Dziadka Stanisława. Aromat smoty przypomnieli wkrótce robotnicy wylewający asfalt na kilkudziesięcioletni bruk, pamiętający jeszcze czasy miasta gubernialnego. Zapachy niosły ze sobą przemijanie historii, ustawiały w równym rzędzie mniej istotne zjawiska, nad którymi pojawiały się te najważniejsze, decydujące o naszym życiu codziennym i przyszłym.

To zapach atramentu w szklanym kałamarzu wpuszczonym w drewnianą ławkę o pochylonym blacie przez jakiś czas był dla mnie najważniejszy.

Cieszyłem się na samą myśl zapachu kolei, parowozu, pary i tego wszystkiego, co kojarzyło się z dalekimi jak wówczas sądziłem, podróżami. Pojawił się wreszcie intrygujący smak powietrza przesyconego pierwszymi, a więc bardzo wyraźnie odczuwanymi spalinami.

Wszystko to było aromatem historii, która powstawała, oplatata nas pozostawiając po sobie realny świat codzienności, obrazy najbliższych ulic, domów, wizerunki ludzi, którzy przemijali.



Rzeźnia przy ul. Zagórskiej, fot. J.Buczkowski, 1960.

Poligon wojskowy 2 Dywizji Piechoty Legionów w Daleszycach w latach 1923-1939

Dr Tadeusz Banaszek

2 Dywizja Piechoty Legionów (DPLeg.) jako związek taktyczny Wojska Polskiego została sformowana w Jabłonie i Zegrzu w lutym 1919 r. pod dowództwem gen. Bolesława Roja. Dywizja wzięła udział w walkach podczas wojny polsko-bolszewickiej m.in. w operacji litewsko-białoruskiej (kwiecień 1919 r.), w rejonie Hrubieszowa (sierpień 1920 r.), w operacji niemeńskiej (wrzesień – październik 1920 r.)¹.

Po okresie pełnienia służby granicznej oddziały 2 DPLeg. do sierpnia 1922 r. stacjonowały na Podlasiu². W sierpniu 1922 r. poszczególne pułki dywizji tj. 2 pułk piechoty Leg. (pp), 4 ppLeg. i 2 pułk



Bolesław Roja dow. 4 ppLeg. w 1916 r. na Wotyniu. *Album Legionów Polskich, 1935.*

artylerii polowej Leg. (pap) przybyły do garnizonów na terenie województwa kieleckiego (Kielce, Pińczów, Staszów), za wyjątkiem 3 ppLeg., który skierowano do Jarostawia i Niska³. W 1931 r. w celu poprawy warunków zakwaterowania 2 ppLeg., bez I batalionu (pozostał w Staszowie), dyslokowano do garnizonu Sandomierz⁴.

W składzie dywizji od 1932 r. funkcjonowała także kompania telegraficzna, przekształcona następnie w kompanię łączności. Od 1932 r. przy 4 ppLeg. utworzony został Dywizyjny Kurs Podchorążych Rezerwy 2 DPLeg. szkolący szeregowych z cenzusem, tj. poborowych – absolwentów szkół średnich, szkół wyższych, seminariów nauczycielskich – przyszłych oficerów rezerwy.

W okresie pokojowym na czele 2 DPLeg. stało ogółem trzech dowódców: ptk (od 1924 r. gen. bryg.) Aleksander Łuczyński-Narbutt (1921 r.-kwiecień 1930 r.), ptk (od 1932 r. gen. bryg.) Juliusz Zulauf (kwiecień 1930 r.-1937 r.) oraz ptk Jan Edward Dojan-Surówka (1937-1939). Latem przeprowadzane były ćwiczenia podsumowujące proces wyszkolenia poszczególnych pułków dywizji. Ćwiczenia i koncentracje oddziałów 2 DPLeg. odbywały się m.in. w rejonie Bieliny – Wola Jachowa – Skorzeszyce (lipiec-sierpień 1928 r.), Staszowa (lipiec-sierpień 1929 r.), Kurozwęk (lipiec-wrzesień 1930 r.), Sędziszowa – Szczekocin – Częstochowy – Wodzisławia (sierpień 1933 r.), Wojciechów- Bidzin- Przybysławic- Słobutki Szlacheckiej (sierpień 1934 r.), Leśnika Małego – Dzierzkowic na Lubelszczyźnie (sierpień 1935 r.)⁵.

Dla zapewnienia właściwego przebiegu szkolenia bojowego jednostek 2 DPLeg. w 1923 r. zorganizowano w Niwkach Daleszyckich pod Daleszycami, w powiecie kieleckim obóz ćwiczeń (OC).

³ *Piętnastolecie 4ppLeg. 24.06.1915-24.06.1930*, Kielce 1930, s.16; *Korpus Przemyski 1918-1928*, Przemysł 1929, s. 21-22; Centralne Archiwum Wojskowe w Warszawie (CAW), *Diennik Rozkazów Dowództwa Okręgu Korpusu Nr X z 1922r.* Należy nadmienić, że na terenie województwa kieleckiego w latach 1919-1922 stacjonowały bataliony zapasowe 3ppLeg. (Radom, następnie od października 1921r. Ostrowiec), 4ppLeg. w Kielcach. Batalion zapasowy 2ppLeg. został przeniesiony we wrześniu 1921r. z Piotrkowa Trybunalskiego do Pińczowa, bateria zapasowa 2 papLeg. stacjonowała w Radomiu.

⁴ T.Banaszek, *Historia garnizonu Sandomierz w latach 1918-1939*, Sandomierz 2012, s.25.

⁵ CAW, 2DPLeg., sygn. I.313.2.32; Archiwum Państwowe w Kielcach (APK), Urząd Wojewódzki kielecki I (UWK I), sygn.7742, k. 223.

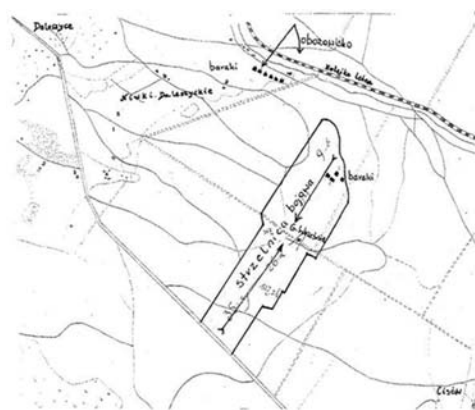
¹ M.Wrzosek, *Wojny o granice Polski Odrodzonej 1918-1921*, Warszawa 1992, s.110; J. Margules, *Drugie dywizje w bojach o Polskę 1776-2000*, Warszawa 2003, s.81-91

² J.Izdebski, *Dzieje 9 Dywizji Piechoty 1918-1939*, Warszawa 2000, s.98



Delegacja 4 ppLeg. u dowódcy 2 DP, gen. Juliusza Zulaufa (w środku). Fot. ze zb. Stow. Żołnierzy i Sympatyków 4 pułku.

OC to miejsce okresowego pobytu wojsk poza rejonem stałej dyslokacji, przeznaczone do szkolenia bojowego w warunkach pokojowych, wyposażone w strzelnicę, place ćwiczeń i miejsca zakwaterowania⁶.



Plan sytuacyjny strzelnicy bojowej i obozowiska OC w Niwkach. Opr. autor.

W okresie międzywojennym w Wojsku Polskim zorganizowano stałe poligony artyleryjskie i obozy ćwiczeń w poszczególnych dziesięciu okręgach korpusów. Były to m.in. OC Rembertów, Raducz, Grupa, Toruń, Biedrusko, Pohulanka, Barycz, Czerwony Bór. W okresie letnim organizowano OC dla poszczególnych dywizji piechoty.

W połowym szkoleniu wojska OC odgrywały bardzo ważną rolę. Miały one za zadanie stworzyć odpowiednie warunki dla pobytu oddziałów wojskowych w warunkach zbliżonych do pola walki, w tym przysposobić żołnierzy do życia w trudnych warunkach. Dlatego przed OC stawiano wymagania, aby posiadał duży obszar, bogatą rzeźbę terenu i mógł zapewnić jednostkom wojskowym zakwaterowanie w obiektach stałych. OC miał znajdować się w bliskiej odległości od placów ćwiczeń i strzelnic szkolno – bojowej i bojowej, posiadać: dogodny dojazd do szosy lub stacji kolejowej, studnie z wodą, wodę do kąpieli (rzekę,

rzeczkę lub jezioro), budynki lub baraki przeznaczone na izbę chorych, dowództwo, stajnie i magazyny⁷.

Żołnierze 2 DPLeg. odbywali w OC Daleszyce szkolenia, głównie w okresie letnim – od maja do września. OC był miejscem ćwiczeń oddziałów 2 DPLeg. i składał się z placów ćwiczeń, placu strzeleckiego, strzelnicy bojowej, rzutni granatów oraz właściwego obozu.

Komendant OC odpowiedzialny był przed dowódcą dywizji za uregulowanie i zabezpieczenie ćwiczeń poszczególnych oddziałów, za ochronę i utrzymanie zabudowań i strzelnicy oraz wszelkie sprawy administracyjno-obozowe.

Na terenie poligonu zbudowano strzelnicę bojową „Daleszyce” w oparciu o Górę Wrześnię o powierzchni 127,5 ha. Kompleks wojskowy strzelnicy bojowej wchodził w skład garnizonu Kielce i nosił numer 175. Prawo własności do terenów strzelnicy należało do Dyrekcji Lasów Państwowych w Radomiu. W związku z powyższym za korzystanie z tego terenu wojsko płaciło czynsz, regulowany pomiędzy Ministerstwem Spraw Wojskowych, a Ministerstwem Rolnictwa (od 1932 roku Ministerstwem Rolnictwa i Reform Rolnych)⁸.

Na terenie strzelnicy znajdowały się cztery baraki oraz stanowiska do prowadzenia strzelania z różnych rodzajów broni strzeleckiej. Strzelnicą bojową, według *Instrukcji o wyborze i urządzaniu strzelnic bojowych* z 1924 roku: *były tereny użyte każdorazowo do przeprowadzenia strzelania bojowego, umożliwiające, tak pojedynczemu strzelcowi, jak i strzelającemu oddziałowi, zachowywanie się zgodnie z wymogami rzeczywistego boju, a zapewniające dowódcom jednostek, od drużyny począwszy, pełną swobodę w powzięciu decyzji taktycznej*⁹. Strzelnice bojowe dzielono na przejściowe i stałe.



Fragment strzelnicy bojowej w Niwkach. Fot. autor.

Strzelnica bojowa „Daleszyce” należała do stałych i składała się z dwóch osi. Pierwsza, o długości około

⁷ CAW, Dowództwo Okręgu Korpusu Nr IV, sygn. I.371.4.130.

⁸ Tamże, Departament Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych, sygn. I.300.63.195 i I.300.63.146.

⁹ *Instrukcja o wyborze i urządzaniu strzelnic bojowych*, Warszawa 1924.

⁶ *Leksykon wiedzy wojskowej*, Warszawa 1979, s. 249.

1400 m, druga – o długości około 1300 m. Całkowita długość strzelnicy wynosiła około 2700 m, zaś jej szerokość dochodziła do około 800 m.

Place do ćwiczeń taktycznych znajdowały się w Niwkach, pod Stopcem, Górnem, Skorzeszycami i Wolą Jachową. Wojsko organizowało obozowisko w okolicach stacji kolejki leśnej Niwki na rozległej polanie. Zajmowało ono powierzchnię około 1,5 ha. Rozmieszczono tam na stałe sześć baraków służących jako zaplecze gospodarcze oraz kwatery dla oficerów. Wykorzystywano także dwa budynki służbowe (dozorcy oraz kancelarii ruchu i drużyny parowozowej obsługującej kolejkę leśną) należące do Państwowego Zarządu Kolei Leśnych w Zagnańsku. Żołnierze podczas ćwiczeń byli zakwaterowani w namiotach oraz na kwaterach w miejscowościach: Niwki, Skorzeszyce, Sieraków i Smyków¹⁰. Podoficer służby sanitarnej 4 ppLeg. Jerzy Barycki tak opisał obozowisko: *Miejscem postoju pułku była rozległa polana otoczona wysokopiennym lasem. Na jej skrajach stało kilka dużych drewnianych baraków służących zapleczu gospodarczemu pododdziałów i kilka domków będących kwaterami oficerów. Zasadniczy stan wojska rozlokowany był w namiotach kompanijnych obok których podoficerowie i żołnierze urządzili klomby z elementami pułkowymi i hasłami...*¹¹.



Czwartacy na letnim poligonie w Niwkach.
Ze zb. Stanisława Wyrzyckiego.

¹⁰ CAW, 2 Dywizja Piechoty Legionów, sygn.I.313.2.17 i i.313.2.30; J. Barycki, *Moje żołnierskie wspomnienia, cz. I. Czas stabilizacji 1926–1939*, brw., s.187

¹¹ J. Barycki, *Moje żołnierskie wspomnienia...*, s. 187.

Istotną rolę władze wojskowe podczas szkolenia w OC przykładały do ochrony przeciwpożarowej oraz przeciwepidemicznej. Komendant obozu wydawał zarządzenia przeciwpożarowe, w których zwracano uwagę na ochronę budynków, namiotów i obszarów leśnych. W zakresie działań przeciwepidemicznych i sanitarnych podejmowano działania mające na celu ochronę przed kurzem i opadami atmosferycznymi urządzeń kuchennych i studni, wykonywanie dołów na odpadki, właściwe utrzymanie czystości latryn, wyznaczenie miejsc i wody do mycia się żołnierzy i mycia naczyń. Zabraniano żołnierzom spożywania niedojrzałych owoców i picia jednocześnie wody. Chorych zakaźnie natychmiast izolowano i odsyłano do szpitala¹². Należy zwrócić uwagę, że podczas szkolenia żołnierze często narzekali na pchły, które były wówczas plagą.

Władze wojskowe nakazywały również przestrzeganie tajemnicy wojskowej przez samych żołnierzy uczestniczących w szkoleniu w OC. W zakresie ochrony tajemnicy wojskowej zabronione było wywieszanie na widok publiczny tabliczek z nazwami oddziałów i pododdziałów, informowanie osób cywilnych, jakie jednostki znajdują się w obozie oraz podawanie do wiadomości publicznej w rozmowach szeregowych z miejscową ludnością nazw oddziałów i pododdziałów stacjonowanych w obozie, oraz ich miejsc stałego postoju¹³. Podczas przebywania w OC żołnierze mieli obowiązek zakrywania naramienników mundurów z numerem pułku.

Pododdziały jednostek szkolących się w OC wyruszały na ćwiczenia letnie, zabierając ze sobą oprócz uzbrojenia – z zapasami umundurowania, żywności, amunicji, kuchniami polowymi, bagażem osobistym oficerów, kantiną żołnierską oraz stołówkami kasyn oficerskich i podoficerskich. Większość tych rzeczy była przewożona wozami taborowymi, ze względu na brak pojazdów mechanicznych¹⁴. Natomiast do transportu większych tarcz strzelniczych wojsko korzystało z kolejki leśnej Kielce – Niwki Daleszyckie.

W sierpniu 1924 r. w OC odbyły się manewry 2, 3 i 4 ppLeg. wraz z pododdziałem czołgów, którymi dowodził osobiście dowódca 2 DPLeg. płk Łuczyński, a obserwował wicewojewoda kielecki dr Adam Kroebel¹⁵.

Znaczącym wydarzeniem w działalności OC była koncentracja 2 DPLeg. wraz z przydzielonymi oddziałami broni pancernej i kawalerii w dniach od 24 lipca do 3 września 1926 r. Wówczas tylko z 2 pap Leg. z Kielc w ćwiczeniach wzięło udział: 489 żołnierzy, 14 dział, 277 koni, 14 jaszczy, 18 wozów, 12 kotłów (kuchni polowych). Z kompanii czołgów ćwiczyło 72 żołnierzy, a ze szwadronu kawalerii 100 ułanów¹⁶.

¹² CAW, Dowództwo Okręgu Korpusu Nr IV, sygn.I.371.4.130.

¹³ Tamże.

¹⁴ J. Barycki, *Moje żołnierskie wspomnienia...*, s. 123–124.

¹⁵ „Gazeta Kielecka” 1924, nr 34.

¹⁶ CAW, 2 palLeg., sygn. I.322.2.5.



Kielce, lata trzydzieste. Czwartacy wracają z poligonu. Ze zb. Stanisława Wyrzyckiego.

Podczas koncentracji, 7 sierpnia 1926 r. wizytował żołnierzy Marszałek Józef Piłsudski, który został uroczysto powitany przez wojsko, władze i mieszkańców Daleszyc. Przebywał tutaj w godzinach popołudniowych. Następnie udał się do Kielc na V Zjazd Legionistów i zakończenie III Marszu Szlakiem Pierwszej Kompanii Kadrowej¹⁷.

Od 1932 r. w OC przebywali również żołnierze Dywizyjnego Kursu Podchorążych Rezerwy 2 DPŁeg. Przykładowo w czerwcu 1936 r. w OC szkolono się 162 podchorążych wraz ze 190 żołnierzami plutonów manewrowych pułków piechoty z Kielc, Jarostawia i Sandomierza. Zakwaterowani byli wówczas w dwudziestu namiotach¹⁸.

Jeden z podchorążych, Ludwik Zaręba, wspominał szkolenie w OC Daleszyc: *Naszym terenowym placem ćwiczeń była miejscowość Niwki Daleszyckie. Był to piaszczysty poligon, na którym wykonywaliśmy różnego rodzaju ćwiczenia, jak na przykład marsze, czy okopy tzw. przedpiersia i inne...*¹⁹.

Należy podkreślić, że w OC Daleszyc 2 pal Leg. oraz plutony artylerii pułków piechoty 2 DPŁeg. odbywały również ostre strzelania artyleryjskie, m.in. w lipcu i sierpniu 1926 i 1927 r., lutym 1932 r., lipcu 1934 i 1936 r.²⁰ W czerwcu 1939 r. nie mogły się odbyć w Daleszycach ostre strzelania 2 pal-Łeg., w związku z tym skierowano jednostkę do OC Dęba²¹.

W OC organizowano także szkolenie żołnierzy młodego rocznika 4 ppŁeg. Przykładowo ćwiczenia takie przeprowadzono w dniach od 22 lipca do 13 sierpnia 1935 r. z udziałem żołnierzy pięciu kompanii piechoty i kompanii ciężkich karabinów maszynowych. Wyżywienie żołnierzy zorganizowane było w oparciu o osiem kuchni polowych²². Od 6 do 24 czerwca 1938 r. w OC Daleszyc szkoloną się kompania łączności 2 DPŁeg. dowodzona przez kpt. Michała Banasiaka²³.

Porządek dnia żołnierzy podczas przebywania w OC przedstawiał się następująco: w dni powszednie – pobudka o godzinie 4, następnie do 4.30 toaleta poranna, od 4.30 śniadanie i wymarsz na strzelnicę, od 5 do 12 strzelanie, od 12 do 15 obiad i odpoczynek, od 15 do 18 zajęcia, od 18 do 20.15 kolacja i czas wolny, od 20.15 do 21 apel wieczorny i o 21 capstrzyk. W niedziele i święta pobudka i śniadanie były w godzinach 7–8.30, następnie od 8.30 do 12.30 przeprowadzano nabożeństwo i pogadanki, od 12.30 do 17.30 obiad i czas wolny, od 17.30 do 20.15 kolacja i czas wolny. Apel wieczorny i capstrzyk odbywał się w tych samych godzinach, jak w dni powszednie²⁴. Jak wynika z przedstawionego porządku dnia, najwięcej czasu przeznaczano na zajęcia szkoleniowe. Podczas pobytu w OC rozgrywano zawody strzeleckie i sportowe, głównie w dni wolne pomiędzy poszczególnymi pododdziałami i jednostkami.

W czasie zgrupowań w OC organizowano służby dyżurne: oficera i podoficera służbowego obozu, wartę

¹⁷ *Gazeta Kielecka* 1926, nr 63.

¹⁸ CAW, 2 DPŁeg., sygn. I.313.2.30

¹⁹ *Po egzaminie maturalnym, Profile. Pismo Społeczno-Kulturalne Polonii* z 26 września 2009 r.

²⁰ S. Babiarz, *Zarys historii jednostek Wojska Polskiego stacjonujących w koszarach na kieleckim Stadionie*, Kielce 1995, s. 8–10, 12.

²¹ CAW, 2 DPŁeg., sygn. I.313.2.41.

²² CAW, 2 DPŁeg., sygn. I. 313.2.34.

²³ Tamże, sygn. I.313.2.59.

²⁴ Tamże, 4 ppŁeg., sygn. I.320.4.5.



Marszałek J. Piłsudski na poligonie w Niwkach w sierpniu 1926 r. Fot. ze zb. Agencji „JP”.

obozową i pogotowie oraz trębacza służbowego. Zmiana służb odbywała się o godzinie osiemnastej.

Oprócz szkolenia bojowego podczas obozu letniego prowadzono z żołnierzami pracę kulturalno-oświatową. Wycieczki należały do najchętniej przyjmowanych przez żołnierzy form pracy kulturalno-oświatowej. Według władz wojskowych podczas ich organizowania należało zwracać uwagę na obiekty świadczące o gospodarczej sile państwa, urządzenia obronne, pamiątki związane z historią, kulturą Polski, dziejami oręża polskiego, obiekty oddające piękno architektury oraz piękno krajobrazu Polski²⁵.

Wycieczkę z żołnierzami 4 ppLeg. po Górach Świętokrzyskich podczas szkolenia w OC Daleszyc latem 1938 roku, tak wspominał podchorąży Dywizyjnego Kursu Podchorążych Rezerwy 2 DPLe., (późniejszy legendarny dowódca oddziału Armii Krajowej) gen. brygady w stanie spoczynku Antoni Heda: *Wkrótce wymaszerowaliśmy z szeregowcami w służbie czynnej na ćwiczenia obozowe do Daleszyc koło Kielc. Plutonem dowodził starszy sierżant Proksa, wspinały podoficer. Zamieszkaliśmy w namiotach. Zajęć było sporo, ale w niedzielę nie wiadomo było co zrobić z wolnym czasem. Wpadłem na pomysł, żeby robić wycieczki w Góry Świętokrzyskie... Wyruszyliśmy w sobotę po obiedzie, zaopatrzywszy się w suchy prowiant pobrany za kolację w tym dniu i za całą niedzielę... O zachodzie słońca stanęliśmy na Świętej Katarzynie, wchodząc do wioski zwartą grupą, ze śpiewem... Koło godziny 15-tej znaleźliśmy się u wrót Świętego Krzyża. Po kościele i kryptach oprowadził nas zakonny*

²⁵ Instrukcja o pracy oświatowo- kulturalnej i wychowawczej w wojsku, Warszawa 1931, s. 35.

*ksiądz. Zerknęliśmy także na dziedziniec najcięższego podówczaś w Polsce więzienia...Najważniejszy jednak, zwłaszcza dla tych z nas, którzy byli tu po raz pierwszy, był udany widok, jaki roztaczał się przed naszymi oczami: w oddali pasmo Jeleniowskie, Małowski i Klonowski, Góra Chełmowa i Wyżyna Małowska bliżej – ogromne bloki gładów kwarcytowych, a w dole, wspinała, stawna Puszcza Jodłowa*²⁶.

OC Daleszyc był rozbudowywany, przede wszystkim w latach 1938–1939 za sprawą ptk dyplomowanego Stefana Roweckiego – dowódcy piechoty 2 DPLe., który traktował to zagadnienie priorytetowo²⁷.

Dużą uciążliwość żołnierzom przysparzała droga prowadząca z Daleszyc do obozu. W kwietniu 1937 r. dowódca dywizji gen. Bryg. Juliusz Zulauf skierował pismo do wojewody i starosty kieleckiego o wydanie zarządzenia dotyczącego wybudowania drogi dojazdowej do obozu w Niwkach Daleszyckich długości około 1500 m, ponieważ wozy taborowe i żołnierze „grzęzły w piachu”²⁸. W związku z tym, iż władze powiatowe nie zrealizowały powyższej prośby, w sierpniu 1939 r. żołnierze 4 ppLeg. odbywający ćwiczenia umocnili drogę kamieniami oraz pomogli przy budowie mostu na Belniance²⁹.

Pptk Aleksander Idzik – zastępca dowódcy 4 ppLeg. wspominał: *W miesiącu lipcu 1939 r. odszedł pttk do obozu letniego do Niwek Daleszyckich, oddalonego o kilkanaście kilometrów od Kielc, dla odbycia ćwiczeń polowych, ostrych strzelań bojowych i rzutów ostrymi*

²⁶ A. Heda, *Wspomnienia „Szarego”*, Warszawa 1991, s. 9–11.

²⁷ Stefan Rowecki. *Wspomnienia i notatki autobiograficzne (1906–1939)*, Warszawa 1988, s. 81.

²⁸ Tamże.

²⁹ CAW, 4ppLeg., sygn. I. 320.4.8; relacja ustna Wacława Woźniaka w posiadaniu autora.

granatami. Droga do obozu prowadziła przez Daleszyc, skąd w bród przez rzeczkę Lubrzanekę (powinno być – Belniankę, przypis autora) i około 3 kilometry przez piachy. Po okolicznych lasach pełno było kamieni. Narzuciła się więc myśl, aby drogę piaszczystą wyłożyć porozrzuconymi po lasach kamieniami. Porozumiano się z wójtem z Daleszyc, porozmawiano z nadleśnictwem o drzewie na mostek, a gdy wszyscy zgodzili się i na drogę i na most, żołnierze z wielką ochotą znosili kamienie i układali je wzdłuż drogi wytyczonej. Drzewo na most przygotowywało nadleśnictwo, a gmina miała wyłożyć drogę zniesionymi kamieniami. Dzień 15 sierpnia, dzień zwycięstwa nad bolszewikami był obchodzony uroczystie w Daleszycach, przy tłumnym udziale okolicznej ludności³⁰.

Pobyt wojska na poligonie sprzyjał mieszkańcom Daleszyc i pobliskich miejscowości. Ludność zapraszano na obchody Święta Żołnierza (15 sierpnia), występy orkiestry, w tym podczas nabożeństw w kościele parafialnym Św. Michała Archanioła. W lipcu i sierpniu w 1926 r., codziennie w godzinach od 18 do 19 na rynku w Daleszycach koncertowała dla mieszkańców orkiestra 2 pap Leg.³¹.

Żołnierze rozdawali także broszury o tematyce patriotycznej. Organizowano pogadanki wychowawcze dotyczące służby wojskowej czy zagadnień higieny. Wojsko zakupywało na okres ćwiczeń żywność oraz wynajmowało odpłatnie konie, wozy i kwatery, co przyczyniało się do wzrostu dochodów mieszkańców. Przykładowo w 1928 roku za dobę służby konia płacono właścicielowi od 6 do 8 zł, a za pobrany wóz z uprzężą 2 zł³². Należy również wspomnieć, iż do pilnowania terenu strzelnicy jako dozorczy byli zatrudniani przez dowództwo 4 ppLeg. miejscowi mieszkańcy.

Latem 1927 r. kompania 4 pułku saperów z San-domierza, biorąca udział w manewrach, wybudowała pod Stopcem most na Trupieni długości 42 m wraz z drogami dojazdowymi o długości 789 m. Pomimo, że most miał służyć głównie dla wojska, mieszkańcy zwrócili się z prośbą o zezwolenie na korzystanie z mostu i drogi, co skróciło drogę do Daleszyc i Kielc³³.

Również społeczeństwo współpracowało z wojskiem. Przykładowo w sierpniu 1935 r. organizacja Przy-sposobienie Wojskowe i Rodzina Leśnika z Daleszyc zorganizowały na strzelnicy bojowej „majówkę”, na którą zostali zaproszeni oficerowie i podoficerowie 4 ppLeg. Wstęp wynosił 50 groszy. Podczas „majówki” koncertowała orkiestra pułkowa³⁴.

Z pobytem wojska wiązały się także kłopoty dla rolników, głównie z powodu wyrządzanych szkód na polach. Wojskowe przepisy jednoznacznie określały

tryb postępowania dowódców ćwiczących oddziałów w takich przypadkach³⁵.

W ramach współpracy ze Związkiem Harcerstwa Polskiego wojsko zorganizowało w lipcu 1928 r. w Niwkach kurs dla zastępowych i drużynowych Kieleckiej Chorągwi Harcerskiej, w ilości 80 harcerzy. Obóz harcerski uroczystie otworzył dowódca dywizji gen. Bryg. Jerzy Łuczyński, a kapelan garnizonu kieleckiego ksiądz ppłk Stanisław Cieśliński odprawił mszę świętą³⁶.

Na terenie poligonu dochodziło do wypadków żołnierzy. Jeden z najtragiczniejszych miał miejsce 17 lipca 1928 r., podczas rzucania granatami ręcznymi. W wyniku wypadku zginął jeden żołnierz, a czterech zostało rannych, w tym kpt. Ludwik Piotrowski, który ostonił rzucającego granatem przed wybuchem. Pomocy poszkodowanym żołnierzom udzielili harcerze przebywający wówczas na szkoleniu³⁷. W sierpniu 1939 r. jeden z żołnierzy utopił się w Belniance³⁸.

Maria Michalczyk – późniejsza szefowa wywiadu Armii Krajowej placówki Górno, w swoich wspomnieniach tak opisywała szkolenie żołnierzy w OC Daleszyc w 1939 r.: *Ruch wojska w okolicy Daleszyc latem 1939 r. pozornie nie był dla nikogo dziwnym zjawiskiem. Od wielu lat każdej wiosny do Niwek Daleszyckich przyjeżdżało wojsko z Bukówki (koło Kielc). Tym razem przedstawiało się to nieco inaczej. Wiosenny pobyt wojska na ćwiczeniach przedłużył się na okres lata i wyraźnie widać było stale powiększaną liczbę żołnierzy...*³⁹.

Pod koniec sierpnia 1939 r. ćwiczący żołnierze 4 ppLeg. w trybie alarmowym w związku z ogłoszoną mobilizacją opuścili obóz i udali się do Kielc.

Daleszycki poligon odegrał ważną rolę w szkoleniu oddziałów 2 DP Leg. w okresie międzywojennym. Należy również wspomnieć, iż w 1946–1947 r. szkoliły się na tym terenie pododdziały 4 pp 2 Warszawskiej DP z Kielc.



Autor niniejszego artykułu we współpracy z Nadleśnictwem Daleszyc opracował jeden z przystanków Ścieżki Przyrodniczo-Historycznej im. Wybranieckich w Lasach Cisowskich, który jest poświęcony OC Daleszyc. W dniu 8 listopada 2012 r. staraniem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Kielcach, Nadleśnictwa Daleszyc i Urzędu Miasta i Gminy Daleszyc, odsłonięto w Niwkach Daleszyckich pomnik poświęcony wizycie Marszałka Józefa Piłsudskiego w OC w 1926 r.

³⁰ Czwarty Pułk Piechoty 1806–1966, Londyn 1966, s.434 – 435.

³¹ CAW, 2 ppLeg., sygn.I.322.2.5.

³² Archiwum Państwowe w Kielcach (dalej: APK), Urząd Wojewódzki Kielecki 1919–1939 (UWK I), sygn. 7753.

³³ Korpus Przemyski, Przemysł 1929, s. 52.

³⁴ CAW, 4 ppLeg., sygn. I.320.4.4.

³⁵ APK, UWK I, sygn. 7742, k. 43 – 45.

³⁶ „Gazeta Kielecka” 1928, nr 53 i 54.

³⁷ Tamże, nr 57.

³⁸ J.Barycki, *Moje żołnierskie wspomnienia...*, s.192.

³⁹ M. Michalczyk, *Gdy każdy dzień był walką*, Warszawa 1982, s. 13.

Historia Stowarzyszenia Żołnierzy i Sympatyków 4 pułku w latach 1990 - 2009

Antoni Nowak

Problematyką pierwszych dokonań Stowarzyszenia Żołnierzy i Sympatyków 4 pułku piechoty Legionów zajmował się przed laty Stanisław Piotrowicz. Z kolei pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku tematykę tę podejmował na łamach kieleckiego *Słowa Ludu* znany regionalista dr Cezary Jastrzębski. Pora, po dłuższej przerwie, przywołać choćby niektóre z wielu ważnych inicjatyw Stowarzyszenia, którego piszący te słowa był i jest aktywnym członkiem.



Przemiany polityczne w Polsce, zachodzące od 1989 roku umożliwiły otwarte nawiązywanie do przemilczanych, zamazywanych lub przekręcanych po 1945 roku faktów historycznych. Stąd w wielu środowiskach ludzi związanych z odradzaniem się w 1918 roku niepodległej Polski oraz z tradycjami okresu międzywojennego, poczęto organizować stowarzyszenia. o charakterze patriotycznym, których celem było kultywowanie polskiego dziedzictwa narodowego, otwarte mówienie o tym, co do tej pory było tłumione przez cenzurę. W tym nurcie znalazły się tradycje oręża polskiego, dzieje formacji wojskowych w I wojnie światowej, szczególnie Legionów Polskich oraz tradycje wojskowe dwudziestolecia międzywojennego.

W tym czasie na terenie Kielc i w okolicy żyło jeszcze wielu ludzi, w tym byłych legionistów, doskonale pamiętających czasy swego zaangażowania w Czyn Niepodległościowy, jak też weteranów walk obronnych we wrześniu 1939 roku oraz podziemia

okresu okupacji hitlerowskiej. Wysiłek kontynuowania patriotycznych tradycji podjęli też oficerowie, stacjonującej w historycznych koszarach 4 pułku piechoty Legionów na Bukówce jednostki wojskowej. Miejscem łączącym wojskowe tradycje były te właśnie koszarzy i stanowiąca przedmiot swoistego kultu replika kaplicy z „Osiedla Rojowego” na Wołyniu z 1915 r. Szczęśliwie dotrwała ona do czasu przemian, zapoczątkowanych w 1989 roku. To przed nią rozpoczynały się w okresie międzywojennym coroczne uroczystości tradycyjnego Święta Pułkowego.

Postacią wiążącą wspomniane grupy ludzi stał się kapelan Garnizonu Kielce, ks. mjr Stanisław Rospondek, żywo przejęty stanem kaplicy, służącej w okresie PRL-u za podręczny magazyn. Ksiądz kapelan był zainteresowany propagowaniem czwartackich tradycji wśród społeczeństwa. Stąd w 1990 roku, jeszcze przed formalnym utworzeniem Stowarzyszenia Żołnierzy i Sympatyków 4 Pułku w Kielcach, zorganizował w kościele garnizonowym w dniu Święta Czwartaków – 24 czerwca – pierwsze po wojnie uroczystości pułkowe. Święto przyczyniło się do integracji środowisk kombatanckich oraz przypominało kielczanom bogate tradycje legionowe.

W okresie międzywojennym, grono służących w tym pułku doświadczonych oficerów i podoficerów wywodziło swe tradycje z walk Legionów Polskich,



Kaplica czwartacka pod Optową (1915 r.). Ze zb. J. Osieckiego.

toczonych na Wołyniu w 1915 i 1916 roku, następnie w nowej formacji czwartackiej w obronie i ustalaniu granic II Rzeczypospolitej do 1921 roku. Ci zastrzeżeni dla Ojczyzny Czwartacy, po zakończeniu działań wojennych, po skierowaniu pułku do Kielc, tu założyli rodziny, wiążąc się z miastem znanym już z legionowych tradycji. Gdy wybuchła II wojna światowa, grupie Czwartaków przypadło bronić polskiego skrawka ziemi na Westerplatte, a bohaterska postawa załogi, zadziwiła świat. Niemiecki kapitan w *Illustrierter Beobachter* określił tę obronę jako „kleines Verdun”. Pułk spełniał chwalebnie powierzone zadania obronne w walkach wrześniowych 1939 roku, w bojach od Zapolic i Strońska nad Wartą, do chwili kapitulacji Armii Łódź w twierdzy Modlin i rozwiązania pułku. Ofiarnym udziałem w walkach we wrześniu 1939 roku na obrzeżach Kielc, zapisali się też Czwartacy zmobilizowani w 154. pułku rezerwowym, opóźniający pod dowództwem ptk. Aleksandra Idzika napór dywizji niemieckiej w kierunku Warszawy.

Podczas okupacji na terenach koszar stacjonowała niemiecka jednostka wojskowa. Przeważająca część czwartackiej kadry podoficerskiej dotychczas do podjętych przez oficerów rezerwy prac konspiracyjnych w ZWZ i następnie w AK, prowadząc m.in. szkolenia młodzieży do późniejszych działań partyzanckich, a gdy nadszedł w 1944 r. czas akcji „Burza” – walczyli w szeregach 4. pułku piechoty Legionów Armii Krajowej na Kielecczyźnie.

Po zakończonej wojnie, na terenie Bukówki przetrwały: budynki koszarowe i usytuowana w cieniu lasu, przy boisku sportowym, stylowa, drewniana kapliczka czwartacka, wybudowana w 1935 r. jako replika historycznej budowli z „Osiedla Rojowego” pod Optową na Polesiu Wołyńskim podczas walk pozycyjnych w I wojnie światowej. Podczas II wojny i w okresie powojennym nie podtrzymywano stanu technicznego kapliczki, nie remontowano jej. Szczególny wpływ niszczycielski na wnętrze, miała degradacja dachu. W takim stanie zetknął się z kapliczką po 55 latach od jej wybudowania, ks. mjr Stanisław Rospondek. Zatraskany głęboko jej stanem i historią, przy wsparciu młodego architekta, Dariusza Piotrowicza oraz grupy roboczej, doprowadził do naprawy zabezpieczającej stan tego obiektu sakralnego, umożliwiając dokonanie rekonsekracji dla potrzeb duchowych żołnierzy już kolejnej formacji czwartackiej, jaka stacjonowała tu od 14 września 1945 roku.

Przemiany w Polsce po 1989 roku, spowodowały reorganizację polskiego wojska, która objęła także stacjonujący, a przekształcany w nazwie i funkcjach pułk. W konsekwencji możliwe stało się założenie stowarzyszenia dla przywracania tradycji czwartackich pod nazwą – Stowarzyszenie Żołnierzy i Sympatyków 4 Pułku Kielce.

Utworzono Komitet Założycielski, przygotowano Statut i zatwierdzono go w dniu 24 lipca 1990 roku. Wystąpiono o formalną rejestrację, przyjmując tę datę

jako dzień powołania Stowarzyszenia. Na podstawie Postanowienia Sądu Wojewódzkiego w Kielcach Wydział I Cywilny, po rozpoznaniu w dniu 31 lipca 1990 roku na posiedzeniu niejawnym na wniosek Komitetu Założycielskiego, orzeczone zostało utworzenie Stowarzyszenia Żołnierzy i Sympatyków 4 Pułku Kielce, a w rubryce 6 wpisany Komitet Założycielski w składzie: Stanisław Rospondek, Stanisław Piotrowicz, Stanisław Kozioł, Piotr Gałkiewicz, Jerzy Matuszyk i Tadeusz Szmidt. W postanowieniu nakazano wpisać do rejestru Stowarzyszeń, prowadzonego przez Sąd Wojewódzki w Kielcach, wyżej wymienione Stowarzyszenie w dacie uprawomocnienia niniejszego postanowienia.

W krótkim czasie doszło do zorganizowania na terenie historycznych koszar – pierwszej uroczystości. W dniu 15 sierpnia 1990 r. – w Dzień Wojska Polskiego. Ordynariusz Kielecki, ks. biskup Stanisław Szymecki przed uroczystą Mszą Św. dokonał rekonsekracji kapliczki czwartackiej. Okazała uroczystość zaszczyciło wielu oficjalnych gości na czele z Marszałkiem Sejmu Mikołajem Kozakiewiczem. Licznie przybyli żołnierze, kombatan ci i ich bliscy, wielu kielczan. Wśród pocztów sztandarowych poczesne miejsce zajmował poczet Koła 4 Pułku Piechoty Legionów Armii Krajowej.

Jako cele statutowe przyjęto: popularyzację historii walk żołnierzy czwartych pułków piechoty oraz propagowanie zwyczajów i etosu żołnierskiego życia Czwartaków. Szybko wzrastała popularność Stowarzyszenia: rozrosło się ono do około 150 członków. Za jedno z pierwszoplanowych zadań Zarząd uznał



15. 08. 1990. Mszę św na Bukówce celebrował ks. biskup Stanisław Szymecki. Fot. Stanisław Krześniak.

organizację Sali Tradycji, na którą otrzymano pomieszczenie w głównym budynku koszarowym i tam rozpoczęto gromadzenie pozyskiwanych eksponatów.

Jedną z najbardziej interesujących pamiątek był przekazany do Sali Tradycji, zachowany od wybuchu wojny do chwili obecnej, model Kapliczki Czwartackiej. Przywieziony został na Bukówkę wiosną 1935 roku przez Czwartaka – gen. inż. Andrzeja Galicę – wraz z dokumentacją do realizacji planów wykonania repliki kaplicy z „Osiedla Rojowego” na terenie koszar. W dniu 24 czerwca tego roku, w Święto Pułku, miały się odbyć uroczystości XX – lecia uformowania pułku. Miał je zaszczyścić swą obecnością Pierwszy Marszałek Państwa Polskiego – Józef Piłsudski – komendant I Brygady Legionów Polskich, który w 1916 r. wizytował Czwartaków na pozycjach walk pod Optową, uczestniczył przy kapliczce w pierwszym ich święcie w maju 1916 roku, był obecny podczas defilady i goszczony przy żołnierskim stole. Śmierć Marszałka pokrzyżowała plany uroczystości, a naród i wojsko, okryte zostały głęboką żałobą. Uszkodzony i skornikowany model kapliczki, został staraniem kolejnego z prezesów Stowarzyszenia – Zofii Wieczorek-Nowak – poddany uzupełnieniu brakujących elementów, w tym charakterystycznych swastyk czwartackich, renowacji i zabezpieczeniu przez konserwatora w grudniu 2009 r.

Realizując przyjęte kierunki działań, przedstawiciele Zarządu Stowarzyszenia, podjęli rozmowy o współpracy z władzami samorządowymi, wojskowymi, organizacjami kombatanckimi i szkołami. Drugi kierunek

działań, jaki wytyczono, to poznawanie pól bitewnych, cmentarzy wojennych i grobów Czwartaków. Zarząd przedsięwziął wiele starań, aby przywołać dla młodych pokoleń pamięć o żołnierzach czwartych pułków w miejscowościach związanych z bitwami z obydwóch wojen światowych, nawiązując w tym celu kontakty ze szkołami kieleckimi. Od kombatanatów wptywały kolejne eksponaty do Izby Tradycji.

Już we wrześniu 1990 roku przyszło członkom Stowarzyszenia po raz pierwszy uczestniczyć w uroczystościach pogrzebowych Czwartaka – śp. kpt. Jana Niepokojczyckiego, oficera 4 p.p. Leg., żołnierza II Korpusu na Zachodzie.

W maju 1992 r. nawiązany został kontakt z wójtem Gminy Zapolice w województwie łódzkim, utrzymywany do chwili obecnej poprzez coroczne udziały delegacji Stowarzyszenia i wielu sympatyków z Kielc, a także przedstawicieli władz miasta i wojskowych, w uroczystościach na cmentarzu wojennym w pobliskim Strońsku. Spoczywa na nim kilkudziesięciu żołnierzy 4. pułku piechoty Legionów, poległych w bitwie stoczonej 5 września 1939 roku pod dowództwem pptk. Bronisława Laliczyńskiego na terenach Zapolic i Strońska nad rzeką Wartą. Po 1976 roku, na cmentarzu złożona została urna z prochami pułkownika. Wydarzeniem w czerwcu 1993 r., było odsłonięcie tablicy pamiątkowej na polnym głazie granitowym przy Szkolnej Podstawowej w Zapolicach, upamiętniającej krwawy, siedmiodzinny bój żołnierzy 4 p.p. Leg.

W czerwcu 1995 roku koszały na Bukówce oraz okolice Kielc zwiedziła duża grupa młodzieży, pod opieką pedagogów ze szkoły w Zapolicach. W tym samym roku Urząd Miasta Kielce na podstawie uchwały z dnia 8 marca, przekazał kwotę 1500 zł. na wykonanie sztandaru dla Szkoły Podstawowej w Zapolicach, a w rocznicę bitwy odbyło się na dziedzińcu szkolnym uroczyste nadanie imienia placówki: „Szkoła Podstawowa im. 4 Pułku Legionów w Zapolicach” oraz wręczenie sztandaru. Na ścianie



Makieta kapliczki czwartackiej po renowacji. Fot. autor.



Delegacja Stowarzyszenia na cmentarzu w Strońsku przy mogile ptk. Bronisława Laliczyńskiego. Fot. autor.

budynku szkolnego widniał na tle biało-czerwonej flagi napis: *CHWAŁA TYM CO WALCZYLI, PAMIĘĆ TYM CO ZGINĘLI*. Była to okazała uroczystość, na którą przyjechało przeszło sto osób z Kielc. We wnętrzu szkoły została odstonięta pamiątkowa tablica.

Walne zebranie członków dokonało w dniu 8 grudnia 1993 roku wyboru drugiego Zarządu stowarzyszenia, a prezesem został Stanisław Kozioł, wiceprezesami: Wacław Woźniak i Ryszard Pala, sekretarzem Mieczysław Kacperek, skarbnikiem Jan Kapica, a członkami: Edward Miszczuk, Stefan Zagnieński i Zygmunt Mochocki.

W dniach 30 i 31 lipca 1994 roku Stowarzyszenie zorganizowało dla swoich członków rajd samochodowy na trasie Bukówka – Antoniów – Puławy. Po powitaniu uczestników i wystąpieniu prezesa, ppłk Stanisława Kozła, wyjechaliśmy do Antoniowa, gdzie odbyła się uroczystość przy pomniku upamiętniającym rozegraną tam zwycięską bitwę, stoczoną przez żołnierzy 4 p.p. Leg. AK z oddziałami ukraińskimi podczas Akcji „Burza”. W Puławach był nocleg, a następnego dnia na cmentarzu wojskowym odbyły się uroczystości, upamiętniające forsowanie Wisły przez 4 pułk w dniach 31 lipca – 4 sierpnia 1944 roku. O walkach na przyczółku puławskim opowiadał uczestnik walk płk Piotr Kowalczyk. Następnie została odprawiona msza św. polowa w intencji poległych na przyczółku „Czwartaków”. Uczestnikami byli przedstawiciele władz Kielc i Puław, jednostek wojskowych z obu miast, kombatancki – uczestnicy walk, kompania honorowa Wojska Polskiego, strzelcy z Oddziału Związku Strzeleckiego „Strzelec” O.S.W. Kielce, poczty sztandarowe i okoliczni mieszkańcy. Po mszy św. odbył się uroczysty Apel Poległych, złożono kwiaty u stóp pomnika, a Oddziałowi Z.S. „Strzelec”, nadano imię „Czwartaków”. Koncertem pieśni żołnierskiej w wykonaniu orkiestry wojskowej Garnizonu Kielce pod batutą mjr Stefana Malinowskiego, zostały zakończone uroczystości na cmentarzu. Do nadania imienia, przyczynili się członkowie ówczesnej Komendy w osobach: Tadeusz Woś, Zofia Wieczorek-Nowak i Antoni Nowak. Wszystkim strzelcom zostały wręczone odznaki Stowarzyszenia, z odrębną kolorystyką specjalnie dla nich. W otoczce mosiężnej odznaki widniała nazwa Stowarzyszenia, wewnątrz na biało-czerwonym tle znajdowała się stylizowana swastyka czwartacka z umieszczonym na środku orłem. Rajd zakończył się zwiedzaniem Muzeum „Orła Białego” w Rejowie.

Po uroczystościach w dniu 1 września 1994 roku na Westerplatte, dnia 3 września grupa 23. westerplatczyków przybyła do jednostki na Bukówce, by odwiedzić historyczne koszary. Niestety, strzelnica, miejsce ćwiczeń ogniowych, m.in. pod

okiem por. Leona Pajaka, już nie istniała, zbombardowana w pierwszych dniach wojny. Z nieukrywaniem wzruszeniem zaglądali kombatancki do znanych im pomieszczeń, zadumali się przed kapliczką i pozwolili do zdjęć na zmienionym placu apelowym. Byli gośćmi nie tylko dowódcy jednostki, ale także licznych członków Stowarzyszenia. Przybyła, zaproszona na to spotkanie, młodzież szkół patronackich z Kielc i strzelcy z Oddziału im. Czwartaków. Mieli jedyną okazję do bezpośrednich rozmów i fotografowania się z bohaterami, otoczonymi legendą „Lwów z Westerplatte”. Witali ich poczet sztandarowy Stowarzyszenia. Westerplatczyk, Wiktor Białous klękając, ucałował rąbek sztandaru. Na prośbę strzelców dostojni goście, zostawili swe podpisy na karcie, pozostawiając trwałą pamiątkę ze spotkania. Natomiast koszary II baonu przy ul. Prostej, skąd w 1939 roku byli odprawiani i odchodzili na dworzec do pociągu, już były podczas ich wizyty niedostępne, zamienione w międzyczasie na szpital położniczy. Wieczorem przy herbatce, odbyło się spotkanie w WDK z przedstawicielami władz miasta i członkami stowarzyszeń, wypełnione wspomnieniami. Następnego dnia goście wyjechali do Gręboszowa nad Wisłą, gdzie wzięli udział w uroczystości odstonięcia popiersia swego dowódcy, urodzonego w tej miejscowości.

W dniu 7 stycznia 1995 r. poczet sztandarowy i członkowie Stowarzyszenia uczestniczyli w kościele garnizonowym w mszy św. za zmarłego w Anglii gen. Stanisława Maczka – legendarnego pancerniaka, dowódcy 10. Brygady Kawalerii Pancerno-Motorowej w 1939 roku i 1 Dywizji Pancernej spod Falaise, wyzwalającej miasta Belgii i Holandii w 1944 r.

Dnia 24 czerwca 1996 roku, podczas uroczystości na placu szkolnym, nadano Szkole Podstawowej Nr 28 w Kielcach imię: <Żołnierzy Czwartego Pułku Piechoty „Czwartaków”>, a wręczenia sztandaru, dokonał gen. Stanisław Ferenc, który służył w pułku po wojnie. Na ścianie holu odstonięto także pamiątkową tablicę, poświęconą pamięci rozstrzelanego w 1940 r. na stokach kieleckiego Stadionu Leśnego, zastużonego Czwartaka, byłego pośta na Sejm, kpt. Jana Ostachowskiego, której



Msza święta pod kapliczką czwartacką. Fot. autor.

fundatorem jest rodzina Ostachowskich. Ścisłe więzy, owocujące częstymi kontaktami z dyrekcją i młodzieżą, nawiązane zostały w tamtym czasie również ze Szkołą Podstawową Nr 12 im. Bohaterów Westerplatte w Kielcach. Duże zastugi wniosła tu dyr. Maria Spurek, wciągając w prace krzewienia tradycji pułkowych grono pedagogiczne. Dostojnymi gośćmi w spotkaniach z młodzieżą na terenie szkoły bywali, obrońcy Westerplatte – Czwartacy: por. Julian Rejmer i por. Ignacy Skowron, a także członkowie rodzin tych bohaterów. Do nieodłącznych gości w tych spotkaniach należeli członkowie Zarządu Stowarzyszenia.

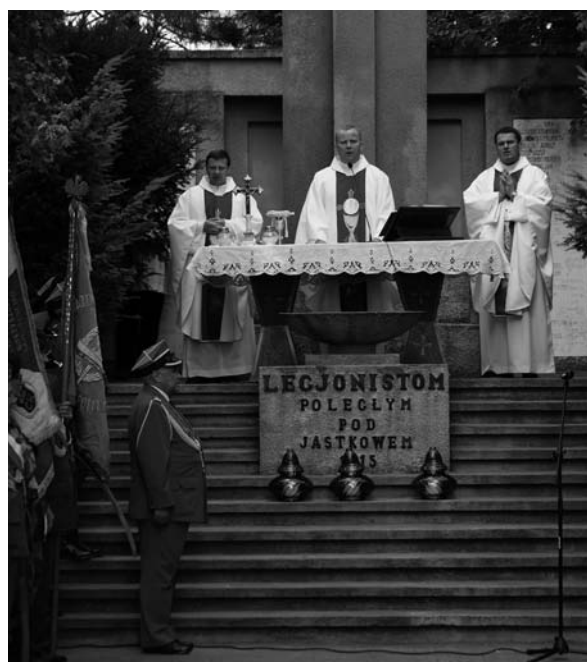
Skończyła się kadencja Zarządu i podczas walnego zgromadzenia członków w dniu 5 maja 1998 roku wybrano nowy, trzeci z kolei Zarząd i zgłoszono zmiany w jego składzie oraz w statucie. Stąd zgodnie z Postanowieniem Sądu z dn. 12 lutego 1999 roku, został zarejestrowany Zarząd w składzie: prezes – Wacław Woźniak, I wiceprezes – Ryszard Pala, II wiceprezes – Ryszard Kaczorowski, skarbnik – Zofia Wieczorek-Nowak oraz członkowie: Józef Grecki, Tadeusz Banaszek, Jan Kapica, Zdzisław Mastyna, Mariusz Reperowicz i Andrzej Tomczyk. Już w miesiąc po wyborze Zarząd ustanowił pamiątkowy srebrny pierścień czwartacki. W centrum pierścienia jest złota swastyka czwartacka, po bokach, już na otoczce, orły siedzące na tarczach amazonek, a w tarczach małe tarcze szwajcarskie z cyfrą „4” na jednej i strzelecką „eską” na drugiej. Pierwszych 9 pierścieni zostało wręczonych decyzją z 17 czerwca 1998 roku, w tym 6 za zastugi i 3 za współpracę. Łącznie w tym roku nadano je 16 osobom. Na uwagę zasługuje jedynie fakt nadania w następnym roku dwóch pierścieni jako wyróżnień honorowych: Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II i Kardynałowi Józefowi Glempowi, bez oznaczeń numerowych. Z tytułu zastugi, pierścień został nadany w 2004 roku, kpt. Ignacemu Skowronowi – obrońcy Westerplatte.



Czwartacki pierścień ks. kapelanowi Stanisławowi Rospondkowi wręczają wiceprezisi Stowarzyszenia ptk. Ryszard Pala i Zdzisław Kaczorowski. Fot. autor.

W pierwszych dniach sierpnia 1999 roku delegacja Stowarzyszenia po raz pierwszy wzięła udział w Jastkowie w obchodach 84. rocznicy bitwy stoczonej wspólnie przez I Brygadę Legionów Polskich i 4 Pułk Piechoty Legionów Polskich na okolicznych polach nad rzeką Ciemięgą w dniach 31 lipca do 3 sierpnia 1915 roku. Od tej chwili przedstawiciele Stowarzyszenia co roku uczestniczą w uroczystościach na Cmentarzu Wojennym Legionistów w Jastkowie, gdzie spoczywa około 80 Czwartaków, którzy polegli w niezwykle zaciętym boju stoczonym z wojskami carskiego zaborcy.

W tym samym roku, w przypadającą 60. rocznicę obrony Westerplatte, po raz pierwszy w obchodach



3 sierpnia 2009 r., Cmentarz Legionowy w Jastkowie – msza za poległych legionistów. Fot. J. Osiecki.

rocznicowych w dniu 1 września wzięła udział 70 – osobowa grupa członków Stowarzyszenia, przedstawicieli szkół patronackich i jednostki Z.S. „Strzelec” – O.S.W im. Czwartaków z Kielc. Przed małym cmentarzykiem obrońców, odbyła się msza św. w intencji poległych, zmarłych i żyjących, której przewodniczył ks. abp. Tadeusz Goćkowski. Uczestniczyła w niej jeszcze spora grupa Westerplatczyków, w tym por. Ignacy Skowron. Podczas prezentacji pocztów sztandarowych, dokonujący jej premier rządu, Jerzy Buzek, przywitał się z pocztym sztandarowym Stowarzyszenia i prezesem, Wacławem Woźniakiem. W późniejszym czasie premier dokonał przed ruinami

koszar, pozostającymi jako świadectwo bohaterskich zmagañ, odstonięcia pamiątkowych tablic z nazwiskami obrońców. Prezydent Gdańska, Paweł Adamowicz, wymieniając pochodzenie grup obrońców stanowiących załogę Westerplatte, nie wymienił wśród nich – licznej grupy żołnierzy z 4 p.p. Leg. z Kielc, co wywołało konsternację członków delegacji. Taka była ówczesna wiedza w Gdańsku o obrońcach. O tę pamięć o kieleckich obrońcach, trzeba zabiegać. Dopięta tego dopiero w 2009 roku podczas obchodów 70. Rocznicy wybuchu II wojny, prezes Zofia Wieczorek-Nowak, która zapoznała organizatorów z udziałem żołnierzy legionistów – pochodzących z 2 Dywizji Piechoty Legionów z Kielc, w tym 69 z 4 p.p. Leg. W uznaniu tych faktów, sztandar Stowarzyszenia, a także przedstawiciel trzech żyjących w tym czasie obrońców – w stopniu kpt., Ignacy Skowron, Prezydent Kielc – Wojciech Lubawski i prezes Stowarzyszenia, Zofia Wieczorek-Nowak, zostali zaproszeni i uczestniczyli w uroczystościach państwowych przy pomniku na Westerplatte, w których wzięli udział prezydent państwa Lech Kaczyński i przedstawiciele rządu na czele z premierem Donaldem Tuskiem. Uroczystości rozpoczęły się 1 września o godz. 4.45 na szczycie kopca. Pozostała część delegacji kieleckiej, stanowiły poczty sztandarowe i przedstawiciele szkół: Gimnazjum Nr 9 im. Henryka Sucharskiego, Gimnazjum Nr 5 im. Obrońców Westerplatte, Szkoły Podstawowej Nr 28 im. 4 Pułku „Czwartaków”, Gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego w Jarosławicach, 6 Liceum im. Juliusza Słowackiego, kombatancki AK, przedstawiciele Związku Byłych Oficerów Zawodowych Wojska Polskiego i red. Ryszard Koziej z Polskiego Radia Kielce, przekazujący na bieżąco relacje dla słuchaczy w naszym województwie.

Duża grupa osób z kieleckiej delegacji, w tym pozostali członkowie Stowarzyszenia – uczestniczyli

w uroczystościach u stóp kopca. Po uroczystościach popołudniowych, cała delegacja kielecka przeszła na teren cmentarzyka obrońców i jej członkowie złożyli kwiaty, zapalili znicze oraz położyli okolicznościowe plakietki pamięci czwartackiej. W przeddzień tych uroczystości członkowie delegacji brali udział w spotkaniu z Lechem Wałęsą a następnie uczestniczyli w ceremonii wmurowania aktu erekcyjnego pod budowę nowego Muzeum Westerplatte na „Mewim Szańcu”, gdzie obrońcy po siedmiu dniach walki, byli przetrzymywani przez pierwsze godziny niewoli.

Przedstawiciele szkół patronackich uczestniczyli w uroczystościach wpisanych do stałego kalendarza tradycyjnych przedsięwzięć Stowarzyszenia do jakich należą: Święto Pułkowe na Bukówce i tradycyjny Opłatek Czwartacki. Gośćmi w tych uroczystych spotkaniach bywają: postowie, senatorowie, przedstawiciele władz krajowych i miejskich, wojska, policja, kombatancki. W latach swej pracy posta, w każdej z organizowanych przez Stowarzyszenie uroczystości, gościem był Przemysław Gosiewski, słynący z trafnych wypowiedzi patriotycznych. Członków Zarządu Stowarzyszenia cieszyła obecność przedstawicieli szkół patronackich. Wielką radość sprawiały swoją obecnością delegacje z gmin, na polach których toczyły się boje czwartackie i pozostały cmentarze wojenne. Do nich należą Jastków i Zapolice. Z kolei – gośćmi władz tych gmin, na tam organizowanych uroczystościach rocznicowych, są od czasu nawiązania współpracy, delegacje z Kielc, w tym przedstawiciele miasta, poczet sztandarowy Stowarzyszenia, jego członkowie, kombatancki, młodzież szkolna z nauczycielami, strzelcy.

Uchwałą Rady Miasta z dnia 18 października 2001 r. przyznano rondu na Bukówce nazwę –



Aktualna prezes Stowarzyszenia Zofia Nowak-Wieczorek w czasie uroczystości w Gdańsku. Fot. J. Osiecki.



Westerplatte, 1 września 2009 r. Spotkanie delegacji kieleckiej ze ś.p. Andrzejem Przewoźnikiem. Na wózku westerplaczyk kpt. Ignacy Skowron. Fot. J. Osiecki.

<Rondo im. Czwartaków>, a uroczystość na miejscu odbyła się w dniu Święta Pułku następnego roku.

Od grudnia 2002 roku członkowie Stowarzyszenia wyjeżdżają co roku na cmentarze wojenne żołnierzy Legionów Polskich w tym 4 Pułku Piechoty Legionów z I wojny światowej na Polesie Wołyńskie i Wołyń, by oczyścić mogiły, zapalić znicze, złożyć kwiaty i Plakietki Pamięci. Tak jest w Jeziornie, Koszyszcach, Kołkach, Kowlu „Na Górcę”, w Lasku Polskim, Wołczecku. Uczestnikami wypraw bywali kolejarzy kieleccy – nasi członkowie, a od 2007 roku wyjeżdżamy ze strzelcami z wrocławskiego i członkami Związku Piłsudczyków Oddziału Wrocław. Pracy jest zawsze wiele, niekiedy – przypadkowej! Tak było w lecie 2008 roku przy kwaterze wojennej legionistów polskich w Kowlu „Na Górcę”. Zwróciliśmy uwagę na poniewierające się w piachu przy cmentarzu – kości ludzkie. Zaszła konieczność zareagowania! Pracując jak zawsze, w rękawiczkach, poznosiliśmy z otoczenia cmentarza kości, składając je do wykopanych w dwóch grobach jam, w kwaterze na górze. Jednoznacznie pochodziły one z obsuniętych grobów, których i obrzeża rozbite, leżały w piachu poniżej cmentarza na terenie pokopalnianym. Po interwencjach polskiego konsulatu, zaprzestano podbierania z tej kopalni piasku, szczątków jednak nie pobierano.

Któregoś roku zaistniała potrzeba włączenia się członków naszej ekipy do prac montażowych obrzeży grobów, podczas formowania mogił w Lasku Polskim, w miejscach już dokonanych pochówków szczątków, pochodzących z ekshumacji sprofanowanej za czasu władzy Chruszczowa – zabudową mieszkalną – kwatery legionowej przy cmentarzu w Kołkach. Dzięki staraniom harcerzy ze Zgierza – można by rzec „gospodarzy” wojennych cmentarzy legionowych – przewieziony został przed cmentarz w Lasku Polskim z bagnistej polany koło Rudki Miryńskiej, zdewastowany tam nagrobny pomnik <NIEZNANEGO LEGIONISTY 4 P. P. POLEGŁEGO W 1916 ROKU> podczas walk pod tą miejscowością. Obecnie, prawie wszystkie cmentarze legionowe już są odbudowane, a ten w Lasku Polskim także rozbudowany o pochówki z ekshumacji szczątków z kwatery w Kołkach. Tam, w Kołkach, spoczywał do czasu ekshumacji przez rodzinę w końcu lat 30. ub. wieku, poległy w początku jesieni 1915 roku, Czesław Bankiewicz „Skaut”, który składał 12 sierpnia 1914 r. raport



Delegacja Stowarzyszenia wraz z poczetem sztandarowym w uroczystościach żałobnych po śmierci Ojca Świętego Jana Pawła II. Kielce, plac przy katedrze. Fot. autor.

Komendantowi Piłsudskiemu przy kieleckiej Kadzielni o wejściu 1 Kompanii Kadrowej do miasta.

W dniu 2 kwietnia 2005 roku zmarł Ojciec Święty, Jan Paweł II. W ogólnych uroczystościach żałobnych organizowanych także w Kielcach, uczestniczyli na Placu Jego imienia: poczet sztandarowy i członkowie Stowarzyszenia, dając wyrazy czci i pamięci.

W 2006 roku przypadała dwusetna rocznica utworzenia pierwszej formacji 4 Pułku Piechoty w Płocku. Tak doniosłą rocznicę postanowiono uczcić, organizując ją z rozmachem w dniu Święta Pułkowego. Miejscem obchodów były historyczne koszary 4 p.p. Leg. na Bukówce. Związany z Czwartakami, zaślubiony kielecki artysta, Bolestaw Cetner, opracował na tę okoliczność projekt odznaki pamiątkowej < 200-LECIA 4 PUŁKU PIECHOTY>. Pierwsze odznaki zostały nadane podczas obchodów tego święta, wręczono wówczas także <PIERŚCIE NIE CZWARTACKIE>. W przeddzień święta odbył się w amfiteatrze na Kadzielni galowy koncert pieśni żołnierskich w wykonaniu Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego WP, podczas którego na wypełnionej po brzegi widowni usłyszano melodie obydwóch hymnów czwartackich. Na drugi dzień przed kaplicą z wystawionym wizerunkiem Matki Bożej Hetmanki Oręża Polskiego, udekorowaną girlandami kwiatów w kolorach piechoty – żółci i granatu – zasiedli wybitni goście zaproszeni na uroczystość, między innymi: kpt. w st. sp. Ignacy Skowron; senator Adam Massalski; Wojewoda Świętokrzyski Grzegorz Banaś; szef Wojsk Inż. Sztapu Generalnego gen. bryg. Janusz Łalka; zastępca dowódcy Sił Powietrznych WP, gen bryg. Stanisław Babiak; ewangelicki biskup wojskowy gen. bryg. Ryszard Borski; kanclerz Prawosławnego Ordynariatu Polowego WP ks. ptk prof. Miron Benza; wikariusz gen. Ordynariatu Polo-



wego WP ks. prałat Sławomir Żarski; z-ca dyrektora Dep. Wychowania, Promocji i Obronności MON Radomir Korsak; prezydent miasta Kielc Wojciech Lubawski; marszałek województwa świętokrzyskiego Franciszek Wołodźko; starosta powiatu kieleckiego Zbigniew Banaśkiewicz; przewodniczący Rady Miasta Tomasz Bogucki. Mszy św., odprawianej za poległych, zmarłych i żyjących Czwartaków wszystkich formacji historycznych, przewodniczył ks. prałat Sławomir Żarski, wikariusz generalny Ordynariatu Polowego W.P. W koncelebrze modlili

się m.in. ks. płk. Adam Prus – kapelan Garnizonu Kielce i ks. prałat Edward Skotnicki, kapelan żołnierzy A.K. Homilię wygłosił ks. Adam Prus.

Po zakończeniu mszy, przemaszerowano na plac apelowy przed stare koszary, gdzie stanęły: Reprezentacyjna Orkiestra WP, poczet sztandarowy Centrum Szkolenia na Potrzeby Sił Pokojowych, kompania honorowa Wojska Polskiego, kilkanaście pocztów stowarzyszeń, związków i szkół kieleckich, a na trybunę poproszeni zostali wspomniani goście. Powitani zostali przez Prezesa Stowarzyszenia, por. w st. sp. Wacława Woźniaka.

Nastąpiły przemówienia, odczytanie nadesłanych okolicznościowych gratulacji, wręczenie gościom <Pierścieni Czwartackich> i okolicznościowych <Odznak 200-lecia>, Apel Pamięci oraz złożenie kwiatów przed pamiątkowymi tablicami: czwartacką i katyńską oraz defilada – wypełniły część oficjalną święta na terenie koszar. W godzinach popołudniowych w Sali Kominkowej Wojewódzkiego Domu Kultury im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, odbyło się uroczyste zebranie Zarządu i członków Stowarzyszenia, na którym spotkali się Czwartacy trzech formacji: legionowej, akowskiej i powojennej.

19 grudnia 2006 roku odbyło się walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze, które wybrało nowe władze. W skład Zarządu weszli: Zygmunt Bielecki, Andrzej



Wyróżnienie otrzymuje Bolestaw Cetner znany kielecki artysta malarz, autor pamiątkowej odznaki. Fot. autor.

Chrobot, Tomasz Czaja, Jan Kapica, Kazimierz Konkół i Zofia Wieczorek-Nowak. Prezesem został Kazimierz Konkół, wiceprezesem, Zofia Wieczorek-Nowak, sekretarzem, Andrzej Chrobot.

Kazimierz Konkół 24 lipca 2007 złożył jednak rezygnację z pełnionej funkcji. Dlatego, w dniu 7 października tego roku, zostało zwołane nadzwyczajne walne zgromadzenie. Na skutek błędów popełnionych w nowym statucie groziło nam wykreślenie z listy KRS-u. Podczas nadzwyczajnego zebrania podjęto uchwałę o usunięciu błędów. Funkcję prezesa przejęła i pełni ją do dnia dzisiejszego dotychczasowa wiceprezes, Zofia Wieczorek-Nowak.

Członkowie nasi nie zapominają o miejscach spoczynku Czwartaków pochowanych na cmentarzach kieleckich i innych, kładąc na grobach w przeddzień dn. 1 listopada plakietki i zapalając znicze. W roku 2008 niżej podpisany zainicjował wyjazd w dn. 4 listopada po Ogień Niepodległości do Polskiego Łasku na Wołtyniu, by przywieźć go po raz pierwszy na Ziemię Świętokrzyską. Ogień zapłonął przed pomnikami w Kielcach, w miejscach symbolicznych oraz na mogiłach zmarłych legionistów. Wcześniej zapalony był w Lublinie przed Pomnikiem Marszałka Józefa Piłsudskiego, w Jastkowie na cmentarzu wojennym Czwartaków z 1915 roku, w Sandomierzu, przekazany harcerzom w Annopolu, a ostrowieccy strzelcy rozwieźli go do licznych w okolicy miejsc pamięci z pierwszych dwóch lat walk Legionów. Warto wspomnieć o spotkaniu w Polskim Łasku, podczas zapalania Ognia Niepodległości, z ekipą telewizyjną audycji historycznych „Było nie minęło”, z której redaktorem, Adamem Sikorskim, prezes Zofia Wieczorek-Nowak nawiązała kontakt, zapraszając go na 21 marca następnego roku na inscenizację historycznej odprawy na Westerplatte z 1939 roku. Inscenizację odprawy 2 DP przygotowano starannie i z rozmachem przy wsparciu Prezydenta Miasta Kielc, Wojciecha Lubawskiego i grup rekonstrukcji historycznych z Kielc i kraju. Podczas uroczystości, za działalność opieki nad grobami polskich legionistów z I wojny światowej, w tym Czwartaków, sztandar Stowarzyszenia został odznaczony przez sekretarza generalnego Rady Pamięci Walki i Męczeństwa Andrzeja Przewoźnika złotym medalem <Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej>. Zorganizowanie uroczystości w obecności obrońcy Westerplatte, kpt. Ignacego Skowrona, przyczyniło się nie tylko do przywołania jednej z tradycji czwartackich, ale również odbiło się echem w kraju, promując nasze miasto, jako <Kielce – miasto Legionów>. W bieżącym roku odbyła się już V inscenizacja odprawy. Gościem honorowym inscenizacji był mjr Ignacy Skowron,

Kawaler Orderu Virtuti Militari. Odprawom towarzyszyły inscenizacje innych wydarzeń z II wojny w wykonaniu grup rekonstrukcji historycznych. Każda z tych inscenizacji odbyła się dzięki przychylności Urzędu Miasta Kielc i instytucji takich, jak: Centrum Przygotowań do Misji Pokojowych, następnie przekształconych w Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych, Świętokrzyskiej Komendy Wojewódzkiej Policji i Miejskiego Zarządu Dróg.

Od 1992 do 2010 roku Stowarzyszenie organizowało Święta Pułkowe 2 pułku artylerii lekkiej Legionów, stacjonującego do wybuchu II wojny światowej w Kielcach. Państwo Wiesława i Konrad Kadzidłowski ufundowali pamiątkową tablicę na budynku dawnych koszar 2 p.a.l. Leg. przy ul. Wrzosowej nr 25, a uroczystość Święta Pułku przypadającego w dniu 12 czerwca 2008 r. – przygotowało nasze Stowarzyszenie.

Na spotkanie organizowane przez Stowarzyszenie w dniu 19 sierpnia 2009 roku z okazji 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej w Klubie Garnizonowym na Bukówce przybyli przedstawiciele Sejmu RP, władz samorządowych wojewódzkich, miejskich, wojskowych i młodzieży szkolnej. Ówczesny Szef Sztabu Wojewódzkiego, ptk dr inż. Eugeniusz Nikulin napisał na tę okoliczność wiersz o Czwartakach, wizytę złożyli redaktorzy z telewizji BBC i z TVP Kielce. Najważniejszymi gośćmi na tym spotkaniu byli: 94-letni, kpt. I. Skowron z najbliższą rodziną, prezes Koła 4 p.p. Leg. AK, kpt. Pelagia Barwicka ps. „Emilia”, powojenny dowódca 4 pułku zmechanizowanego, ppłk Ryszard Pała, długoletni wiceprezes Stowarzyszenia i zasłużony tamburmajor orkiestry garnizonowej, chor. sztab. Mieczysław Smelcerz.

W krótkich odstępach czasu odeszli na „Wieczną Wartę” kpt. Wacław Woźniak i ppłk Ryszard Pała. Także odeszli spośród nas bohaterscy obrońcy Westerplatte, mieszkający na Ziemi Kieleckiej: 22 grudnia 2010 r., – kpt. Władysław Stopiński z Lipowego Pola i 5 sierpnia 2012 r., mjr Ignacy Skowron z Sitkówki. Współorganizatorami trzech ostatnio wymienionych pogrzebów było nasze Stowarzyszenie.

Obecna prezes Stowarzyszenia, Zofia Wieczorek-Nowak w sierpniu 2010 roku, za wieloletnią działalność na rzecz wojska i środowiska, została wyróżniona przez Dowództwo Śląskiego Okręgu Wojskowego medalem <Z SERCEM DO ŻOŁNIERZA> za otwarte serce, ogromną życzliwość, wyrozumienie oraz oddanie sprawom Śląskiego Okręgu Wojskowego. Za zasługi dla Kielc, <NAGRODAMI MIASTA KIELC> zostali wyróżnieni prezesi: Wacław Woźniak w 2005 roku i Zofia Wieczorek-Nowak w 2011 roku. W ostatnich latach do Stowarzyszenia wstąpiło kilku kombatantów czasu II wojny światowej. Dnia 28 czerwca, Stowarzyszenie obchodziło uroczystości kolejne Święto Pułkowe.

Pomnik chwały – Grób Nieznanego Żołnierza

Płk. Jan Chruśliński

Niewiele jest w Polsce obiektów o tak silnie symbolicznym znaczeniu jak Grób Nieznanego Żołnierza. Stojący na placu Józefa Piłsudskiego grób – pomnik jest hołdem narodu polskiego dla wszystkich nieznanymi z imienia i nazwiska żołnierzy, którzy złożyli najwyższą ofiarę w imię wolności i miłości ojczyzny.

Pomysł oddania hołdu, poległym w walkach nieznanym żołnierzom narodził się bezpośrednio po I wojnie światowej we Francji. Pierwszy na świecie Grób Nieznanego Żołnierza powstał w Paryżu w 1920 roku, gdzie pod Łukiem Tryumfalnym złożono zwłoki poległego w I wojnie światowej nieznanego z nazwiska i imienia żołnierza, a mogiłę opatrzone napisem: „Tu leży Nieznany Żołnierz”.

Miejsce to stało się przedmiotem kultu i symbolem ofiarnego męstwa i wszelkich cnót żołnierskich, nie tylko Francuzów, lecz i cudzoziemców, którzy zwiedzając Łuk Tryumfalny, uważają za swój obowiązek złożyć hołd cichemu poświęceniu, bezinteresownej ofierze krwi i życia dla dobra ojczyzny.



W Polsce, gdzie po zakończeniu I wojny światowej trwały walki o wolność i niepodległość narodu jeszcze prawie trzy lata, a granice państwa zostały najpóźniej ustalone, kult Nieznanego Żołnierza powstał formalnie i urzędowo dopiero w 1925 roku.

Dnia 4 kwietnia 1925 roku w Warszawie, w gmachu Ministerstwa Spraw Wojskowych, w sali Rady Wojennej przy gabinecie Ministra, odbyła się uroczystość wylosowania pobojuwiska, z którego miały być ekshumowane zwłoki Nieznanego Żołnierza i złożone w mogile pod arkadami Pałacu Saskiego.

Uroczystość losowania rozpoczął minister Spraw Wojskowych, generał dywizji Władysław Sikorski.

*Bądź nam dziś pochwalony
żołnierzu nieznany, szary –
Grają Ci wszystkie dzwony,
Szumią Ci wszystkie sztandary
I ludu wyległy miliony
Uczcić Twą śmierć i rany
Żołnierzu szary, nieznany...
Niech u Twojej trumny naród stanie
W wielkim milczeniu... w ciszy.
A może wówczas – usłyszysz
Husarskich skrzydeł granie
I wielki szum chorągwi...
Idą, rycerze – bohaterzy
Z pod Grunwaldu, Wiednia, Samosiery
Na Twoje powitanie,
żołnierzu wielki, nieznany...
A chociaż płyną za Tobą
Żałobne kwiaty i pienia,
I dzwonów pogrzebnych bicie -
Nie idziesz z czarną żałobą,
Lecz blask Cię opromienia!
Idziesz dostojnie i dumnie,
Bo Polski poczęło się życie*

Autor wiersza nieznany.

Przemawiając powiedział między innymi:

Zebrani tu dziś przedstawiciele rządu, wojska i społeczeństwa mają ten wysoki zaszczyt, że będą świadkami losowania pobojuwiska, które uznamy za symbol wielu naszych pobojuwisk. Z całej ziemi mógł i krzyżów wybranym zostanie jedno miejsce, jako krwawe znamię walk kilku pokoleń o wolność, całość i niepodległość narodu. W pokorze i czci chyląc czoło przed dostojnością męki narodowej z ubiegłych lat dumni jesteśmy, że tym razem nad grobem Nieznanego Żołnierza, który poległ za Ojczyznę, rozbrzmi zwycięska fanfara polska i majestat prochów Jego czczony będzie przez rodaków jawnie i dumnie. Wiele bowiem krwi przelaliśmy na pobojuwiskach Europy i całego świata. Ale najwięcej na własnej ziemi i w ostatniej wojnie zwycięskiej – przeto naszym nieznanym żołnierzem będzie jeden z tych, co polegli

w okresie starcia się mocy całego narodu polskiego z mocą wroga. Proszę pana szefa sztabu generalnego, żeby wymienił te pobojuwiska, które w czasie wojen z lat tysiąc dziewięćset osiemnaście do tysiąc dziewięćset dwadzieścia były dość krwawe.

Szef sztabu generalnego, generał dywizji Józef Haller, zabierając głos stwierdził: Wybór jest trudny, armia bowiem nasza organizowała się w ogniu walk, każdy możliwie gotowy batalion z potrzeby bojowej rzucono na front. Dlatego wszystkie granice Rzeczypospolitej znaczą nie serdeczna krew żołnierska, na każdym szlaku marszowym znajdują się pojedyncze i zbiorowe mogiły. Jednak w niektórych bitwach i starciach ponieśliśmy straty bardzo poważne, a nawet masowe.(...) Następnie wręczył księdzu biskupowi polowemu, generałowi Stanisławowi Galowi, piętnaście kartek z nazwami pobojuwisk, który włożył je do urny, poczym szef sztabu generalnego wezwał najmłodszego kawalera orderu Virtuti Militari, by wystąpił w celu dokonania losowania.

Zameldował się ogniomistrz 14. Pułku Artylerii Polowej Józef Buczkowski, instruktor szkoły podchorążych i wśród uroczystej ciszy wyciągnął z urny kartkę; przekazał ją ministrowi spraw wojskowych, generałowi dywizji Władysławowi Sikorskiemu, który odczytał z niej na głos: *Pobojowisko lwowskie z roku tysiąc dziewięćset osiemnaście – tysiąc dziewięćset dziewiętnaście tążnie z pobojowiskiem nad Wereszycą, to jest Gródka Jagiellońskiego, na którym krwawo i ofiarnie biła się z Ukraińcami Pięta Dywizja Piechoty. Długotrwałość, zaciętość walk, moment poświęcenia występuje tutaj w całej pełni. Za zgodność – szef Biura Historycznego, Kukiel, generał brygady.*

Kończąc uroczystość Sikorski powiedział: (...) *Nie mógł lepiej paść wybór pobojowiska. Ślepy los oddał hołd krwi najbardziej ofiarnej (...)*



W dniu 29 października 1925 roku we Lwowie, na cmentarzu Obrońców Lwowa, odbyła się ekshumacja i wybór zwłok bezimiennego żołnierza. Rozkopano trzy mogiły żołnierskie. Na sznurach podniesiono na zewnątrz pierwszą trumnę. Komisja stwierdziła że nie są to szczątki żołnierza. To samo druga i trzecia trumna. A komisja żądała dowodu, że to był żołnierz.

Trzy dalsze wydobyte z grobów trumny były zwłokami żołnierzy: szeregowca, sierżanta i kaprała. Stwierdzono przepisowy mundur, metalowe guziki z orłami polskimi, czapki maciejówki pod pachą lub na kolanach, u dwóch dystynkcje sierżanta i kaprała – stanowczo stwierdzały, że owe trzy trumny zawierają szczątki żołnierzy liniowych. Wszystkie trzy zamknięte trumny ustawiono przed kaplicą cmentarną. Wówczas Jadwiga Żarugiewiczowa – matka żołnierza poległego na polach Zadwórza i pochowanego w nieznanym miejscu, kładąc dłoń na jednej z trumien, dokonała wyboru. Po otwarciu trumny okazało się, że wybór padł na żołnierza bez stopnia wojskowego, z maciejówką. Ustalono, iż był on w wieku około 14 lat. Wieczorem trumnę przeniesiono do kaplicy obrońców Lwowa i zaciągnięto przy niej wartę honorową.



W dniu 30 października 1925 roku, w uroczystym kondukcie z trumną na ławecie armatniej, w asyście orkiestry konnej Ułanów Jazłowieckich i oddziałów piechoty oraz kawalerii, przeniesiono ciało bezimiennego żołnierza do lwowskiej bazyliki archidiecezjalnej. Trumna została wyniesiona za pomocą specjalnej windy na pięciopiętrowy, potężny katafalk. Katafalk był ogrodzony płótnem karabinów i szabel ułańskich; w czterech rogach spoczywały zbroje husarskie. Na bieli i purpurze złote emblematy rycerskie. Po obu stronach katafalku wartę honorową pełniło po dwóch: oficerów, podoficerów i szeregowców. Następnego dnia 31 października, w ładny jesienny słoneczny

dzień, Lwów odprowadził Bezimiennego Bohatera z bazyliki na dworzec kolejowy. Ośmiu podoficerów zdjęto trumnę z katafalku i przez szpaler pochylonych sztandarów wojskowych oraz cywilnych przeszło ze zwłokami do ławety armatniej, oczekującej przed katedrą. Z chwilą gdy trumna ukazała się przed wejściem do katedry, odezwał się z cytadeli wystrzał armatni, a na to hasło rozległ się dźwięk dzwonów we wszystkich kościołach lwowskich. Na dwie minuty ustał wszelki ruch kołowy, w fabrykach włączono syreny. Uformowany kondukt ruszył spod katedry i ulicami Lwowa: Rutowskiego, Legionów, Jagiellońską, pl. Smolki, Mickiewicza, Marszałkowską, Kopernika, Sapiehy i Dojazdową, skierował się na dworzec kolejowy. Na czele konduktu jechał na koniu generał dywizji Jan Thullie, za nim 14. Pułk Ułanów, poczty sztandarowe, duchowieństwo trzech obrządków, ławeta armatnia z trumną, dostojnicy wojskowi i cywilni, orkiestra wojskowa, kompania honorowa, a kondukt zamykał oddział policji konnej. Lwów na czas przejścia konduktu był odświętnie udekorowany. Na ulicach towarzyszył mu szpaler mieszkańców i żołnierzy. Na noc trumnę złożono w salonie recepcyjnym dworca, który został na tę okazję przystrojony przez lwowskich kolejarzy. Trumnę zamiast na katafalku złożono na karabinach maszynowych. Na noc przy trumnie zaciągnięto wartę honorową, obok żołnierzy stanęli także kolejarze. Całą noc przez dworzec przewijał się tłum ludzi, składających bezimiennemu żołnierzowi ostatni hołd.

Uroczyste pożegnanie zwłok na dworcu odbyło się w dniu 1 listopada. O godzinie 8:48, nastąpił odjazd specjalnego pociągu do Warszawy. Pociąg prowadzony był parowozem udekorowanym emblematami narodowymi i żałobnymi. Trumna spoczywała w ostatnim wagonie – tym samym, którym do kraju przyjechały zwłoki Henryka Sienkiewicza. Drzwi wagonu pozostawały otwarte na oścież, aby podczas przejazdu trumna była dla wszystkich widoczna. Wagon poprzedzający był wypełniony ponad setką wieńców ofiarowanych przez lwowian. Trzy pozostałe wagony zajmowało pięćdziesięciu sześciu żołnierzy, jako eskorta honorowa z komendantem pociągu, generałem brygady Walerym Maryańskim.

Trasa wiodła przez Żótkiew, Rawę Ruską, Beżec, Krasnystaw, Lublin i Garwolin. Na trasie przejazdu planowano liczne postoje po około 15 minut. Zapadający mrok potęgował podniosły nastrój. Wzdłuż torów rozbity smolne tuczywa lub stosy drewna, a przy torach na całej trasie towarzyszyły konduktowi nieprzebrane tłumy. Na stacjach, które pociąg mijał i gdzie się zatrzymywał, orkiestry grały pieśni patriotyczne i żałobne, śpiewały chóry miejscowe. Późne godziny nocne nie położyły kresu tym manifestacjom. Droga Nieznanego Żołnierza była nierzwykle królewski pochód tryumfalny.





Kolumnada Pałacu Saskiego, w obrębie której zlokalizowano Grób Nieznanego Żołnierza. Pocztówka ze zb. Jana Lesiaka

Pociąg wiozący szczątki Bezimiennego Bohatera, po 22 godzinach jazdy ze Lwowa, 2 listopada o godzinie szóstej rano wjechał na Dworzec Główny w Warszawie. Lokomotywa przyozdobiona była w barwy narodowe z wielką tarczą z Orłem Białym. Generał Maryjański przekazał trumnę oraz 126 wieńców generałowi Sikorskiemu i generałowi Suszyńskiemu.

Trumna przykryta szkarłatnym całunem attasowym z wyhaftowanym godłem państwowym, została złożona na lawecie armatniej zaprzężonej w szóstkę koni. Kondukt z Dworca Głównego prowadził ksiądz prałat Niewiarowski. Przed konduktem szła orkiestra, za nią pododdziały 30. Pułku Piechoty. Za trumną podążali przedstawiciele rządu i wojska. Trasa wiodła, alejami Jerozolimskimi, Nowym Światem i Krakowskim Przedmieściem przez plac Zamkowy do katedry świętego Jana. Wszystkie domy na trasie pochodu były ozdobione flagami o barwach narodowych.

Przed katedrą na kondukt oczekiwał ksiądz biskup polowy, generał Stanisław Gall, który następnie wprowadził trumnę po czerwonym kobiercu na katafalk ustawiony na środku katedry. Do godziny 11:00, kiedy rozpoczęło się nabożeństwo, do katedry przybywali oficjele: prezydent Rzeczypospolitej Stanisław Wojciechowski, marszałkowie Sejmu i Senatu, premier Władysław Grabski, generał Władysław Sikorski, generalicja. Przybył także nuncjusz papieski Lorenzo Lauri. Podczas mszy przy katafalku stanęła warta honorowa – cztery posterunki oficerskie. Miejsca najbliższe katafalku zajęte były przez matki poległych żołnierzy, wdowy i sieroty po żołnierzach oraz przez inwalidów wojennych. Uroczystą mszę celebrował metropolita

warszawski, ksiądz kardynał Aleksander Kakowski, zaś patriotyczną homilię wygłosił ksiądz prałat Antoni Szlagowski, wzruszając wszystkich zebranych. Słowa skierowane do matek, których synowie polegli w walce i spoczywają jako nieznani, wywołał łzy i łkania. Pełnym napięcia głosem wołał:

...Kim jesteś ty? Nie wiem. Gdzie dom twój rodzinny? Nie wiem. Kto twoi rodzice? Nie wiem i wiedzieć nie chcę i wiedzieć nie będę, aż do dnia sądnego. Wielkość Twoja w tem, żeś nieznany. W bratniej, wspólnej mogile zagubił imię, zagubił rodzinę, spadło z niego, co osobiste, z grobu narodził się na nowo, z grobu, gdyby z matki – ziemi, wyszedł nieznany, zapomniany, bezimienny (...). Czymże na Boga jesteś, szary żołnierzu, zapomniany, bezimienny? Ty jesteś odwieczny geniusz bojowy narodu, zowiesz się Męstwo, ty jesteś niespożyta, niezmierzona moc ideałów narodowych, zowiesz się Poświęcenie. Ty jesteś wszechzwycięska niepodległość ducha narodowego, zowiesz się Wolność.

Po nabożeństwie trumna została zdjęta z katafalku przez ośmiu podoficerów – kawalerów krzyża Virtuti Militari i wyniesiona przed katedrę wśród szpalery pochylonych oddających honory sztandarów i złożona na armatniej lawecie. Sformowano kondukt według ustalonego porządku. Na czele maszerował pododdział piechoty konnej, następnie pododdziały: piechoty, artylerii, kawalerii, sztandary armii polskiej, dalej duchowieństwo wszystkich wyznań, laweta z trumną, a tuż za nią matki, wdowy i inwalidzi. W dalszej kolejności szli: prezydent Rzeczypospolitej, przedstawiciele Ministerstwa Spraw Wojskowych, generalicja, przedstawiciele Sejmu i Senatu oraz wysocy urzędnicy, korpus oficerski i delegacje zagraniczne. Kondukt zamykał oddział policji konnej. Przy dźwiękach rozbrzmiewających wszystkich

dzwonów kościelnych, kondukt przemaszerował Krakowskim Przedmieściem na plac Saski, gdzie pod kolumnadą pałacu Sasów zlokalizowano Grób Nieznanego Żołnierza. Po drodze towarzyszyły mu tysiące warszawiaków.

W łozach przy Pałacu Saskim zasiedli: prezydent Rzeczypospolitej z towarzyszącym mu pierwszym marszałkiem Polski Józefem Piłsudskim, premier i marszałkowie Sejmu i Senatu, po lewej stronie duchowieństwo rzymskokatolickie, arcybiskup kościoła prawosławnego, i główny rabin warszawski. Laweta z trumną, zatrzymała się przed pomnikiem księcia Józefa Poniatowskiego. Przy pomniku stali żołnierze w historycznych mundurach wojsk polskich z czasów Księstwa Warszawskiego. Kawalerowie Virtuti Militari przenieśli trumnę przed salutującymi oddziałami i złożyli obok miejsca spoczynku. Punktualnie o godzinie 13:00 rozległ się strzał armatni, wzywający stolicę, a z nią cały naród, do jednej minuty ciszy i skupienia. Odkryty się głowy, zamartł ruch... Przy biciu dzwonów kościelnych trumna została opuszczona do grobowca. Nad zgromadzonymi tłumami rozległ się warkot przelatujących eskadr samolotów.

Minister spraw wojskowych złożył do grobowca akt erekcyjny oraz 14 żalników z ziemią z pozostałych pobojozisk, a także srebrny wieniec od prezydenta Rzeczypospolitej i jedwabny całun z wizerunkiem orła białego. Minutę po złożeniu trumny do grobowca, przestały bić dzwony i oddano 24 wystrzały honorowej salwy armatniej. Grobowiec nakryto płytą nagrobną.

Akt erekcyjny złożony w grobowcu Nieznanego Żołnierza polskiego, miał następującą treść:

Na wieczną chwałę imienia polskiego i dla bohaterstwa, które nie potrzebuje nazwiska, aby być najwyższej czci godnym. W siódmą rocznicę podjęcia walki o całość granic zmartwychwstałej Rzeczypospolitej i siódmego roku odzyskania przez naród polski niepodległości, roku pańskiego 1925, w dniu Zadusznym 2 listopada o godzinie 13.

Naród i rząd Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej z jej prezydentem Stanisławem Wojciechowskim na czele, przy udziale przedstawicieli Izby Ustawodawczej, duchowieństwa trzech wyznań, wojska, władz państwowych i samorządowych, stowarzyszeń społecznych i licznych tłumów narodu, złożył w grobowcu, na placu Saskim w stołecznym mieście Warszawie wzniesionym, wydobyte ze wskazanego losu pobojoziska lwowskiego zwłoki żołnierza polskiego, który poległ za Ojczyznę, składając w ten sposób wspólny hołd tysiącom bohaterów, którzy w ciągu stutrzydziestoletniej walki o wolność legli na polu chwały za sprawę narodu.

Chwilę złożenia zwłok Żołnierza Polskiego do grobowca uczciła cała Polska uroczystym milczeniem, trwającym jedną minutę.

Gdy zawarta się płyta nad szczątkami Nieznanego Żołnierza, prezydent Wojciechowski jako pierwszy

oddadł honory Grobowi Nieznanego Żołnierza i złożył wieniec od narodu, a następnie zapalił wieczny znicz. Przy grobie została zaciągnięta warta honorowa wystawiona przez żołnierzy z 36. Pułku Legii Akademickiej.



Grób Nieznanego Żołnierza przetrwał II wojnę światową. Niemcy wysadzili co prawda Pałac Saski, ale szczęśliwym zbiegiem okoliczności fragment kolumnady z grobem nie został poważnie uszkodzony. Zachowany fragment zabezpieczono, odrestaurowano i odstonięto już w 1946 roku. Obok Grobu ustanowiono również całodobową wartę honorową.

Grób zaliczany jest do narodowych imponderabiliów, symbolizujących największe poświęcenie. W 1965 roku, Grób Nieznanego Żołnierza wpisano do rejestru zabytków. Po upadku komunizmu nowe władze postanowiły przywrócić na Grobie przedwojenne tablice oraz odstonić nowe, upamiętniające najważniejsze bitwy w historii Polski. W Grobie złożono także ziemię z mogił katyńskich.

Ku wiecznej pamięci potomnym, w hołdzie tym, którzy oddali swe życie dla Polski. Dnia 18 IV 1989 roku złożono w mauzoleum żołnierskiej chwały urnę z ziemią katyńską zbroczoną krwią polskich oficerów – bojowników września 1939 r.

Dziś przy Grobie Nieznanego Żołnierza obchodzone są najważniejsze święta państwowe: Święto Narodowe Trzeciego Maja, Święto Wojska Polskiego 15 sierpnia i Narodowe Święto Niepodległości 11 Listopada. Następuje wtedy uroczysta zmiana warty honorowej, a w obchodach biorą udział najważniejsi przedstawiciele państwa polskiego, w tym Prezydent RP, Marszałkowie Sejmu i Senatu oraz Prezes Rady Ministrów. Odwiedzenie Grobu Nieznanego Żołnierza nakazuje również protokół dyplomatyczny wszystkim przybywającym do Polski delegacjom zagranicznym.

Literatura:

- Joanna Hübner-Wojciechowska: *Grób Nieznanego Żołnierza*. Warszawa 1991.
Witold Lisowski: *Sercu bliskie: Polskie symbole narodowe, Grób Nieznanego Żołnierza*. Warszawa 1987.
Witold Lisowski: *Żołnierz Nieznany*. Warszawa 1993.
Wanda Mazanowska: *Geneza Symbolu i przewiezienie zwłok Nieznanego Żołnierza, w: 7599 dni Drugiej Rzeczypospolitej*. Warszawa 1983.
Apoloniusz Zawilski: *Grób Nieznanego Żołnierza*. Warszawa 1981.
Red. Wiesława Jana Wysockiego: *Dzieje oręża polskiego na tablicach Grobu Nieznanego Żołnierza zapisane*. Warszawa 2000.
Waldemar Strzałkowski: *Grób Nieznanego Żołnierza*. Warszawa 2001.
Zygmunt Stępiński: *Gawędy warszawskiego architekta*. Warszawa 1984.
Czesław Skiba: *Pomniki Nieznanego Żołnierza: Świat i Polska: Przewodnik*. 2004.

W 70-tą rocznicę wydarzeń...

Pacyfikacja Michniowa we wspomnieniach rodziny Malinowskich

Małgorzata Winkler

Michniów tak wygodnie umiejscowić się wśród świętokrzyskich lasów i pagórków, jakby wokół nie istniał świat. Mała wieś leży w dolince, z trzech stron otoczona lasem, z czwartej zaś łagodnym wzgórzem, na które obecnie bez pardonu wdierają się drzewa, a kiedyś uprawiano rolę. Schowany niemal Michniów nie prosił się na bohatera wojennego, nie chciał istnieć w pieśniach i wierszach. Ale koleje losu i jego mieszkańcy wyznaczyli mu inną rolę.

Tę dolinkę, jako swoje miejsce na ziemi, wybrała rodzina Malinowskich. Pokochał je Julian, pokochała je jego żona Anna z Cześnickich, dopełniając mezalians dla michniowskiego gajowego. Odchowali jedynego syna, Romana, którego wydali za pochodzącą z uboższej i wielodzietnej rodziny Franciszkę z Banackowskich. Młodzi pokochali się, w domu pojawiły się dzieci – siedmiu synów i trzy córki. Żyli w dostatku, otoczeni szacunkiem sąsiadów. I dzieci ich wrosły w swoją ojcowiznę wiodąc sielskie życie, ucząc się, pracując na roli i korzystając z wolności, jaką daje życie na wsi.



Romana Malinowska, 1941 r. Fot. ze zb. prywatnych.

– *Dobrze nam się żyło* – wspomina Romana Białek z d. Malinowska, córka Romana Malinowskiego – *nie wszystkim było tak dobrze. Jako jedyni we wsi mieliśmy murowaną oborę, która stoi do dziś i jako jedyna przetrwała pacyfikację. Do koni zatrudniony był u nas chłopak i mieliśmy też dziewczynę do pomocy w domu. Trzy krowy, gęsi, kaczki. Piękną pościel mieliśmy. Tatuś był szanowany we wsi. Często proszono go na ojca chrzestnego. Wiadomo, że jak po łękach biegali jakiś Romek, to chrześniak taty* – śmieje się.

– *Dużo nas było w domu, w tej kuchni z pokojem. A jeszcze w drugim pomieszczeniu mieszkała nasza kuzynka Stefania z mężem Adolkiem Materkiem i dwójką dzieci. To ona trzymała do chrztu małego Stefanka, który potem spalił się w naszej stodole. I ona też... Z resztą: kto tam był w domu! Jak się tylko zaczynało ciepło, chłopaki przenosili się ze spaniem na siano, na taki, a do domu sprowadzali się dopiero jesienią.*

A potem przyszła wojna i niedługo dopełnić się miało przeznaczenie Michniowa i jego mieszkańców. Nie przeczuwając niczego, ludzie żyli z dnia na dzień. Część młodzieży należącej do „Strzelca” wyruszyła na wojnę, poszli rezerwiści, walczyli żołnierze zawodowi. Reszta starała się przetrwać nie rzucając się w oczy nieprzyjacielowi.

Wrzesień nie ominął Malinowskich. Późną jesienią 1939 roku, Roman Malinowski wraz z kilkoma innymi mieszkańcami wsi organizował pomoc i służył za przewodnika oddziałowi mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala”¹. Na wojnę wyruszył Stanisław, gajowy – jak



Romana Malinowska, 1941 r. Fot. ze zb. prywatnych.

¹ Krogulec Władysław, *Dziecko przez sen zapłaczę*, Kielce, Dom Środowisk Twórczych, 1993, s. 10

jego dziad i ojciec – mieszkający ze swoją rodziną w leśniczówce w Osiecznie. Walczył też Władysław, zawodowy żołnierz stacjonujący w Jarosławiu koło Przemyśla.

– Obaj wrócili do domu przed końcem roku – wspomina Romana. – Nasza mama strasznie martwiła się o synów. Była tak zdesperowana, że poszła do wróżki. Kobieta zapewniła ją, że obydwaj synowie wrócą. Jeden od Zachodu, drugi od Wschodu. Jeden miał być bardzo chory, ale drugi jeszcze bardziej. No, i Staszek wrócił od Zachodu z poranioną nogą. Przestrzelono mu ją w walkach pod Modlinem. A Władek... Dostał się do niewoli i wywieźli go do Rosji. Bardzo krótko tam był, kiedy postanowiono przewieźć ich do Niemiec. Jechał więc przez terytorium Polski. Miał wielką ochotę wyskoczyć z pociągu, ale na stacjach kolejowych ostrzeliwano je, a w ciemności z kolei bał się, że trafi na most i się zabije. Zdecydował się jednak i wyskoczył pod Koniecpolem. Schował sobie za pazuchę bochen czerstwego chleba i jak wyskoczył bardzo potłukł się w pierś. Właściwie to on też wrócił od Zachodu, ale zdecydował się okrążyć wieś i przyjść do domu od strony lasu. Dlatego nadszedł od Wschodu. Wrócił do domu pod koniec listopada. Wyglądał jak żebrak z tymi zapadniętymi oczami. Kiedy stanął w drzwiach, to omal go nie poznałam. Po powrocie nie mógł dojść do siebie. Nie mógł jeść, nie nabierał sił. Po kolędzie chodził ksiądz Antoni Drygas. Zobaczył go i przestraszył się, że to są początki gruźlicy. Zarządził więc, żeby go rozebrać, zrobić gorącą kąpiel, a potem dać się wypocić i zmieniać ciągle ubranie. I dawać sok malinowy. A o ten nie było tak łatwo. Kiedyś mieliśmy go dużo, jak to w gospodarskim domu. Stał za szafą ustawioną tak na rogu pokoju. Ale wojsko robiło co chciało. Nie zostało nam nic. Mama załatwiała go od Żydówki. Tatusz dawał drzewo, a Żydówka sok.

Władysław wyzdrowiał i nie zapomniał o żołnierskiej powinności. Brał czynny udział w tworzeniu się miejscowej konspiracji. W Michniowie działała placówka konspiracyjna o kryptonimie „Kuźnica”. Jej żołnierze zorganizowali w lutym 1943 roku akcję zbrojną na Górze Baranowskiej, której celem było zdobycie broni i pieniędzy. W powojennych wspomnieniach „Nurt” akcję tę nazywał „gwiazdą”. Brali w niej udział Władysław i Eugeniusz Malinowscy.²

Anna Miernik z d. Malinowska wspomina, jak w zimowe wieczory do domu zakradał się Władysław Wasilewski ps. „Oset” i razem z Władysławem snuli naznaczone młodością fantazją plany dotyczące przyszłych działań. Władysławowi Malinowskiemu ich realizację przerwał pewien upalny dzień w lipcu 1943 roku.

Po przybyciu do świętokrzyskich lasów Jana Piwnika „Ponurego”, działania partyzanckie na tym terenie nabrały rozmachu. Akcja pacyfikacyjna w Michniowie miała być przykładem i ostrzeżeniem przed współpracą



Romana Malinowska. Po lewej jej brat stryjeczny Henryk Dąbczyński ps. „Kruk”, późniejszy żołnierz „Ponurego”. Po prawej Stefan Krogulec. Okres międzywojenny. Ze zb. prywatnych.

z „polskimi bandytami”, jak Niemcy określali partyzantów. Po rekonesansie dokonanym w niedzielę 11 lipca 1943 roku, następnego dnia nad ranem hitlerowcy okrążyli wieś podwójnym kordonem.³ Zatrzymywali w lesie wszystkich, którzy w poniedziałkowy poranek szli na pociąg do stacji w Berezowie, by dostać się w pracy w Skarżysku-Kamiennej, czy Suchedniowie.

W feralny dzień w domu Malinowskich byli rodzice, Franciszka i Roman, i ich pięcioro dzieci: Władysław (27 l.) i Eugeniusz (20 l.) oraz trzy najmłodsze córki: Romana (18 l.), Kazimiera (16 l.) i Anna (13 l.). Starsi bracia mieszkali już ze swoimi rodzinami poza Michniowem, a syn Zygmunt pracował w lesie i nie było go w gospodarstwie.

– Mieliśmy w domu konspiracyjne gazetki i inne dokumenty Władka – opowiada Romana. – Kiedy zauważyliśmy podejrzany ruch we wsi i Niemców na polach, zabrałam wszystko i wyszłam do ogródka przed domem. Nie chciałam, żeby sypiający w szkole Julian Materek widział, co robię, dlatego udawałam, że plewię. Ale tak naprawdę ukrywałam wszystko za odstającą zalepą podmurówki. Po przyjeździe część Niemców rozłożyła się ze śniadaniem na tace przed naszym domem. Tata dostrzegł tam leśniczego z Gozdu, Jokiela. [Cezary Chlebowski w swoich publikacjach wspomina o Jekieli⁴] Przed wojną chadzał z nim na polowania. Postanowił iść do niego i wstawić się za Zygmuntem. Spodziewaliśmy się, że będzie wracał z lasu do domu i baliśmy się o niego. Tata chciał, by ktoś z kordonu okalającego wieś wiedział o tym i go wylegitymował zamiast od razu strzelać. W ten sposób sam poszedł w ich ręce i już nie wrócił...

– Kiedy tata długo nie wracał – podejmuje opowiadanie Anna – Władek kazał mi iść do sklepu i spróbować zasięgnąć języka. Martwił się o niego,

² Gmitruk Janusz, Kaczanowski Longin, *Płoneły niebo i ziemia*, Warszawa, Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, 1998, s. 62

³ Kaczanowski Longin, *Zagłada Michniowa*, Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1980, s. 69

⁴ Chlebowski Cezary, *Pozdrowcie Góry Świętokrzyskie*, Warszawa, EPOKA, 1988, s. 222

ale nie podejrzewaliśmy najgorszego. Sądziliśmy, że Niemcy wyznaczili go do jakichś zajęć: wskazania domów, ludzi. W sklepie na półce były już tylko zapatki. Zapukałam w kontuar. Z części mieszkalnej wyszedł Niemiec, a za nim zobaczyłam puste, bielone pomieszczenie: już wszystko stamtąd wynieśli i ograbili. Zapytałam: „Czy jest tu mój tatuś? Czy jest tu gajowy?” poprawiłam się zaraz. „Nichts” odpowiedział i wrócił do domu. Po drodze spotkałam mnóstwo Niemców. Wspominam to jak zły sen, kiedy chciałoby się biec, a nogi nie pozwalają się ruszyć.

– Niedługo potem Niemcy dotarli też do naszego domu – kontynuuje. – Najpierw weszli do izby, w której mieszkała kuzynka Stefania i Adolf Materek z dziećmi. Adolkowi kazali schować się w szafie i nie przyznawać się nikomu, że pracuje w lesie. Potem poszli do naszej części mieszkania. Wchodząc do kuchni zobaczyli opartą o ścianę dubeltówkę taty i nie byli już tacy mili. Władek krzyknął zmienionym głosem „Niemcy”. Był tak wściekły, że aż poczerwiał na twarzy. Jeden z mundurowych złapał go za kark i wyprowadził z domu. Gienka też. Z nim trochę się poszarpał. Potem kazał wyjść również Romci i Kazi. Ten, który został w domu zrzucił mnie z tóżka i zaczął grzebać w szufladach. Bardzo płakałam, a mama pocieszała mnie mówiąc „Nie płacz, Haniu”. On też powiedział wtedy „Nie płacz, Haniu”. Ośmieliłam się i zaczęłam prosić go „Nie zabijaj mnie i mamy”. „Nie zabiję”, odpowiedział mi. „A tam, na dworze moi bracia i siostry wyprowadzeni” żaliłam się dalej. „Nie martw się” – powiedział – „One wrócą”. I wyszedł z domu.

– Kiedy stałam na wygonie koło szkoły z grupą mężczyzn nie bałam się, że nas zabiją – wspomina dalej Romana. – Ale jeden z Niemców miał ze sobą wielki kij. Najbardziej się bałam, że będą mnie bili tym kijem... Podszedł do nas Niemiec, który był u nas w domu i zaczął nam zadawać dużo pytań. Czy jesteśmy potrzebne w domu i czy dajemy kontyngent. Na wszystko odpowiadaliśmy z Kazią – TAK. Wyciągnął nas z szeregu i pozwolił pożegnać się z braćmi. Jego kompan pytał: „Co robisz, to przecież bandyci”, a on na to pokazując na nasze stopy: „Bandyci? Boso?”, a potem wskazał na dom, przed którym stała mama i zapytał „Czy ty matki nie masz?”. Pozwolił nam odejść. Władek zdołał mi tylko szepnąć „W kwitariuszu są pieniądze” i wtedy widziałam braci ostatni raz.

Po odjeździe hitlerowców kobiety z rodziny Malinowskich, jak wielu innych mieszkańców Michniowa, wyszły na wieś, by zobaczyć zniszczenia i poszukać swoich bliskich. Ktoś z napotkanych sąsiadów poinformował ich o smutnym losie Władka i Gienka. Załamana Franciszka zastanawiała się, co też powie jej mąż, kiedy wróci do domu. „Przecież on też nie żyje” rzucił ktoś z boku i Romcia z Kazią zemdlały.



Nadpalone dokumenty Eugeniusza Malinowskiego. Ze zb. Mauzoleum w Michniowie.

Niestety, nie miał to być to koniec cierpień michniowiaków. Z Wykusu na pomoc mieszkańcom ruszył „Ponury” ze swoim zgrupowaniem. Do wsi dotarli już po odjeździe hitlerowców. W nocy zaplanowano i przeprowadzono akcję odwetową atakując niemiecki pociąg przejeżdżający nieopodal wsi. Na jednym z wagonów umieszczono napis ZEMSTA ZA MICHNIÓW.⁵ Partyzanci wycofując się do lasu, przechodzili przez częściowo spaloną wieś. Radzili mieszkańcom zostawić domy i na jakiś czas ukryć się w lesie.

– Szli do lasu przechodząc wygonem koło naszego domu. My oczywiście nie spałyśmy – relacjonuje Romana. – Mówili nam, żebyśmy uciekali do lasu, bo TERAŻ to nie wiadomo, co będzie...

Ostrzeżenia partyzantów, ich podejrzenia co do ostatecznej zemsty Niemców potwierdza również w swoich wspomnieniach Anna Starosz ps. „Antena”: Ponury z oddziałem przyszedł około czternastej. Niemców już nie było w Michniowie. Polecono mu (ojcu „Anteny”, „Ludwikowi” – przyp. aut.) przejść przez wieś i namówić pozostałych przy życiu mieszkańców do opuszczenia wsi, ale nie wszyscy chcą odejść od zgłiszcz i trupów bliskich, nie chcą też zostawić ocalałego dobytku. A spodziewamy się, że jutro znowu zacznie się na nowo, tym bardziej, że... ojciec zamilkł nagle. Jest roztrzęsiony. Widok tego nieszczęścia rozkleił go zupełnie – płacze. Jak przewidywano, po odwiecie „Ponurego” – napaści na pociąg z wojskiem w pobliżu Michniowa, następnego dnia otoczono znów wieś i dokonano dzieła do końca. Mało kto

⁵ Kołomańska Ewa, *Michniów w okresie II wojny światowej* [online, dostęp 20 kwietnia 2013], Dostępny w World Wide Web: <http://www.martyrologiawspolskich.pl/portal/mwp/403/2503/Michniow.html>

wyszedł ze wsi żywy. „Albiński” przewidywał skutki tego odwetu. Uważał, że nie należy dokonywać akcji w pobliżu Michniowa. Ale „Ponury” nieustępliwie dał rozkaz: „Polek prowadź”.⁶

– Michniów zgubił las – kontynuuje swą opowieść Romana myśląc o „leśnych” partyzantach. – Uratowało nas tylko to, że drugiego dnia wieś nie była obstawiona niemieckim kordonem.

Z samego rana, 13 lipca, do domu Malinowskich przybył syn Józef z żoną Zofią, mieszkający w pobliskiej wsi Wierzbce. Chcieli być z Franciszką i jej córkami w ciężkich dla wszystkich chwilach. Być może to właśnie Józef ocalił rodzinę. Gdy Niemcy po raz kolejny wkroczyli do wsi, Franciszka nakazała wszystkim ukryć się. On nie zgodził się jednak i zarządził ucieczkę do lasu. Wiele michniowskich żon i dzieci zginęło od kul, bagnatów i ognia niewłaściwie oceniając sytuację. Pierwszego dnia pacyfikacji zabijano przede wszystkim mężczyzn zgodnie z przygotowaną wcześniej listą. Dawano to złudne poczucie bezpieczeństwa dla matek z dziećmi. Jednak drugiego dnia, rozsierzeni nocną akcją odwetową partyzantów, Niemcy nie szczędzili nikogo.

– Uciekliśmy za dom i polami biegliśmy w stronę lasu – mówi Anna. – Kazia odłączyła się od nas i pobięta w stronę leśniczówki. Uciekał z nami Adolek Materek, a ja miałam na rękach jego trzyletnią córkę. Niestety, jego żona Stefcia, razem ze swoim chrześniakiem noworodkiem spłonęła w naszej stodole... Mama biegnęła z nami, ale w pewnym momencie upadła. Myśleliśmy, z Zosią i Józkiem, że dosięgła ją kula. Byliśmy zbyt przerażeni, żeby się zatrzymać i to sprawdzić. Wszędzie świszczały pociski. Dopiero Romcia, która biegnęła za nami, dopadła do mamy i pomogła jej wstać.

– Za naszym domem był naturalny spadek terenu. Pewnie dlatego większość stratów w naszą stronę była niecelna, przelatowała nam nad głowami – dopowiada Romana.

Kazimiera, która odłączyła się od swojej rodziny, schronienie znalazła w leśniczówce, w której mieszkało małżeństwo folksdojców Michalskich. Stamtąd, działając być może pod wpływem szoku, wróciła na swoje podwórko chcąc uporządkować krowy. Po jakimś czasie ponownie, nie zaczepiana przez nikogo, wróciła do leśniczówki. Pani Michalska nie pozwoliła jej wyjść aż do zakończenia akcji pacyfikacyjnej. Gdy wróciła do zabudowań Malinowskich ponownie, wieś już nie istniała. Ze wszystkich budynków ocalała jedynie murowana obora na ich podwórku, która stoi do dziś. Na zgłiszczach stodoły znalazła ciała. Przekonana była, że to jej rodzina, choć przecież niedawno uciekała z nimi przez pola.

Mieszkańcom okolicznych wsi zakazano, pod groźbą śmierci, pomocy pogorzelcom. Michniowianie

błąkali się po lasach, wśród sąsiadów szukali ludzi dobrej woli. Franciszka i jej córki Romana, Anna, i Kazimiera nie były w tym odosobnione. Po nocy spędzonej w Wierzbce, przez Siekierno, Ścieganie i Leśną trafiły do Wzdodu Rządowego, gdzie schronienia udzieliła im rodzina Łubków – teściowie wspomnianego wcześniej Stanisława.

– Tu już było całkiem inne życie – wzdycha ciężko Romana. – Wcześniej mieliśmy dość bogaty dom, a tu mieszkaliśmy kątem u prawie obcych ludzi, a potem znaleźliśmy schronienie w starej, pożydowskiej chatce. Bez żadnego dobytku. Ciężko nam było. Zygmunt po pacyfikacji poszedł do lasu, do „Ponurego”. Mama zamartwiała się o losy kolejnego syna. Koniecznie chciała, by wrócił do domu. I rzeczywiście, po aresztowaniu Stanisława i wywiezieniu go do Oświęcimia, Zygmunt zastąpił go na stanowisku gajowego w Osiecznie. Ja też od razu wstąpiłam do konspiracji. Nie, nie bałam się – kręci głową – to była naturalna kolej rzeczy. Krótko po pacyfikacji, 25 lipca, po mszy w kościele we Wzdole zaczęła mnie pewna kobieta. Nie wahałam się ani chwili. Przysięgę składałam wśród pól, a odbierała ją Nela, czy Mela z domu Szafraniec. Pochodziła z Leśnej. Organizowałyśmy szkolenia sanitarne, szyłyśmy opaski. Byłam tączniczką „Grota” – Euzebiusza Domoradzkiego, jednego z dowódców „Ponurego”.

– Kiedy trzeba było, walczyliśmy – podsumowuje – a potem żyliśmy wspominając zmarłych i chcąc przeżyć swoje życie w spokoju.

W chwili pisania tekstu Romana Białek z d. Malinowska ps. „Burza” pozostaje jedyną przedstawicielką rodu ze swojego pokolenia i jedyną osobą mogącą ciągle dać świadectwo losów rodziny Malinowskich. W jej pamięci wciąż żywe pozostaje jej rodzeństwo:

– Julian Malinowski ps. „Słowik”, żołnierz AK (zm. 1971) – działający na terenie Książa Wielkiego, po wojnie aresztowany i wraz z synami katowany przez komunistów w jednym z krakowskich więzień;

– Stanisław Malinowski, żołnierz GL (zm. 1988) – więzień Auschwitz, Dachau i Buchenwaldu;

– Władysław Malinowski ps. „Biały”, żołnierz AK (zm. 1943) – zamordowany w Michniowie;

– Józef Marian Malinowski ps. „Jeleń”, żołnierz AK (zm. 1993);

– Zygmunt Malinowski ps. „Żbik”, żołnierz AK (zm. 1991) – żołnierz „Ponurego”, odpowiedzialny za flagę oddziału⁷;

– Eugeniusz Malinowski ps. nieznany, żołnierz AK (zm. 1943) – zamordowany w Michniowie;

– Kazimiera Dulęba z d. Malinowska (zm. 1994);

– Anna Miernik z d. Malinowska (zm. 2012).

⁶ Starosz Anna, Z „Albińskim”, „Nurtem” i „Ponurem”: wspomnienia, Skarżysko-Kamienna, 1993, s. 29

⁷ Serdelski Bogumił Józef, Flaga „Ponurego”, Słowo Ludu Magazyn, nr 1757, s. 8

Prawosławni w Kielcach i ich cmentarz

Leszek Dzięcio

Pobecność w Kielcach pojedynczych osób wyznania prawosławnego odnotowano już w końcu XVIII wieku. Prawosławni, utożsamiani z Rosjanami, w większej liczbie pojawili się w mieście dopiero w czasie Powstania Listopadowego, z chwilą wkroczenia tu armii generała Rüdigera. Odtąd w Kielcach przebywało na stałe kilkudziesięciu urzędników – Rosjan, związanych przede wszystkim z wojskiem. Osiadło też dwóch kupców: Wasyl Łucznirow i Piotr Dutow. Oprócz nich czasowo stacjonowało w mieście około 500 żołnierzy. Stosunki Rosjan z Polakami były przyjazne, odwiedzano się w domach i porozumiewano się po polsku. Nieprzekraczalną dla Polaków granicą było jednak np. zawieranie małżeństw mieszanych z prawosławnymi. Już w 1840 r. dla prawosławnych zorganizowano prowizoryczną cerkiew w ratuszu.

Po stłumieniu Powstania Styczniowego liczba Rosjan w Kielcach gwałtownie wzrosła. Przede wszystkim obsadzono nimi większość kierowniczych stanowisk w administracji – poczynając od posady gubernatora, w sądownictwie i szkolnictwie. W 1874 r. w mieście żyło 91 osób cywilnych wyznania prawosławnego oraz kwaterowało około 2,5 tys. żołnierzy rosyjskich. Pod koniec lat 80. XIX w. było to już ponad 300 osób i ponad 5 tys. żołnierzy, a w przeddzień wybuchu I wojny światowej już ponad 2,5 tys. osób cywilnych, co stanowiło około 6% mieszkańców miasta, i zbliżona liczba żołnierzy. W skład garnizonu kieleckiego wchodziły czasowo różne jednostki armii rosyjskiej, m.in. 5. i 6. Pułk Strzelców, 28. Połocki Pułk Piechoty oraz dowództwa 14. Dywizji Kawalerii i 7. Dywizji Piechoty. Po Powstaniu Styczniowym

diametralnie zmieniły się stosunki pomiędzy polskimi i rosyjskimi mieszkańcami Kielc. Zapanowała atmosfera dyskryminacji, przemocy i terroru, zmierzającego do wynarodowienia i rusyfikacji Polaków. Jako wyraz represji politycznej odczytano więc w społeczności polskiej wybudowanie pod koniec lat 60 w sąsiedztwie katedry reprezentacyjnej cerkwi pod wezwaniem Wniebowstąpienia Pańskiego.

Ludność prawosławna w Kielcach żyła w znacznym stopniu w izolacji, której nie mogły przełamać podejmowane z urzędu próby integracji, np. w postaci mieszanej polsko-rosyjskiej resursy (klubu towarzyskiego). Rosjanie spotykali się i bawili we własnym towarzystwie, posiadali własne organizacje, jak np. Resursę i Towarzystwo Dobroczynności. W 1904 r. prawosławni jako drugą świątynię otrzymali cerkiew garnizonową, wybudowaną w stylu bizantyjskim przy ul. Chęcińskiej.



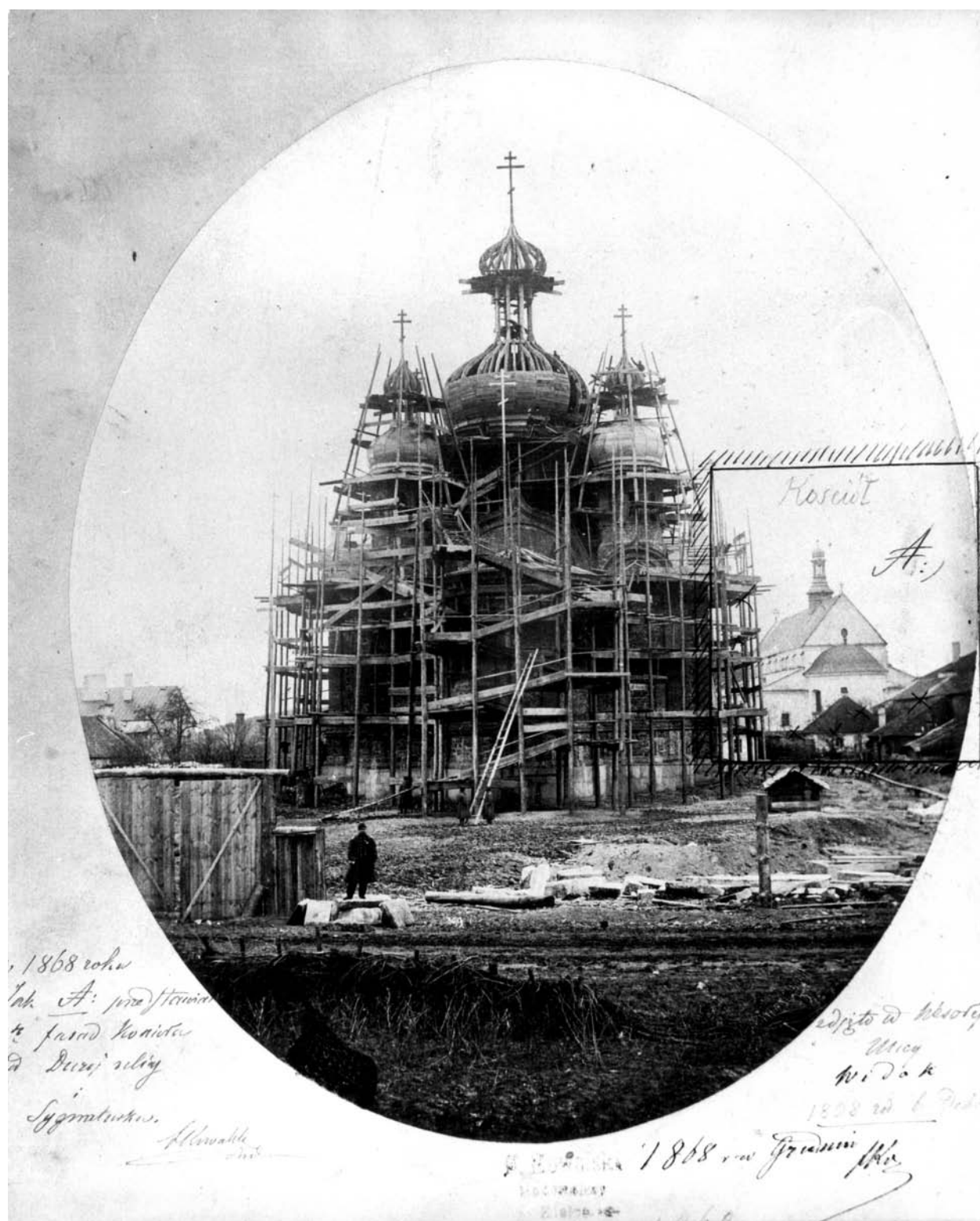
Siedziba gubernatora i Rządu Gubernialnego Kieleckiego w pałacu biskupim.



Budynek przy rynku mieszczący sklep Łucznikowa i prowizoryczną cerkiew.



Grupa Rosjan przed restauracją w parku (lata 1880- 1890).



Budowa cerkwi Wniebowstąpienia na wzgórzu zamkowym w 1868 r.

Spółeczność kieleckich prawosławnych nie była jednolita. W większości byli to oczywiście rdzenni Rosjanie, ale również Ukraińcy i Białorusini, a także przechodzący z różnych, najczęściej utylitarnych, względów na prawosławie Polacy i Żydzi. Do prawosławnych zaliczano również z urzędu dzieci z małżeństw mieszanych oraz unitów (wyznawców kościoła greckokatolickiego uznającego zwierzchnictwo papieża).

Postawy prawosławnych wobec Polaków mieściły się pomiędzy dwoma biegunami: czynnym udziałem w walkach Powstania Styczniowego po stronie polskiej, a obsesyjnym prześladowaniem polskości przez żandarmów i konfidentów, likwidowanych przez bojówki PPS w czasie rewolucji 1905 r. Pomiedzy tymi skrajnościami w życiu codziennym sympatią kielczan cieszyły się np. zadomowione w mieście rodziny Łuczniaków czy Kiebaczych.



Awksenti Jakowlewicz Aleszko – naczelnik powiatu kieleckiego.



Sewerian Januarijewicz Woronkow – dyr. Kieleckiego Gimnazjum Męskiego.



Faustyn Nikołajewicz Kosteckij – inspektor Kieleckiego Gimnazjum Męskiego.

Odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1918 r. całkowicie zmieniło sytuację prawosławnych kielczan. Z uprzywilejowanych przedstawicieli aparatu administracji i ucisku zaborcy stali się zwykłymi obywatelami. Byli to głównie Rosjanie, którzy nie opuścili Kielc w 1915 r. i osoby z małżeństw mieszanych. Grupę tę uzupełnili „bieżeńcy” uciekający z ogarniętej rewolucją Rosji, dezterterzy i wojskowi, a później emigranci polityczni. W 1931 r. w Kielcach mieszkało od 250 do 500 prawosławnych, w większości Rosjan. Część z nich, jak np. prawnicy i kolejarze, nadal pracowała w swoich zawodach. Większość utrzymywała się jednak z pracy fizycznej.

Elementem spajającym niewielką społeczność prawosławnych kielczan była religia. Wspólnotę po 1918 r. pozbawiono jednak całego majątku, w tym obu świątyń, pozostawiając jej jedynie cmentarz. Sobór Wniebowstąpienia został rozebrany w 1934 r., a cerkiew garnizonową przekształcono w rzymskokatolicki kościół garnizonowy. Powstała w 1920 r. parafia prawosławna nie posiadała początkowo ani stałego duchownego, ani stałej siedziby. Od 1925 r. bywał w Kielcach jako „kapelan dla rozjazdów” protojerej (prałat) Bazyli Teodorowicz, były proboszcz kieleckiego soboru Wniebowstąpienia. Od 1931 r. parafia miała już stałych księży, kolejno: Jerzego Korenistowa, Mikołaja Kuszneruka i Atanazego Martosa.



Cerkiew garnizonowa, wybudowana w 1904 r.



Rozbiórka soboru Wniebowstąpienia w latach 30-tych XX w.

Do wybuchu II wojny światowej nie udało się wybudować dla parafii kaplicy. Nabożeństwa odbywały się więc początkowo w kościele ewangelickim i kaplicy cmentarnej, a później w domu Makarego Iwanowa przy ul. Chęcińskiej. W czasach II Rzeczypospolitej kieleccy prawosławni skupiali się raczej na pielęgnowaniu więzi środowiskowych, pozostając nieco na uboczu miejskiego życia. Powołano m.in. Rosyjskie Towarzystwo Dobroczynności i Kółko Rosyjskie, będące ośrodkiem amatorskiego ruchu artystycznego.

Po II wojnie światowej nabożeństwa w dalszym ciągu odbywały się w mieszkaniu Iwanowów. W latach 1968–1978, kiedy proboszczem był ks. Stefan Wawryniuk, przy ulicy Słowackiego nr 16 zorganizowano prawdziwą kaplicę. W latach 1961–1984 kielecką parafię prowadził ks. protojerej Jakub Solar. Od 1981 r.



Cerkiew przy ul. Bodzentyńskiej 46.

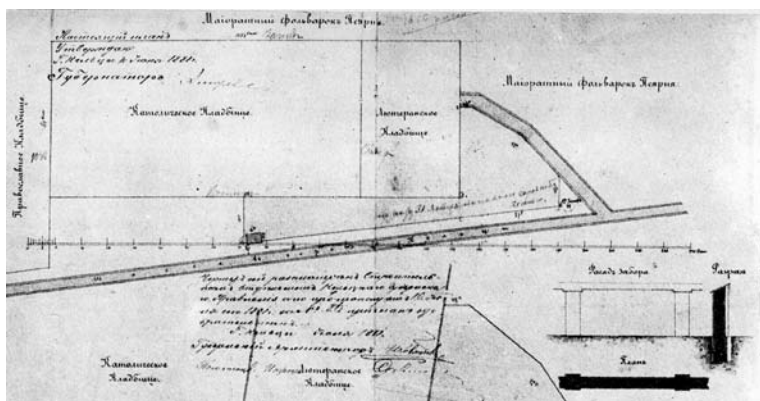


Budynek przy ul. Słowackiego 16, w którym w l. 1868–1978 mieściła się kaplica prawosławna.

kieleccy prawosławni posiadają własną cerkiew pod wezwaniem św. Mikołaja w zaadaptowanym budynku mieszkalnym przy ulicy Bodzentyńskiej nr 46.

W latach 1984–1986 proboszczem parafii był ks. Jarosław Dmitriuk. Dzisiejsza parafia prawosławna liczy około 30 osób. Są to m.in. potomkowie kieleckich Rosjan i małżeństwa mieszane wyznaniowo. W zdecydowanej większości – ludzie zaawansowani wiekiem. Obecnie proboszczem od 1986 roku jest ks. protojerej Władysław Tyszuk. Niedzielna Liturgia Święta sprawowana jest w parafii Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego o godzinie 10.

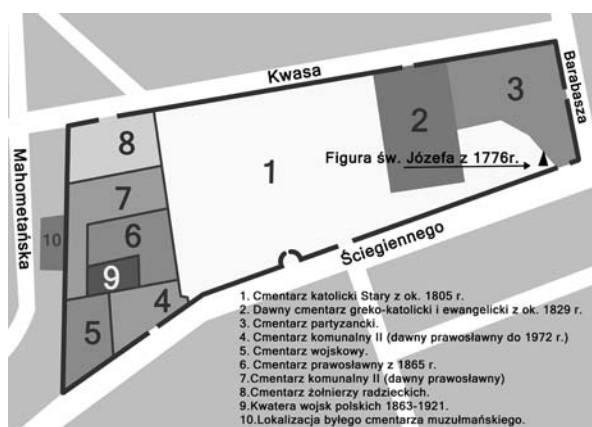
Do początków XIX w. w Kielcach nie było oddzielnych cmentarzy dla poszczególnych wyznań. Nielicznych zmarłych niekatolików zgodnie z ówczesnymi przepisami chowano w wyznaczonej im „dzielnicy” na cmentarzu katolickim, założonym w czasie zaboru austriackiego „przy trakcie bitym kielecko-buskim”. W roku 1829 odnotowano istnienie także cmentarza grekokatolickiego (unickiego), sąsiadującego z tzw. „starym” cmentarzem katolickim. Brak jednak na ten temat dokładniejszych danych. Konieczność utworzenia oddzielnego cmentarza prawosławnego powstała z chwilą zamieszkania w Kielcach większej liczby Rosjan po Powstaniu Listopadowym. Prawosławnych grzebano w tym czasie jednak w dalszym ciągu niegodnie „pod murem” cmentarza katolickiego „starego”.



Cmentarz prawosławny na planie cmentarza „starego” w 1881 r.

Starania o utworzenie odrębnego miejsca pochówku dla prawosławnych, korzystając ze wsparcia rosyjskich władz wojskowych, podejmowano kilkakrotnie poczynając od roku 1851. Między innymi w czasie poszerzania cmentarza katolickiego „starego” w 1860 r. próbowano wydzielić z przydzielonego na ten cel terenu działkę na odrębny cmentarz prawosławny. W tym samym czasie myślano też o założeniu takiego cmentarza na zboczu Kadzielni, gdzie projektowany był również cmentarz katolicki. Inny jeszcze projekt lokował cmentarz prawosławny na stokach Wietrzni, które chciano odkupić od Jana Malinowskiego i Kajetana Hołdakowskiego. Nowy cmentarz zamierzano ogrodzić watem ziemnym, a dotychczasowe pochówki oddzielić parkanem od cmentarza katolickiego „starego”. Jednak pretensje wyznawców prawosławia zostały zaspokojone dopiero w 1865 r., chociaż już w roku poprzednim geometra Ludwik Stachel na polecenie Rządu Gubernialnego Radomskiego miał im wytyczyć teren cmentarza. Według projektu budowniczego powiatu kieleckiego Franciszka Ksawerego Kowalskiego zakupiono w połowie 1865 r. ponad 2 morgi gruntów prywatnych graniczących z terenem, gdzie wcześniej grzebano prawosławnych.

Ogrodzenie nowego cmentarza za 450 rubli wymurował Kaczmarzski. Rosjanie kieleccy chowani byli odtąd



Cmentarz prawosławny wchodzący obecnie w skład cmentarza „starego” w Kielcach (plan).

głównie na tym cmentarzu. Wyjątkiem byli nieliczni Rosjanie „innych wyznań”, którzy miejsce wiecznego spoczynku znajdowali na cmentarzu ewangelickim powstałym w latach 1833–1834, lub na cmentarzu mahometańskim stworzonym przy nowym cmentarzu prawosławnym.

Po 1915 r. bardzo już nieliczną wspólnotę prawosławną pozbawiono obu świątyń, a jedynym jej majątkiem pozostał cmentarz. W jego części przylegającej do ulicy Ściegiennego z końcem I wojny światowej rozpoczęto pochówki legionistów, a później żołnierzy Wojska Polskiego poległych w latach 1918–1921. Tę część cmentarza prawosławnego po 1930 r. wydzielono jako Kwaterę Wojsk Polskich 1863–1921, na którą przeniesiono z innych cmentarzy mogiły weteranów 1863 r., legionistów i żołnierzy Wojska Polskiego.

W okresie międzywojennym teren pomiędzy bramą cmentarza a Kwaterą Wojsk Polskich był wykorzystywany jako cmentarz garnizonowy. Później umieszczono tu zbiorowe groby żołnierzy poległych we wrześniu 1939 r. i ofiar II wojny światowej, a po wojnie chowano tu „utrwalaczy władzy ludowej” i wojskowych Ludowego Wojska Polskiego. Kaplica cmentarna w okresie II Rzeczypospolitej pełniła początkowo również rolę świątyni, w której odbywały się prawosławne nabożeństwa.

W czasach Polski Ludowej, pomiędzy 1953 a 1958 r. po raz kolejny okrojono teren cmentarza, tym razem od strony zachodniej. Ulokowano tam cmentarz żołnierzy radzieckich, na którym pogrzebano ekshumowane szczątki żołnierzy radzieckich poległych w Kielcach i okolicy podczas ofensywy styczniowej w 1945 r. Jest to cmentarz o charakterze parkowym, na którym znajdują się mogiły zbiorowe ponad czterech tysięcy, w większości bezimiennych żołnierzy. 15 stycznia 1975 r. na cmentarzu odświeżono pomnik autorstwa Stefana Maja. Przed pomnikiem umieszczono marmurową płytę przeniesioną z rozebranego w 1989 r. pomnika Wdzięczności, który stał od 1945 r. na placu Żeromskiego. Pod koniec lat 50 powstał w Kielcach pod Telegrafem jeszcze drugi cmentarz żołnierzy radzieckich, na którym pochowano ok. 12 tys. jeńców zmarłych w niemieckim obozie.

W latach 1972–1976 od parafii prawosławnej wykupiono i wydzielono tereny wzdłuż południowego ogrodzenia i przylegające do cmentarza żołnierzy radzieckich, przeznaczając je na cmentarz komunalny i pochówki współczesne. Trzy lata wcześniej skomunalizowano dawny cmentarz ewangelicki założony około 1836 r., który powstał najprawdopodobniej w miejscu byłego cmentarza grekokatolickiego. Z mahometańskiego cmentarza „Rosjan innych wyznań”, który



Kwatera Wojsk Polskich 1863-1921.

znajdował się po południowej stronie dzisiejszego ogrodzenia cmentarza prawosławnego, do dzisiaj nie zachowały się żadne pozostałości. Jedynym śladem po nim jest nazwa ulicy Mahometańskiej, biegnącej wzdłuż muru cmentarza prawosławnego.

Dzisiejszy cmentarz prawosławny ograniczony jest do centralnej części pierwotnego cmentarza. Wraz z wydzielonymi z niego innymi cmentarzami wchodzi w skład kompleksu tzw. cmentarza „Starego”. W jego centrum znajduje się kaplica cmentarna, którą otaczają nagrobki prawosławne przemieszane obecnie ze współczesnymi pochówkami katolickimi.



Fragment cmentarza prawosławnego.

Najdawniejsze nagrobki, w liczbie prawie 40, pochodzą z drugiej połowy XIX w., a najstarsza jest płyta Andrieja Skrinnikowa zmarłego w 1876 r. Na cmentarzu znajdują się groby rosyjskich urzędników, wojskowych, duchownych prawosławnych oraz ich rodzin. Z bardziej znanych osobistości między innymi spoczywa tu dwóch wicegubernatorów kieleckich: Matwiej Wiktorowicz Michalewicz i Dymitr Teodorowicz Dewel, naczelnicy powiatu kieleckiego: Awk-

senti Jakowlewicz Aleszko i Aleksander Iwanowicz Kowalewski, dowódca 28. Połockiego Pułku Piechoty pułkownik Iwan Nikołajewicz Płotnikow i książę Jurij Dmitriewicz Golicyn.

W przeważającej części nagrobki wykonane są z kamienia, ale zgodnie ze specyfiką kieleckich cmentarzy spotyka się żeliwne pomniki i tablice epitafijne. Wśród zachowanych sygnatur wykonawców występują firmy kamieniarskie z Kielc, np. W. Smyczyńskiego i F. Jarosińskiego, ale większość to jednak zakłady warszawskie. Na jednym z pomników żeliwnych zachowała się sygnatura odlewni z Bliżyna. Niestety, zabytkowe nagrobki w większości znajdują się w złym stanie i wymagają pilnego zabezpieczenia i konserwacji.

*Ilustracje ze zb. Muzeum Historii Kielc
Fotografie współczesne Leszek Dziedzic*



Pomnik ku czci żołnierzy radzieckich.



Grób Wieniaminowa Ziernowa oraz jego córki Warwary Jakowlewny (Tatiana Iwanowna w *Urodzie życia* Żeromskiego).

Rozwój górnictwa w okolicach Kielc

Rsiążęta piastowscy przekazując biskupom krakowskiemu obszar Gór Świętokrzyskich nie spodziewali się, że kryją one w sobie tak różnorodne bogactwa naturalne. Najstarszym dokumentem, który w sposób niebudzący wątpliwości wspomina o złożach mineralnych w okolicach Kielc jest przywilej króla Wacława II dla biskupa krakowskiego Jana Muskaty wystawiony 20 czerwca 1295 roku w Pradze.

Największy rozwój kieleckiego górnictwa nastąpił w XVI i XVII w. Zainteresowani w dochodach z kopalni biskupi wydawali liczne przywileje ułatwiające i organizujące eksploatację miejscowych rud. W 1553 r. starosta kielecki Hieronim Szafraniec uzyskał przywilej wolnej eksploatacji rud żelaza i prowadzenia kuźnic we wsiach okalających Kielce od zachodu. W kluczu dóbr biskupich zaczęły powstawać nowe kopalnie żelaza, miedzi i ołowiu. Intensywnie eksploatowano kopalnie w Miedzianej Górze i w okolicach Karczówki. Również w sąsiadującej z dobrami biskupimi Miedziance – wchodzącej w skład regaliów, czyli dóbr królewskich – trwały intensywne prace. Urobek z kopalń przerabiano w pobliskich kuźnicach, które lokalizowano najczęściej przy rzekach dostarczających energię potrzebną do ich napędu. Drewno z okolicznych lasów wykorzystywano do produkcji węgla drzewnego, na którym opierał się proces wytopu. Na miejscu wydobywano też rudę żelaza.

Pomiędzy 1608 a 1618 rokiem biskup Piotr Tylicki sprowadził z Bergamo we Włoszech braci Caccia, którzy zajęli się wyrabianiem broni palnej. Powstały fabryczki broni, m.in. w Niewachlowie i Samsonowie. Na ich potrzeby wybudowany został nad brzegiem Bobrzy pierwszy w Polsce wielki piec do wytopu surówki żelaza. Kilkadziesiąt lat później w okolicy Kielc przybyła włoska rodzina Gibbonich. Jej najbardziej zastruszoną dla miejscowego górnictwa i hutnictwa przedstawicielem był Jan Gibboni, który w 1639 r. został administratorem komory ołowiu w Kielcach (gwarkowie powinni byli sprzedawać w niej wydobyty ołów). Niebawem biskup Jakub Zadzik wydał Gibboniemu koncesję na wybudowanie w Samsonowie wielkiego pieca. W 1782 r. w regionie świętokrzyskim znajdowało się ich 27 (w całej Polsce 34).

W XVIII w. górnictwo w regionie Kielc podupadło. Pierwsze próby jego odnowienia przeprowadzone zostały na większą skalę za czasów panowania

Stanisława Augusta Poniatowskiego. Po III rozbiorze Polski takie próby podejmowali Austriacy. Jednak dopiero działalność Stanisława Staszica – ministra w rządzie Królestwa Polskiego – przywróciła Kielcom miano górniczej stolicy kraju. Dzięki Staszicowi powstała m.in. Huta Aleksandra w Białogonie, która miała przetwarzać rudy z okolicznych kopalń. m. in. z Miedzianej Góry. Niestety, na skutek wyczerpywania się złóż metali wokół Kielc i coraz większego zainteresowania złożami żelaza, Kielce straciły na znaczeniu jako ośrodek górniczy. Równocześnie – ze względu na zlokalizowane w pobliżu złoża żelaza – wzrosła rola budowanych z inicjatywy Stanisława Staszica i Franciszka Druckiego-Lubeckiego zakładów metalowych nad rzeką Kamienną z centralnym ośrodkiem w Starachowicach.



Biskup krakowski Piotr Gembicki założyciel cechu gwarków i górników

Wraz z rozwojem górnictwa górnicy (początkowo niewolnicy i chłopcy pańszczyźniani) stawali się rzemieślnikami, otrzymywali specjalne prawa i przywileje; powstawały zrzeszenia wolnych górników zwane

gwarectwami. Górnicy średniowieczni nazywani byli „rudnikami”. Byli to ludzie wolni, którzy poza „olborą” czyli podatkiem górniczym nie byli nikomu nic winni. Przemysłowcy tacy pochodzili z różnych stanów: ze szlachty, mieszczan i kmieci. Właściwych gwarków odróżniano od górników i robotników. Wyjęci oni byli z pod sądów zwyczajnych i mieli swój „sąd żupniczy,” złożony z żupnika, czyli zwierzchnika gwarectwa i siedmiu ławników przysięgłych. W wewnętrznych stosunkach między sobą zarządzili się gwarkowie uchwałami, które zapisane do ksiąg żupniczych, miały znaczenie prawa obowiązującego.

W okolicach Kielc takie gwarectwo powstało w okolicach Chęcin, gdzie również był ustanowiony urząd żupnika chęcińskiego, a wydobywano i przetwarzano rudę miedzi i ołowiu.

W dobrach biskupich organizację górnictwa zajmował się powołany w 1601 r. przez biskupa Bernarda Maciejewskiego Urząd Górny (Żupniczy) na czele z żupnikiem. Jednym z nich był starosta biskupi Stanisław Czechowski, który wykupił od Hilarego Mali znalezione przez niego bryły galeny.

Górnicy i gwarkowie zostali zorganizowani w jeden cech na mocy przywileju biskupa Piotra Gembickiego z dnia 8 lipca 1647 r. Na mocy przywileju górnicy mieli się m.in. opiekować otłarzem w Katedrze, w którym znajduje się płaskorzeźba Najświętszej Marii Panny wykonana w całości z rudy ołowiu (galeny) wydobytej przez Hilarego Malę.

Karczówka

W średniowieczu okolice Karczówki były jednym z największych w Polsce ośrodków wydobywania ołowiu i srebra, które wyłukiwano z ołowiu.

Możliwe, że złoża naturalne Kielc i okolic znane były już w XI w., co mogło być przyczyną podjęcia przez biskupów krakowskich zabiegów o wejście w ich posiadanie oraz wpłynęło na późniejszy rozwój tego obszaru. Złóża karczówkowskie wyróżniały się charakterystycznym żyłowo-szczelinowym ułożeniem złóż ołowiu-cynkowych. Dlatego na Karczówce prowadzono eksploatację górnictw systemem szpa-

rowym, dostosowanym do formy żyłowo-krasowych złóż galeny, sięgając maksymalnie do poziomu wód podziemnych, tj. 30-50 m poniżej powierzchni terenu.

Pierwsze źródła historyczne mówiące o istnieniu bogactw kruszcowych w okolicach Kielc pochodzą z XIII w. W latach 1221-1224 książę Leszek Biały wystawił przywilej, nadający biskupowi krakowskiemu prawo górnicze i szczegółowo je regulujący. Podobny przywilej uzyskał od króla Wacława II biskup krakowski Jan Muskata.

O dawnych robotach górniczych wiemy również z szeregu XVIII i XIX-wiecznych opisów, w których powtarzają się informacje o natrafianiu podczas prób wznowienia eksploatacji galeny w rejonie Karczówki, Dalni, Grabiny, Bruszni i Góry Stokowej, na stare szyby, o nieznanym chronologii.

O Karczówce jako regionie prac górniczych dowiadujemy się również z legendy o Hilarym Mali. 7 grudnia 1646 r. pochodzący z Niewachłowa, gwarek Hilary Mała, wydobył olbrzymie bryły galeny. Kielecki starosta Stanisław Czechowski kazał z nich wyrzeźbić posąg patronki górników św. Barbary i umieścić w kościele na Karczówce. Wykonano z nich również płaskorzeźbę Matki Boskiej, którą wmurowano w ptn. ścianie kieleckiej katedry oraz posąg św. Antoniego do parafialnego kościoła w Borkowicach.

Dla upamiętnienia tego wydarzenia na Górze Machnowskiej inżynierowie Czarkowski i Józef Zaorski wystawili w 1871 r. kapliczkę z pamiątkową tablicą. Pomnik został zniszczony podczas I wojny światowej. W 2012 r. ponownie upamiętniono postać Hilarego Mali. Pomiędzy Dalią a Karczówką wystawiona została nowa kapliczka gwarków. Znalazł się na niej odtworzony tekst z pomnika z 1871 r. oraz replika tablicy z kaplicy św. Barbary na Karczówce.

Znalezisko Hilarego Mali przypadło na końcowy okres wydobywania ołowiu w regionie Karczówki. Wojny drugiej połowy XVII wieku oraz powolne wyczerpywanie się złóż doprowadziło do upadku górnictwa. Po upadku Rzeczypospolitej prace górnicze w regionie próbowali wznowić Austriacy. Na Karczówce rozpoczęto budowę sztolni, czyli poziomego korytarza drążonego z powierzchni góry. Budowę sztolni



Szpara górnicza na stoku Karczówki



Kaplica z 1871 upamiętniająca Hilarego Malę



Kopia tablicy z kościoła na Karczówce opisująca znalezisko Hilarego Mali

kontynuowano w okresie Księstwa Warszawskiego. Dopiero w okresie Królestwa Polskiego Główna Dyrekcja Górnicza intensyfikując prace górnicze w Miedzianej Górze, prawdopodobnie wstrzymała drążenie sztolni na Karczówce. Pomimo to w późniejszych latach różni inwestorzy nadal próbowali odnaleźć rudy ołowiu na Karczówce. Ostatecznie około 1845 r., w wyniku prac prowadzonych z inicjatywy zawiadowcy górnictwa okręgu wschodniego Köhlera stwierdzono nierentowność wydobywania galeny.

Ponownie do prac górniczych na wzgórzu przystąpiono na początku XX w. Wydrążono 50 metrowy szyb „Ferta” i podobnej głębokości szyb „Emilia”. Ostatni szyb – „Św. Barbary” wykonano na południowo-wschodnim stoku Góry Grabiny. Zaczęto go drążyć jeszcze przed I wojną światową. W latach 1916–1917 prace kontynuowali Austriacy, którzy doszli do poziomu 118 metrów. Tak głębokie zejście z poziomem prac górniczych było możliwe dzięki zastosowaniu do odwadniania maszyny parowej. Szyb „Św. Barbary” był ostatnim szybem wydobywczym w okolicy Karczówki. Wraz z zakończeniem jego eksploatacji nastąpił koniec wydobywania ród ołowiu w tym regionie.

Miejsce górników na stokach Karczówki zajęli geolodzy i historycy badający stare wyrobiska. Już w dwudziestoleciu międzywojennym w obrębie gór:

Karczówki, Dalni, Grabiny i Bruszni doliczono się 3220 starych szybów górniczych.

Obecnie na dawnym obszarze poszukiwań rud ołowiu na Górze Karczówce, na Górze Dalni i Górze Grabinie, w Białogonie na Górze Stokowej, Bruszni, w Zalesiu na Górze Władystawów, w Jaworzni na Górze Moczydło, oraz Szczukowskich Górkach na Górze Machnowicy tworzone są ścieżki geologiczne, dzięki którym możemy poznać ten aspekt rozwoju miasta.

O górniczej historii tego obszaru Kielc przypominają również miejscowe nazwy. Możliwe, że pozostałością po dawnej obróbce ród ołowiu jest nazwa góry Ślichowica. Ślichem (szlichem) w średniowieczu określano technologię płukania rudy.

Miedziana Góra

Początek wydobywania kruszców w Miedzianej Górze datowany jest na koniec XVI w., możliwe że odbywało się ono już wcześniej w XIII w. bądź jeszcze w epoce brązu.

Odkrycia złóż miedzi dokonał około 1590–1592 roku Jan Niedźwiedź syn Marcina, kuźnik z Jasiowa. Kardynał Jerzy Radziwiłł wydzierżawił część kopalni Jerzemu Winterowi z Lipska (Saksonia) na 15 lat. W 1595 roku po sprowadzeniu górników olkuskich powstała w Miedzianej Górze osada górnicza, w której w 1645 roku mieszkało już 50 osadników. Zwabieni



Kapliczka gwarków stojąca pomiędzy Dalnią a Grabiną



Posąg św. Barbary na Karczówce



Pomnik Hilarego Mali w Kielcach, przy ul. Szkolnej. Rzeźba Gustawa Hadyny

możliwością otwierania nowych zakładów pojawili się nowi przedsiębiorcy. Gwarkowie założyli w Niewachlowie wspólną hutę.



Pozostałości po dawnych robotach górniczych przy kopalni Laskowa. Fot. Paweł Król.

W latach 1608-1616 przedstawiciel zamożnych przedsiębiorców Zihauser przedstawił biskupowi Tylickiemu projekt budowy sztolni (chodnika) odwadniającej, pod warunkiem wyłączonej eksploatacji kopalni, na który biskup wyraził zgodę. Górnicy przebili warstwę wodonośną i kopalnia Wintera uległa zatopieniu. Zagrożenie zatopieniem nowych szybów spowodowało przejście do ostrożniejszej metody wydobywania: pojedynczych zamkniętych zespołów wyrobisk i odsuwania nowych pól górniczych od zawodnionych fryszków Wintera. Jednak z powodów ekonomicznych zrezygnowano z budowy całej 3 km sztolni, ograniczając się tylko do odwodnienia szczytu góry.

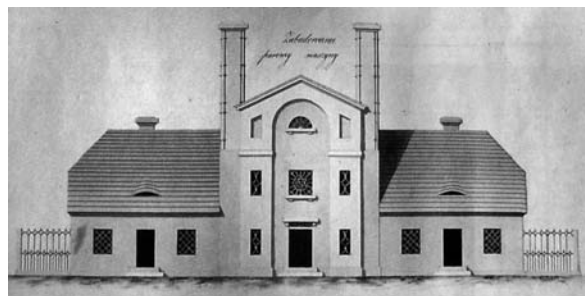
Od połowy XVII w. zakład górniczo-hutniczy w Miedzianej Górze wydzierżawiła rodzina Gibbonich. Pod koniec tego wieku kopalnia miedzianogórska, tak jak i całe górnictwo kruszców, znalazła się w kryzysie. W celu wznowienia wydobywania w XVIII w. doradcy króla Stanisława Augusta Poniatowskiego sprowadzili z zagranicy specjalistów geologów J.F. Carosiego i A.J. Ferbera. Efektem ich pracy było powołanie w 1772 r. Komisji Kruszcowej pod przewodnictwem bpa płockiego Krzysztofa Szembeka. Komisja zajęła się głównie przywróceniem wydobywania w Miedzianej Górze. Stanisław Małachowski ułożył plan budżetowy i produkcyjny. Uzyskano zamówienie na blachę miedzianą na pokrycie zamku królewskiego w Warszawie i Wawelu w Krakowie. Do pracy w kopalni sprowadzono górników z Węgier. W tym czasie w Miedzianej Górze wydobywanie odbywało się w 4 szybach na głębokości 50-60 m, głównie w szybie Aleksandra (Stanisław August). Uzyskiwano rudę miedzi o znacznej zawartości

srebra. Na Kolejówce w trzech szybach kopano galenę. Po nacjonalizacji krakowskich dóbr biskupich ilość szybów w Miedzianej Górze zwiększono do 12. Po trzecim rozbiórce bardzo zainteresowani wydobywaniem tutejszych złóż miedzi byli Austriacy.

W okresie Królestwa Polskiego podległa założonej przez Staszica Dyrekcji Górniczej. Kopalnia nazywała się „Zygmunt”. Do odwodnienia kopalni używano początkowo parokonnego kieratu a następnie maszyny parowej. W okresie funkcjonowania kopalni wykonane zostały najpełniejsze badania złoża miedzianogórskiego. Wykonali je profesorowie kieleckiej Akademii Górniczej Jerzy Bogumił Pusch i Gottlob Blode.

W 1824 r. sprawy górnictwa i hutnictwa w Królestwie Kongresowym przeszły w ręce Ministra Skarbu Ksawerego Druckiego-Lubeckiego, który odszedł od wydobywania metali nieżelaznych, cały wysiłek kierując na dochodowe górnictwo i hutnictwo żelaza. W tym okresie w Miedzianej Górze eksploatowano w Kopalni „Zygmunt” rudę żelaza. Poszukiwania kruszców miedzi w rejonie Miedzianej Góry prowadzone były jeszcze w latach 1846-52 przez absolwenta kieleckiej Akademii Górniczej Maurycygo Tadeusza Kazimierza Kossowskiego. Pomimo obiecujących wyników poszukiwań wydobywania nie rozpoczęto z braku wystarczającego kapitału.

Kopalnię uruchomili na nowo w okresie I wojny światowej Austriacy. Wykonali na terenie dawnej kopalni dwa nowe szyby poszukiwawcze. Prace austriackich okupantów kontynuowane były w okresie II Rzeczypospolitej. Nie stwierdzono jednak ekonomicznie opłacalnego złoża miedzi i poszukiwania przerwano 5 grudnia 1922 r. Ostatnie prace poszukiwawcze w kopalni miedzianogórskiej przeprowadzono w latach 1952-1954 ale nie przyniosły one większych efektów. Obecnie liczba zachowanych szybów zmniejsza się z coraz bardziej z postępującym zagospodarowaniem gruntów. W 1984 Zbigniew Rubinowski podaje na mapie 18 szybów wykonanych do XIX wieku oraz 1 szyb sondażowy z 1950 r. Dzisiaj, całkowicie zatarte zostały pozostałości szybów: „Jan”, „Fryderyk”, „Ruda Żelazna”, „Władysław” i „Oberhutman”, ponadto bardzo słabo widoczne są pozostałości po szybach: „Józef”, „Antoni”, „Wencesław” i „Karol”. Na wielu posesjach można rozpoznać pozostałości innych szybów – prawdopodobnie odwadniających lub wentylacyjnych.



Projekt zabudowy maszyny parowej wykonany przez Andrzeja Spleśzińskiego, ucznia kieleckiej Akademii Górniczej.

Miedzianka

Zbudowane z wapieni dewońskich wzgórze Miedzianka (wys. 354 m n.p.m.) wyróżnia się wśród okolicznych obniżeń pokrytych zwietrzeliną czerwonych piaskowców.

U podnóża wschodniego zbocza znajduje się stara kopalnia „Miedzianka”. Pierwszy dokument, pośrednio potwierdzający eksploatację miedzi na Miedziance pochodzi z 1479 r. i dotyczy sprzedaży mieszczaninowi chęcińskiemu Kunadowi części stawu z hutą w pobliskim Polichnie. Kolejny – z 1487 r. to przywilej króla Kazimierza Jagiellończyka, na mocy którego mieszczanin i żupnik chęciński Jan Karaś otrzymał zezwolenie na budowę huty o jednym kole na stawie Rudka pod wsią Polichno, w pobliżu dawnej huty chęcińskiej.

Zainteresowany złożami na Miedziance był Zygmunt III Waza, który zainwestował w budowę sztolni odwadniającej. Jednak sztolnia zawaliła się, a kolejni Wazowie zaprzestali wydobywania w związku z kryzysem wywołanym wojnami.

W XVIII w. próbowano pobudzić działalność kopalni sprowadzając górników z Węgier. Niestety pomimo pozytywnych wyników, kolejne rozbiory Polski nie pozwoliły na jej uruchomienie. Dopiero na początku XIX w. administrujący Miedzianką Austriacy uruchomili miejscowe kopalnię, prowadząc prace poszukiwawczo-eksploatacyjne głównie w sztolni „Antoni” i nowo rozpoczętych wyrobiskach górniczych: sztolni „Teresa” i szybie „Ludwik”.

W okresie Królestwa Polskiego z inicjatywy Stanisława Staszica podjęte zostały prace górnicze w kopalni na Miedziance, które trwały od 1817 do 1820 r.

Kolejne uruchomienie kopalni nastąpiło dopiero w roku 1902, kiedy to do Miedzianki przybyli, pochodzący z Kalisza bracia Stanisław i Bolesław Łaszczyńscy, którzy założyli tutaj Spółkę Akcyjną „Zofia”. Stanisław, z wykształcenia chemik, wynalazł metodę elektrolitycznego uzyskiwania miedzi z rudy oraz nowy materiał wybuchowy, który nazwał „miedziankiem”. Niestety kopalnia pomimo wytężonych wysiłków braci nie przynosiła oczekiwanych dochodów.



Kolejka austriacka z okresu I wojny światowej służąca do transportu rudy w kopalni na Miedziance.

Po wybuchu I wojny światowej kopalnię przejęli Austriacy, którzy doszczętnie wyeksploatowali złoża. Mimo to po zakończeniu wojny, do 1922 r. Łaszczyńscy próbowali uruchomić kopalnię, ale próby te wskutek dwukrotnego jej zalania spętzły na niczym.

Lata 1949–1954, to ostatni okres, gdy prowadzono poszukiwania złóż miedzi na terenie Miedzianki. Doprowadzono wówczas do kopalni linię wysokiego napięcia z Chęcin. Wykonano nowy szyb do głębokości 60 metrów z wieżą wyciągową, uruchomiono stary szyb austriacki i odwodniono kopalnię. Długość chodników kopalni „Miedzianka” wynosiła około trzy kilometry. Ostatecznie próby przemysłowego wykorzystania kopalni przerwano, a od roku 1958 ustanowiono na całym terenie wzniesienia rezerwat przyrody „Góra Miedzianka”.

Odmienne do wcześniejszych prac w rejonie Kielc, gdzie wydobywano głównie otów i miedź, górnictwo w okolicy Szydłówka i Dąbrowy związane było z eksploatacją rud żelaza. Możliwe, że płytkie złoża wyeksploatowano już w okresie największego rozkwitu kopalnictwa żelaza na obszarze Gór Świętokrzyskich, przypadającego na wiek XV–XVI. Na powojennej mapie wykonanej przez Jana Czarnockiego w granicach dzisiejszego osiedla Szydłówek widać kilkadziesiąt płytkich szybów poszukiwawczych.

Ponownie złoża żelaza na tym terenie zaczęto eksploatować za czasów Stanisława Staszica. Roboty górnicze przesły na niższe poziomy. Wykonano je w latach 1826–1827 za pomocą kilku szybów w Dąbrowie, z których jeden pogłębiony był do przeszło 70 m. Bardzo silny napływ wody i brak możliwości jej opanowania, był głównym powodem zaniechania eksploatacji i dalszych poszukiwań.

Mimo upadku górnictwa w drugiej połowie XIX w. zainteresowanie złożem dąbrowskim trwało nadal. Prace kontynuowane przez Ferta, Włodzimierza Kondakiego i Hempla prowadzone były jednak na małą skalę, małymi środkami i bez dostatecznej znajomości terenu oraz samego złoża, i w efekcie nie przyniosły żadnych zadowalających rezultatów.

Taki stan rzeczy trwał aż do pierwszej wojny światowej. Po odzyskaniu niepodległości na dawnych terenach eksploatacji rud rozpoczęła się wzmożona aktywność górnicza. W latach 1922–1923 w okolicach Dąbrowy, Szydłówka i Domaszowic, przeprowadzone zostały niewielkie poszukiwania, których celem było przede wszystkim wyjaśnienie sytuacji geologicznej złoża dąbrowskiego i sąsiednich. Badaniami tymi kierował kielecki geolog Jan Czarnocki.

Ostatnie prace badawcze złóż dąbrowskich wykonane zostały w związku z projektem wznowienia prac poszukiwawczych przez „Ostrostar” zapoczątkowanych w 1938 r. Obecnie po dawnych robotach górniczych nie pozostało już śladu. Na miejscu zasypanych szybów powstały osiedla mieszkaniowe Na Stoku i Szydłówek.

Konstytucja 3 Maja w XVIII – wiecznej kolekcji Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach

Bożena Piasecka

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Witolda Gombrowicza w Kielcach przechowuje w swojej kolekcji starych druków kilkanaście oryginalnych dokumentów okolicznościowych, książek i czasopism z okresu Sejmu Wielkiego. Wśród nich znajduje się pierwodruk Konstytucji 3 Maja¹ w postaci tekstu „oblaty”² zarejestrowany w grodzie warszawskim z datą 5 maja 1791 roku. Z książek na uwagę zasługują egzemplarze pierwszego wydania najważniejszej publikacji tego okresu *O ustanowieniu i upadku Konstytucji 3 Maja*.

Tematy związane z reformami Sejmu Wielkiego (1788–1792) dość często pojawiały się na łamach czasopism ukazujących się w tamtym czasie, m.in. *Pamiętnika Historyczno – Politycznego*, *Gazety Narodowej i Obcej* oraz *Przewodnika Warszawskiego*. W Bibliotece w kolekcji starych druków mamy 24 egzemplarze *Pamiętnika Historyczno-Politycznego*³, któremu w 1788 roku do tytułu dodano słowo *Ekonomiczny*. *Pamiętnik* wychodził w latach 1782–1792. Założony przez ks. Piotra Świątkowskiego, miał charakter ekonomiczno – społeczno – naukowy. Podczas Sejmu Czteroletniego na jego łamach ukazało się wiele artykułów o charakterze postępowym, w których propagowano reformy polityczne, oświatowe i gospodarcze. W październikowym numerze z 1788 roku pojawił się artykuł p.t. *Myśli, uwagi i rady patriotyczne względem niniejszych kraju naszego okoliczności* (s. 918–943), tematem którego była reforma finansowa państwa, natomiast w 1789 roku ukazały się teksty o potrzebie zmian w dziedzinie prawa i polityki rolnej – w lutym *Wielkość polityczna narodu polskiego, do której go natura przeznaczyła, i do której mądrość prawodawców dążyć koniecznie powinna* (s. 117), a w marcu *Różne środki przyspieszenia wielkości i potęgi narodowej. Pierwszy środek przez wydoskonalenie rolnictwa, czyli kultury*

wiejskiej w kraju naszym (s. 238–256). W czerwcowym numerze z 1789 roku pojawił się artykuł omawiający nowe podatki przeznaczone na wojsko, a w numerze z grudnia 1790 roku informowano o obradach sejmiku w podwojonym składzie. *Pamiętnik* Piotra Świątkowskiego był niezwykle popularny, o czym świadczy spis prenumeratorów, w którym znaleźli się, oprócz króla i magnaterii, także przedstawiciele inteligencji: sędziowie, lekarze, nauczyciele, duchowni⁴.

„[...] Po dniu Trzeciego Maja w ratuszowej Sali
Zgodzonego z narodem króla fetowali,
Gdy przy tańcu śpiewano: Wiwat Król kochany!
Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie stany.”

Adam Mickiewicz „Pan Tadeusz” ks. XII

Dnia 1 stycznia 1791 roku wyszedł pierwszy numer najważniejszego czasopisma informacyjno-politycznego tego okresu, noszący tytuł: *Gazeta Narodowa i Obca*⁵. Dzięki inspiracji marszałka litewskiego, Ignacego Potockiego i działaniom Juliana Ursyna Niemcewicza, Józefa Weysenhoffa oraz Tadeusza

Mostowskiego czytelnicy otrzymali okazałą gazetę, w której na bieżąco pisano m.in. o obradach Sejmu. *Gazeta* ukazywała się dwa razy w tygodniu, w środy i w soboty. Wychodziła do 4 sierpnia 1792 roku. W naszych zbiorach znajduje się komplet numerów za rok 1791. Czasopismo przechowywane w Bibliotece pochodzi z kolekcji starych druków należących przed wojną do rodziny Deskurów z Sancygniowa. Dzięki staraniom dyrekcji Biblioteki oraz uchwale podjętej przez Sejmik Województwa Świętokrzyskiego w ramach ugody sądowej w roku 2005 wykupiono kolekcję sancygniowską dla Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Kielcach.

Wszystkie egzemplarze czasopisma, a jest ich 105, zostały razem oprawione, posiadają ciągłą numerację (422 strony), a ostatni numer pochodzi z 31 grudnia 1791 roku. To właśnie w *Gazecie* po raz pierwszy, dnia 4 maja 1791 roku ukazała się informacja o sesji sejmowej z dnia 3 maja: *Stany zgromadzone przerażone wiszącą nad nimi ostatnią zgubą przyjęły formę całego rządu w zbiorze praw konstytucyjnych, której treść jest (...)*. W tym miejscu podano zawartość poszczególnych

¹ [Ustawa Rządowa z 3 maja 1791 roku]. – [Warszawa]: [s. n.], 1791. Sygn. WBP Kielce Inw. 1755 adl.

² W dawnej Rzeczypospolitej ustawy sejmowe były oblatowane (łac. *oblatio* – złożenie, przedłożenie, dostarczenie), czyli różne teksty sejmowe wpisywane były do ksiąg grodzkich w większych miastach, tym sposobem nabierały urzędowego, oficjalnego charakteru.

³ *Pamiętnik Historyczno-Polityczny*. – Warszawa, 1783 (styczeń-marzec), 1786 (kwiecień-lipiec), 1788 (lipiec-grudzień), 1789 (luty-wrzesień, listopad), 1790 (grudzień) i 1792 (czerwiec). Sygn. WBP Kielce Inw. 264

⁴ Danuta Hombek: *Prasa i czasopisma polskie XVIII wieku w perspektywie bibliologicznej*. – Kraków, 2001.

⁵ *Gazeta Narodowa i Obca*. – Warszawa, R. 1791 (nr 1– 105). Sygn. WBP Kielce Inw. 1168

rozdziałów konstytucji. Na końcu tej informacji widnieje znamienna deklaracja: *Dzień, w którym Konstytucja ta przyjęta, corocznie uroczyste obchodzony będzie*. Pełen tekst Konstytucji zamieszczono w kolejnych numerach pisma (od nr 38 z dnia 11 maja do nr 45 z dnia 4 czerwca 1791 roku). W *Gazecie Narodowej i Obcej* cytowano mowy i przemówienia, które miały miejsce podczas obrad Sejmu. Już w następnym numerze z dnia 7 maja pojawiły się opinie postów na temat ustanowionej konstytucji, także tych osób, które były nastawione do reform nieprzychylnie, m.in. wypowiedź Suchorzewskiego, reprezentującego Ziemię Kaliską. Protestując przeciwko Konstytucji poseł Suchorzewski wydał nawet 47-stronicową, w formie broszury, odezwę do narodu *Dla śladu gwałtu i przemocy, do której w całym prawie Seymie zbliżano a w Dniu trzeciego Maja 1791 dokonano*⁶. Był również „bohaterem” dramatycznej sceny, która miała miejsce w czasie obrad 3 maja. Zaniepokojony nieobecnością znacznej części swoich politycznych towarzyszy, przeciwników reform, którzy z powodu świąt nie przybyli jeszcze na obrady, próbował zakwestionować całe postępowanie Sejmu. Gdy jego argumenty nie zyskały aprobaty, wyciągnął demonstracyjnie na salę obrad swego kilkuletniego syna, mówiąc, że go zabije, aby tylko nie doszło do „okresu tyranii”.

Redaktorzy *Gazety Narodowej i Obcej* donosili o wypadkach krajowych i zagranicznych znacznie szybciej i obszerniej od innego periodyku wychodzącego w tym czasie, a konkurującego z *Gazetą* – czasopisma prowadzonego przez księdza Stefana Łuskiń, stronnika konserwatystów, skupionych wokół Ksawerego Branicznego – *Gazetę Warszawską*⁷. Jak podaje Jerzy Łojek w swojej książce *Dziennikarze i prasa w Warszawie w XVIII wieku*⁸ – Niemcewicz i jego przyjaciele z *Gazety Narodowej i Obcej* otrzymywali stałe korespondencje o najnowszych wydarzeniach z Wiednia, Paryża i Londynu (...) mieli również informacje od dyplomatów zagranicznych, niektóre poufne. Pomocą służyli także postowie angielski, Hailes, szwedzki, Engeström oraz pruski, Lucchesini. Jasny układ, brak absurdalnych doniesień krajowych, prawdziwa powaga, postępowość ideologia – za te cechy ceniono *Gazetę* już w wieku XVIII. Na jej cześć powstał nawet wiersz, którego autorem był prawdopodobnie Stanisław Odrowąż Pieniążek – prawnik, poeta, poseł na sejm Królestwa Polskiego – związany z naszym regionem, mieszkaniec Łagowa, prezes Rady Obywatelskiej województwa sandomierskiego. Wiersz nosi tytuł *Do piszących Gazetę Narodową*⁹. Pisał w nim m.in.:

*Przychylni dla wolności, schowani w jej tonie,
Nie chwalcie siedzących Tyranów na Tronie
Którzy dla próżnej stawy Kraju niszczą siły
I zimnym okiem sygią z ciał ludzkich mogiły.*

W innym miejscu poeta pisze:
*Tak szacowni mężowie, dla światła narodu,
Zdanego piór waszych dostarczajcie płodu*

A na końcu zachęcając młodych redaktorów do kontynuowania pracy autor wiersza kończył:

*Utrzymujcie rozumu i Narodu sprawę:
I do tylu zaszczytów tę przydajcie stawę,
Ze od was, co zapewne niemata zaleta,
Wyszła godna Wolnego Narodu Gazeta.*

Niezwykle duża ilość tekstów wychodzących w owym czasie pozwala ocenić poziom wydawanej przez stronnictwo patriotyczne *Gazety Narodowej i Obcej*. Już sam format in folio przypominał wydawane wówczas w Anglii czy we Francji gazety a zawartość bogata była w wielki zasób informacji z obrad sejmu oraz mnóstwo korespondencji krajowych i zagranicznych.

Wprowadzenie konstytucji wywoływało wiele emocji i sporów, które były widoczne zarówno na łamach *Gazety*, jak i innych druków wychodzących w tym czasie. Częstą formą wyrażania własnych sądów były listy pisane do przyjaciół lub oponentów politycznych, wydawane drukiem i rozpowszechniane. W kolekcji Biblioteki znajduje się list adresowany: *Do JI. WW. Jmc. Panów Tadeusza Czackiego, Starosty Nowogrodzkiego y Mikołaja Wolskiego Szambelana J.K.Mci z okoliczności wydanego Pisma o Konstytucji 3 Maja JI.WW. Zaleskiemu [...] i Matuszewicowi [...] Poświęconego*¹⁰. Autorem (list nie był podpisany) był prawdopodobnie Franciszek Ksawery Dmochowski, działacz polityczny, publicysta, poeta i tłumacz. Adresatami listu byli: Mikołaj Wolski, szambelan króla Stanisława Augusta, publicysta, uczestnik prac Sejmu, członek – założyciel Zgromadzenia Przyjaciół Konstytucji Rządowej oraz Tadeusz Czacki, działacz oświatowy, członek Komisji Edukacji Narodowej, współtwórca Konstytucji 3 Maja. Broszura ta opiniuje wcześniejszy tekst, nie wiadomo czyjego autorstwa i prawdopodobnie była tylko pretekstem, by wyrazić swoje zdanie na temat konstytucji i wydarzeń z nią związanych.

oraz wersja księdza redaktora „Gazety Warszawskiej” Łuskiń, który odpowiadając na zarzuty zawarte w wierszu napisał własną wersję wiersza zatytułowaną: *Tychże wierszów edycja druga, przejrzana i od omyłek poprawiona, zachowawszy nienaruszony skład wierszów i nienaruszone wszystkie tychże wierszów spadki czyli kadencje, nawet i ową częstochowską kadencję: nurzyt, zadłużył.*

¹⁰[Franciszek Ksawery Dmochowski]: *Do JI. WW. Jmc. Panów Tadeusza Czackiego, Starosty Nowogrodzkiego y Mikołaja Wolskiego Szambelana J.K.Mci z okoliczności wydanego Pisma o Konstytucji 3 Maja JI.WW. Zaleskiemu [...] i Matuszewicowi [...] poświęconego*. – [S.l.: s.n., ca 1791-1792]. Sygn. WBP Kielce Inw. 529 adl.

⁶ Jan Suchorzewski: *Odezwę do narodu, wraz z protestacją dla śladu gwałtu i przemocy, do której w całym prawie Seymie zbliżano a w dniu trzecim maja 1791 dokonano*. – [S.l.: s.n.], 1791. Sygn. WBP Kielce Inw. 528 adl.

⁷ *Gazeta Warszawska*. R. 1784 (nr 8 – 102). Sygn. Inw. WBP Kielce Inw.697.

⁸ Jerzy Łojek: *Dziennikarze i prasa w Warszawie w XVIII wieku*. – Warszawa, 1960

⁹ *Do piszących Gazetę Narodową*. – [S.l.: s.n., ca 1791-1792]. Sygn. WBP Kielce Inw. 855 adl., 856 adl. W zbiorach znajdują się dwie edycje wiersza, pierwsza chwalcą *Gazetę*, autorstwa Stanisława Odrowąża Pieniążka

W 1792 roku u Piotra Zawadzkiego w Warszawie wyszedł *Kalendarzyk Narodowy i Obcy*¹¹, w którym w cz. 1 zamieszczono cały tekst Ustawy Rządowej. W naszych zbiorach zachowała się jedynie cz.2: *Ciąg dalszy kalendarzyka narodowego i obcego na 1792 rok z podtytułem: Część z konstytucjami od roku 1788 dnia 6 października do roku 1791 dnia 23 grudnia*. Jest to niewielkich rozmiarów wydawnictwo ze zbiorem ustaw sejmowych i konstytucji. Znaleźć w nim można również spis dygnitarzy koronnych i WXL i urzędników z poszczególnych województw oraz spis kawalerów orderów Orła Białego i św. Stanisława.

*Przewodnik Warszawski*¹² to trzecie pismo okresu Sejmu Czteroletniego z naszych zbiorów, w którym relacjonowano, choć w bardzo okrojonym zakresie, obrady sejmowe.

Najważniejszą pozycją książkową poświęconą Konstytucji 3 Maja, a powstałą w 1793 roku jest traktat polityczny *O ustanowieniu i upadku Konstytucji Polskiej 3 Maja 1791 roku*¹³. Książka ta wyszła w dwóch tomach; cz. 1 poświęcona jest działaniom stronnictwa patriotycznego w doprowadzeniu ustanowienia konstytucji 3 maja, zaś część 2 opowiada o zniweczeniu poczynań reformatorskich i upadku państwa. Dzieło to jest wspólną pracą Hugo Kottłątaja, Ignacego i Stanisława Potockich oraz Franciszka Ksawerego Dmochowskiego. W wieku XVIII wyszły dwa wydania tego tytułu – w roku 1793 – z fikcyjnym miejscem wydania – Lwów. Właściwy druk powstał w Warszawie u Pijarów oraz również w 1793 roku z fikcyjnym miejscem – Metz. Prawdopodobnie wydanie powstało w Krakowie w drukarni Jana Maja. W wieku XVIII powstało jeszcze tłumaczenie autorstwa Samuela Lindego na język niemiecki. W Bibliotece zachowało się kilka egzemplarzy wydania warszawskiego oraz jeden egzemplarz części pierwszej wydania krakowskiego. W traktacie autorzy opisują chronologicznie wydarzenia komentując przy tym działania wszystkich stron zaangażowanych zarówno w tworzenie jak i upadek reform. Miał on charakter polityczno-publicystyczny, skierowany był przeciwko ostatniemu władcy Stanisławowi Augustowi, przeciwko targowiczantom i propagandzie zaborców. Przez wiele lat tytuł ten traktowany był jako źródło, a nie dzieło, które zawierało subiektywną ocenę

wydarzeń przedstawionych przez ludzi z ugrupowania patriotycznego, zaangażowanych bezpośrednio w tok wydarzeń. Głównym autorem książki był przecież Hugo Kottłątaj, jeden z twórców Konstytucji. Obecnie historycy bronią Stanisława Augusta, twierdząc, że autorzy traktatu celowo zafałszowali obraz wydarzeń dwóch ostatnich lat Sejmu Wielkiego, zacierając wkład króla w powstanie Ustawy Rządowej. Taką opinię reprezentuje m.in. prof. Zofia Zielińska, historyk Uniwersytetu Warszawskiego¹⁴. Swoje zdanie opiera na nowych źródłach informacji, m.in. znajdujących się w Archiwum Publicznym Potockich, które zostało w pełni otwarte dla badaczy. Dokumenty te znajdują się w zasobach Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie, w którym przechowywane są również oryginały rękopiśmienne Konstytucji 3 Maja. Uchwały sejmu spisywano bowiem nie w jednym lecz w paru egzemplarzach i wszystkie miały charakter oryginału, jeżeli tylko pod ich tekstem zostały złożone wymagane podpisy¹⁵.

W naszej kolekcji starych druków zachował się również cenny dokument – pierwodruk Konstytucji 3 Maja, wydany w postaci oblaty. Egzemplarz ten oprawiony jest razem z innymi dokumentami (rękopisami i drukami) konstytucyjnymi i uchwałami Sejmu ułożonymi chronologicznie od 1791 do 1792 roku. Zarejestrowano go w sądzie grodzkim w Warszawie dnia 5 maja 1791 roku, o czym świadczy wpis po łacinie: *Actum in Curia Regia Varsoviensi Die Quinta Mensis Maji, Anno Domini Millesimô Septingentesimô Nonagesimô Primô*. Druga oblata z tego samego druku informuje, że akt ten zgłosił Antoni Siarczyński, sekretarz zgromadzenia ustawodawczego i konfederacji Stanów Generalnych Królestwa. Strony są nienumerowane, cztery karty Ustawy są oznaczone kustoszami: A (pod „y”), A2 (pod „po”), B (pod „od sp”) oraz B2 (pod „y n”). Na naszym egzemplarzu nie ma żadnych śladów uwierzytelnienia (tzn. podpisu i pieczęci urzędu grodzkiego). Egzemplarz konstytucji, zeskanowany, prezentowany jest w Świętokrzyskiej Bibliotece Cyfrowej.

Ignacy Potocki, którego m.in. dokumenty znajdują się w Archiwum Publicznym Potockich, był autorem wcześniejszego projektu ustawy. Jednak był to dokument nie w pełni udatny, i po kilkumiesięcznej dyskusji w sejmie, zrezygnowano z niego. Z tego jednak projektu wywieść się miała w końcu Ustawa Rządowa z 3 maja 1791¹⁶. Ta wersja konstytucji nosi tytuł *Projektu do Formy Rządu*¹⁷, wyszła drukiem

¹¹ *Ciąg dalszy Kalendarzyka Narodowego i Obcego na Rok Pański 1792 czyli II część z konstytucjami od roku 1788 dnia 6 października do roku 1791 dnia 23 grudnia przez Daty Oznaczonemi*. – Warszawa: w Drukarni Uprzywilejowanej Piotra Zawadzkiego, 1792. Sygn. WBP Kielce Inw 161.

¹² *Przewodnik Warszawski*. R. 1789 (nr 2, 5, 7). Sygn. 1576 adl.

¹³ *O ustanowieniu i upadku konstytucji Polskiej 3-go Maja 1791*. – Lwów [i.e. Warszawa: Pijarzy], 1793. Sygn. WBP Kielce Inw. 110/I-II, 108/I, 108/II, 107/II, 111/II, 109/II, 109/IO *ustanowieniu i upadku konstytucji Polskiej 3-go Maja 1791*. – Metz [i.e. Kraków: Jan Maj], 1793. Sygn. 106/I *Karol Estreicher w „Bibliografii [...]”* – t. 15 podaje autorów dzieła: cz.1 rozdz. 1,2, 5, 7 pisał Dmochowski, rozdz. 3 i 6 – Kottłątaj, rozdz. 4 – Kottłątaj i Stanisław Potocki, rozdz. 8 – Ignacy Potocki. Cz. 2 – rozdz. 1, 6, 4 – Stanisław Potocki, 5 i 7 – Dmochowski, 3, 8 i Zakończenie – Kottłątaj.

¹⁴ Wywiad z prof. Zofią Zielińską z dnia 23 marca 2012 roku *Poniatowski na nowo poznany*. W: *Portal Arcana*: <http://www.portal.arcana.pl/Nic-nie-bylo-w-stanie-uratowac-panstwa-polskiego-fatalna-sytuacja-najlepiej-rozumial-stanislaw-august-odrodzono-jednak-narod-co-umozliwilo-przetrawienie-123-lat-niewoli-poniatowski-na-nowo-poznany-w-rozmowie-z-prof-zofia-zielinska>, 2518.html

¹⁵ Jerzy Kowecki: *Konstytucja 3 Maja*. – Warszawa, 1983.

¹⁶ Jerzy Łojek: *Konstytucja 3 Maja*. – Lublin, 1981.

¹⁷ [Ignacy Potocki]: *Projekt do formy rządu. [Inc.] Prawa konstytucyjne a w nich kardynalne*. – [S.l.: s.n., 1790]. Sygn. WBP Kielce Inw. 1202, 1204.



Pierwsza strona pierwodruku Konstytucji 3 Maja z zabytkowej kolekcji Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. W. Gombrowicza w Kielcach.

w 1790 roku i liczy 126 stron. Całość tekstu podzielona jest na 11 rozdziałów: prawa konstytucyjne, w tym kardynalne, sejmiki, sejmy, sądy sejmowe, straż, komisje policji, wojska, skarbu, edukacyjne, komisje wojewódzkie i ostatni punkt – stopnie i warunki urzędów w Rzeczypospolitej.

Duża ilość wydawnictw wychodzących w okresie Sejmu Wielkiego (1788-1792) świadczy o staraniach patriotycznych kół społeczeństwa polskiego, pragnących przeprowadzenia reform ustrojowych w państwie polskim, czego rezultatem było uchwalenie Ustawy Rządowej w dniu 3 maja 1791 roku. Konstytucja, choć przetrwała tylko czternaście miesięcy i być może była jedną z przyczyn Powstania Kościuszkowskiego i co za tym idzie trzeciego rozbioru Polski, to jednak była efektem wielkiego ruchu intelektualnego wieku XVIII, świadczyła o patriotyzmie i dojrzałości intelektualnej Polaków. Ogromne ilości pism, które powstawały w drugiej połowie XVIII stulecia rozpoczęły polemikę nad kształtem Rzeczypospolitej. Podatny grunt stworzyła już reforma szkolnictwa i powstanie w 1773 roku Komisji Edukacji Narodowej, pierwszego ministerstwa oświaty publicznej w Polsce i jednego z pierwszych takich ministerstw na świecie, dzięki któremu opracowano nowe programy nauczania i wydano blisko trzydzieści nowych podręczników¹⁸.

¹⁸ W kolekcji Biblioteki przechowujemy następujące podręczniki KEN-u: 1. J.K.Skrzetuski: *Historia powszechna dla szkół narodowych*

Konstytucja 3 Maja była uwieńczeniem ogromu pracy i starań Polaków, którzy nie wątpili, że Rzeczpospolita może stać się samodzielnym, światłym państwem o nowoczesnej formule, państwem, które znów będzie liczyć się w Europie. Aby nie zapomnieć ich trudu i dorobku musimy przypominać książki, dokumenty, artykuły, traktaty, które kiedyś zapoczątkowały nowoczesne spojrzenie Polaków na świat. Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Witolda Gombrowicza planuje digitalizację zachowanych numerów czasopism *Gazety Narodowej i Obcej*, *Pamiętnika Historyczno – Politycznego* oraz *Gazety Warszawskiej* (tych egzemplarzy, które nie są wykazywane przez Federację Bibliotek Cyfrowych), dokumentów oraz pierwszego wydania książki *O ustanowieniu i upadku Konstytucji Polskiej 3 Maja 1791 roku* (wydanie warszawskie), a także udostępnienie ich w Świętokrzyskiej Bibliotece Cyfrowej.



na klasę III. – Kraków, 1784, sygn. 346 2. G.Piramowicz: *Dykcjonarz starożytności dla szkół narodowych*, Warszawa, 1779, sygn.274 3, 4. Wypisy z autorów klasycznych do nauk w szkołach narodowych stosowane, Kraków, 1786, 1784, sygn. 1370, 1371. 5.K.Kluk: *Zoologia czyli zwierzętopismo dla szkół narodowych*, Warszawa, 1789, sygn. 172. 6. O.Kopczyński: *Grammatyka dla szkół narodowych na klasę I*, Warszawa, 1784, sygn. 137. 7. G. Piramowicz: *Wymowa i poezja dla szkół narodowych*, Kraków, 1792, Sygn. 274 8. Sz. L'Huilier: *Algebra dla szkół narodowych*, Warszawa, 1782, sygn. 727. 9. Sz. L'Huilier: *De relatione mutua capacitatís et terminorum figurarum, geometrice considerata*, Warszawa, 1782, sygn. 728.

Wartości artystyczne wystroju kościołów na terenie Chęcin i okolicy

Krzysztof Myśliński

W badaniach regionalistycznych od dłuższego czasu pojawia się pojęcie Regionu Świętokrzyskiego czy Ziemi Świętokrzyskiej. Chociaż jego metryka jest stosunkowo młoda, a w tradycyjnej terminologii historycznej, nawiązującej do dawnych jednostek podziału politycznego i administracyjnego kraju pojęcie takie nie znajduje uzasadnienia, gdyż obszar Polski leżący „między Wisłą a Pilicą” traktowany był zazwyczaj jako część historycznej Małopolski, to dla nauk przyrodniczych, i w znacznym stopniu dla historii zajmującej się dziejami XIX i XX wieku, pojęcie ma sens. Bez wątpienia zdobyło sobie ono także racje bytu w badaniach etnograficznych, chociaż bardziej jako określenie porządkujące, niż definiujące, bo regionalizacja etnograficzna wydziela na tym obszarze kilka wyraźnie sprecyzowanych obszarów kulturowych.

Nie stosują go natomiast autorzy zajmujący się regionalizacją dziejów artystycznych kraju. Tak się bowiem historycznie złożyło, a jest to zjawisko w obrębie polskiej kultury artystycznej powszechne, że obszar ten, leżał na pograniczu większych znacznie regionów, których wpływy na różne sposoby krzyżowały się i nakładały na siebie właśnie w krainie świętokrzyskiej. Region Świętokrzyski w jego obecnie przyjmowanych granicach nie zawiera żadnego istotnego centrum artystycznego o długotrwałym istnieniu i uniwersalnym profilu twórczym. W pewnym – z oczywistych powodów zakresie – taką funkcję pełniły wielkie centra monastyczne, jak Jędrzejów, leżący na rubieżach Miechów czy Sandomierz. Stąd, podejmując próbę choćby najogólniejszego walorowania jakości artystycznych ruchomości, nie sposób ograniczyć się do opisu samych Chęcin, które były niewątpliwie kilkakrotnie znaczącym regionalnym ośrodkiem artystycznym wpływającym na rodzaj i poziom dzieł sztuki, pojawiających się także w bezpośrednim sąsiedztwie miasta.

Należy zwrócić uwagę, że od czasów powstania, a zwłaszcza w całym okresie nowożytnym, Chęciny odgrywały pierwszoplanową rolę administracyjną w tej części Kielecczyny, wypierając z tej funkcji starszy Małogoszcz z identyfikowaną tam kasztelanią. Przez cały okres nowożytny miasto było nie tylko stolicą rozległego powiatu, węzłem komunikacyjnym i istotnym ośrodkiem gospodarczym. Bywało też,

choć nie w sposób trwały, ośrodkiem artystycznym o wyraźnie czytelnej dynamice. Dla porządku warto wskazać, że w obrębie powiatu chęcińskiego funkcjonowało zaledwie kilka miejscowości, które można pod tym względem z Chęcunami porównać: cysterski Jędrzejów, w jakimś stopniu Małogoszcz, oraz przede wszystkim Kielce, które od czasu wykupu z rąk biskupich pod koniec XVIII w. powoli przejmowały dominującą rolę najpierw jako centrum lokalne, a później jako główny ośrodek administracyjno-kulturalny całej północnej Małopolski.

W obrębie tak zarysowanego obszaru analizy, w którego centrum znajdują się Chęciny, warto wskazać na najwartościowsze obiekty sztuki zachowane do dzisiaj niemal wyłącznie wewnątrz świątyń katolickich. To pozwala na wskazanie



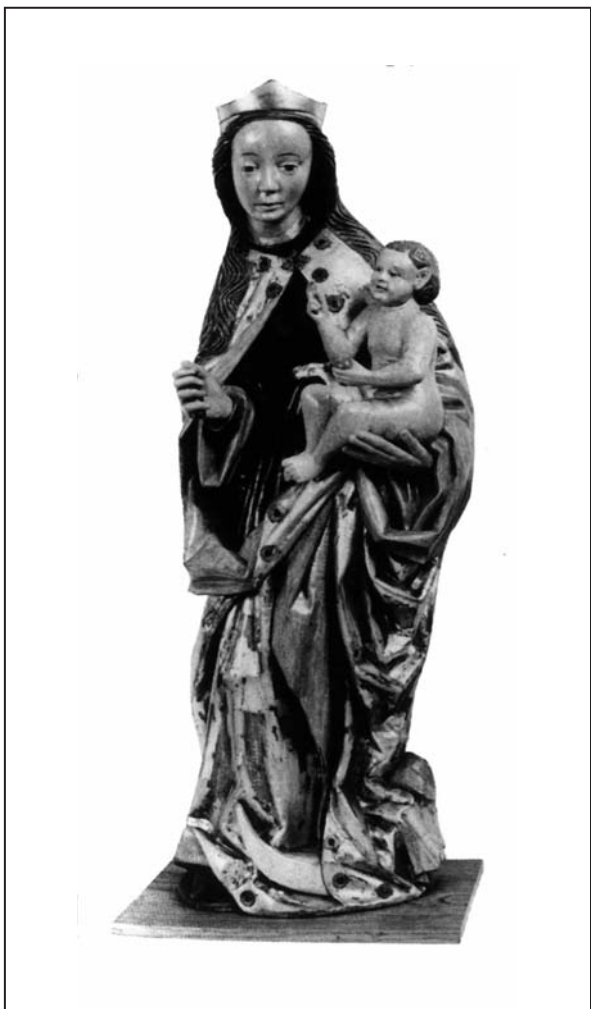
Starochęciny, portal kościoła p.w. św. Stanisława. Fot. autor.

specyficznej cechy kulturowej Ziemi Chęcińskiej: jej pogranicznego charakteru w obrębie administracji kościelnej, której wpływu na regionalizację sztuki polskiej nie można pomijać. Wspominany już wcześniej Małogoszcz, który stał się siedzibą parafii w wieku XI, należał historycznie do archidiecezji

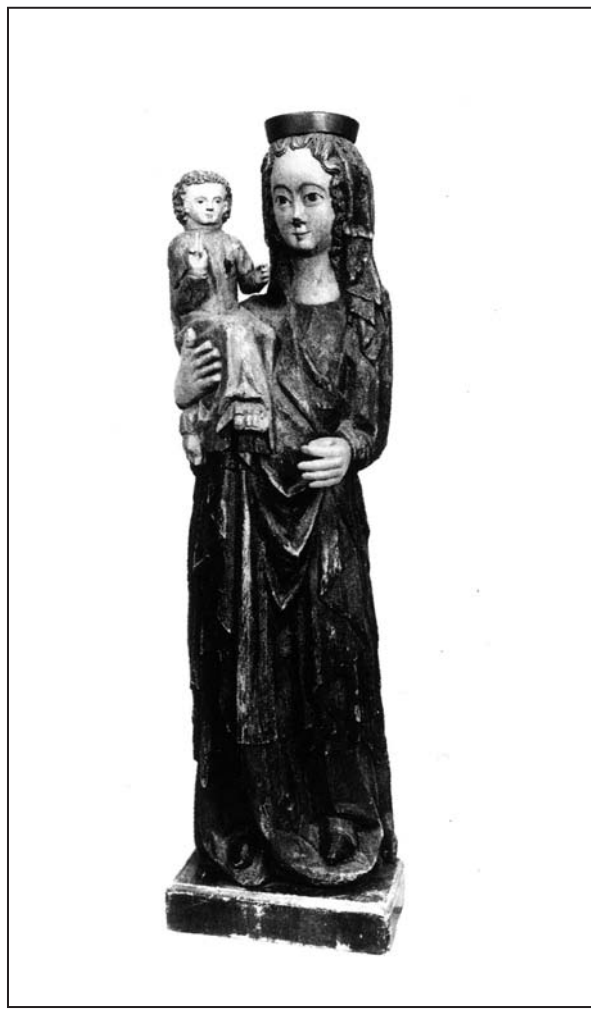
kurzelowskiego, położonego na wschodniej rubież archidiecezji gnieźnieńskiej. Z tego wczesnego okresu nie zachowały się żadne elementy wyposażenia. Natomiast na uwagę zasługuje przechowywana obecnie w kościele parafialnym gotycka rzeźba Marii z Dzieciątkiem, znana szerzej jako Madonna z Bocheńca. Uważana wcześniej za prowincjonalne dzieło z połowy XV wieku, jest bez wątpienia interesującym zabytkiem i to znacznie wcześniejszym przykładem plastyki małopolskiej, dającym się datować przynajmniej na około 1370 r. Dzisiaj nie sposób prześledzić dokładnie jej historii, bo oczywiście przydrożna kapliczka w Bocheńcu była tylko miejscem, typowej w okresie nowożytnym, banicji gotyckich rzeźb. Czy jest to dzieło jakiegoś lokalnego warsztatu snycerskiego – nie wiemy, za to z pewnością powstała w prowincjonalnym co prawda, ale wykazującym niezły poziom artystyczny małopolskim warsztacie snycerskim, i może być uznana za reprezentatywną dla obrazu rzeźby gotyckiej także w tej części XIV wiecznej Małopolski. Była ona, podobnie jak cały szereg dzieł sztuki z rejonu Chęcin, pokazywana na dużej wystawie sztuki sakralnej diecezji kieleckiej w Muzeum Narodowym w 2000 r. Warto przypomnieć, że w 1368 r.

Kazimierz Wielki ufundował zakon franciszkanów w Chęcinach, który dotrwał do wielkich kasat klasztornych w XIX w. i w 1817 r. został zamieniony na więzienie. Powstanie nowego konwentu zakonnego powodowało z reguły powstanie związanego z nim warsztatu czy warsztatów, mających dostarczyć niezbędnego wystroju do wnętrza świątyni. Nie wiążemy tu oczywiście madonny z Małogoszcza z domniemanym warsztatem franciszkańskim, ale teoretycznie takie połączenie nie byłoby niczym wyjątkowym. Tym bardziej, że w mieście istniał już wówczas kościół parafialny, którego wystrój – chociaż dzisiaj nieznany, z pewnością musiał obejmować rzeźby.

Wracając do przedstawień Madonny, o mniej więcej sto lat późniejsza jest kolejna wartościowa artystycznie figura Marii z klasztoru SS. Bernardynek. Nawiązujący do *Apokalipsy* temat Marii na Globie i Księżycu, upowszechnił się później w popularnym przedstawieniu Marii Immaculaty – Niepokalanej. Rzeźba z Chęcin wykonana zapewne około 1470–80 r. jest artystycznie bliska wybitnym dziełom malarstwa i rzeźby małopolskiej z 3 ćw. XIX w.: np. z obrazu w Przydonicy, z Racławic Olkuskich, rzeźb świętych dziewic z ołtarza



Madonna z Dzieciątkiem w klasztorze bernardynek w Chęcinach. Fot. ze zb. autora.



Madonna z Dzieciątkiem z poł. XIX w. w kościele parafialnym w Małogoszczu. Fot. ze zb. autora.

Trójcy Św. w Katedrze Krakowskiej czy figur Św. Jadwigi i Madonny z Muszyny z ok. 1470 r. Poświęcam tym rzeźbom więcej uwagi nie tylko ze względu na ich istotne wartości plastyczne, ale i dlatego, że są to jedne z niewielu wyższej klasy dzieł plastyki gotyckiej zachowane w obrębie bezpośredniego oddziaływania ośrodka chęcińskiego.

Warto tu jeszcze dodać pozostałości XV-wiecznej polichromii w kościele chęcińskich franciszkanów, tym bardziej, że jest to jedyny znany przykład polichromii gotyckiej z tego czasu w północnej części Małopolski. Tak jak na całej Kielecczyźnie, XVI stulecie nie zostawiło po sobie wyraźniejszego śladu w sztuce rejonu Chęcin. Dopiero ostatni okres renesansu – manieryzm – najpierw włoskiego, później niderlandzkiego pochodzenia, zostawił kilka dobrych artystycznie zabytków, wskazujących jednocześnie na dominujący udział chęcińskich franciszkanów w kształtowaniu artystycznego obrazu tego regionu. Jeszcze bez związku z franciszkanami ufundowano w Małogoszczu późnorenansowy ołtarz główny. W tym miejscu warto zwrócić uwagę na wielki wczesnobarokowy obraz „Sądu Ostatecznego” z pocz. XVII wieku, znajdujący się dawniej w kościele w Małogoszczu, a obecnie przechowywany w kieleckim Seminarium Duchownym. Stanowi on ciekawy przykład sarmatyzacji powszechnego w sztuce chrześcijańskiej wzoru artystycznego, poprzez wprowadzenie elementów swojskiej narracji, a nawet komentarzy słownych. Wracając do snycerzy franciszkańskich — jest możliwe, że pod wpływem tego warsztatu wykonano w początku XVII w. boczne architektoniczne ołtarze w kościele małogoskim. Natomiast, zapewne po kasacie konwentu w początku XVII wieku, rozproszony został wystrój świątyni klasztornej. Do kościoła w Kozłowie trafił piękny niderlandyzujący manierystyczny ołtarz ustawiony obecnie jako boczny, zaś do fary chęcińskiej wczesnobarokowe stalle z malowanymi zapleckami, oraz zapewne jeden z wczesnobarokowych krucyfiksów. Dwie rzeźby asystencyjne z grupy ukrzyżowania w tęczy znajdujące się obecnie w klasztorze ss. Bernardynek mogą także pochodzić z kościoła franciszkańskiego. Z następnego już stulecia — rokokowe ławki kolatorskie przekazano wówczas do kościoła w pobliskim Bolminie. Z kościołem tym wiąże się zresztą jeden w wczesnobarokowych kontrreformacyjnych ośrodków kultu maryjnego – afiliowanych przy jasnogórskich Paulinach, którego krzewicielem był w tym czasie biskup krakowski Marcin Szyszkowski.

Jednak najwybitniejszym artystycznie elementem XVII-wiecznej kontrreformacyjnej ofensywy artystycznej była fundacja klasztoru sióstr klarysek założonego w 1643 r. przy kościele Św. Marii Magdaleny. Jest on właściwie jedynym w rejonie

Chęcin pierwotnie zachowanym zespołem dzieł sztuki tworzącym jednolity wystrój wnętrza kościoła i w jakimś stopniu klauzury. Uchowany, jako jeden z nielicznych, przed XIX-wiecznymi kasacjami, przejęty został w 1930 r. przez ss. Bernardynki. Jest to jeden z niewielu rzadkich przykładów przejęcia konwentu drogą bezpośredniej sukcesji z dobrodziejstwem inwentarza. Pozwala to z większą pewnością interpretować dzieła sztuki zachowane do dzisiaj na miejscu u chęcińskich sióstr. Rozmach ówczesnych fundacji wyrażał się także powstawaniem przy nowych klasztorach dużych pracowni artystycznych, przede wszystkim malarskich i rzeźbiarskich, i tak było także w przypadku Klarysek, których świątynia otrzymała w następnych dziesięcioleciach jednolity barokowy wystrój. Można być niemal pewnym, że nie pozostało to bez wpływu na drobniejsze fundacje artystyczne czynione w tym czasie w okolicach miasta.

Przed katastrofą „potopu szwedzkiego”, po którym zarówno Chęciny jako ośrodek gospodarczy, jak i kultura artystyczna tego obszaru nie miały się już przez długi czas podnieść, trzeba wskazać na co najmniej dwa dzieła. W kościele w Małogoszczu zachowały się dwa piękne portrety epitafijne księdza Jana Stefańskiego i wielce zasłużonego ks. Jakuba Chrostkowskiego, z ok. 1640 r. Warto na nie wskazać nie tylko ze względu na ich wysoką klasę artystyczną, ale także dlatego, że na Kielecczyźnie przebiega właściwie wschodnia granica występowania tego charakterystycznego typu barokowego malarstwa, którego głównym polskim rejonem była Wielkopolska.

Ciągle niewyjaśniona co do skali i oceny jest działalność chęcińskiego warsztatu Kacpra Fodygi założonego w 2 połowie XVI w. w oparciu o lokalne kamieniołomy popularnego wzorzystego wapienia. Uważany do niedawna za jeden z lokalnych małych znaczących warsztatów, prowadzonych przez kamieniarzy przybyłych z północnych Włoch, znany był przede wszystkim ze wzniesienia własnej kaplicy grobowej przy kościele parafialnym w Chęcinach i kaplicy Branickich przy klasztorze Franciszkanów. Datowany na rok 1614 wystrój kaplicy Fodygów, składający się z manierystycznego kamiennego rzeźbionego ołtarza i epitafium, chociaż ciekawy i o istotnej wartości artystycznej, nie może być już dzisiaj uznawany za wyczerpująco określający możliwości twórcze samego założyciela, jak i jego ewentualnych kontynuatorów. Analiza zachowanego materiału zabytkowego i kwerenda źródeł archiwalnych ujawniła i ujawnia nadal coraz więcej, idących już w dziesiątki realizacji artystycznych: architektonicznych i rzeźbiarskich, które wiązać trzeba z warsztatem Fodygów. Niemal na pewno można dzisiaj powiedzieć, że nie był to jeden z wielu

artystów o przeciętnych umiejętnościach, działający w środowisku chęcińskim tego czasu, ale osobowość artystyczna i przedsiębiorca, którego działalność przekroczyła ramy prowincjonalne i odcisnęła się na obrazie sztuki polskiej tego czasu.



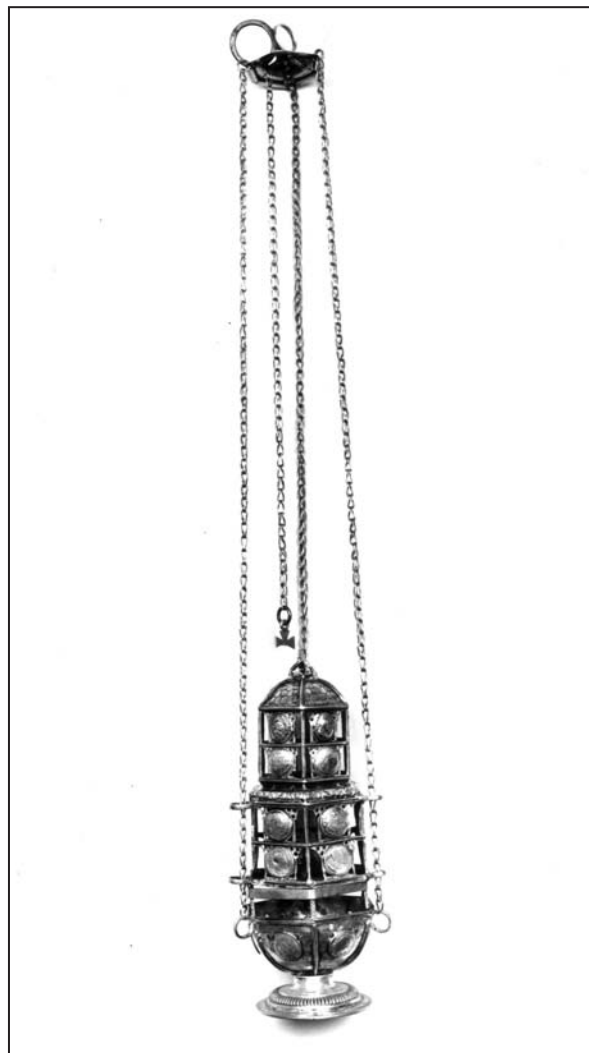
Starochęciny, latarnia z dekoracją stiukową na kopule.
Fot. autor.

Po „potopie szwedzkim” kultura artystyczna Chęcin błysnęła dziełem zupełnie osobnym i niepowtarzalnym, zarówno w zakresie architektury, jak i co nas tu przede wszystkim interesuje, wystroju wnętrza. Jest nim piękna niewielka centralna świątynia w Starochęcinach. Ufundowana przez starostę chęcińskiego Stefana Bidzińskiego, wiązana z najwybitniejszym architektem działającym w Polsce w drugiej połowie XVII wieku, Tylmanem z Gameren. Wnętrze kopuły tego oryginalnego kościoła ozdabiają wybitnej wartości dekoracje stiukowe. Jakość artystyczna stawia je w czołówce najwybitniejszych dzieł plastyki architektonicznej, powstałych w tym czasie w całej Małopolsce.

Niestety, niezbyt wiele zachowało się wybitniejszych dzieł z zakresu rzemiosła artystycznego w kościołach omawianego obszaru. Choć wiemy z przekazów o znacznej zasobności skarbców kościelnych już od czasu średniowiecza, to obecnie z pełnym przekonaniem wskazać możemy tylko na nieliczne wysokiej wartości zabytki tego rodzaju. Część z nich znana jest nam dzisiaj tylko z przekazów, jak wieżyczkowa monstrancja z kościoła św. Bartłomieja fundacji Hiacynta Bielskiego

z 1638 r., lub opisywany przez XIX wiecznych inwentaryzatorów, a później księdza Wiśniewskiego kielich z rzekomo ormiańskim napisem. Wracając do obiektów zachowanych do dzisiaj, wskazać trzeba przede wszystkim na piękną monstrancję wieżyczkową, wykonaną na przełomie XV i XVI wieku w warsztacie krakowskim, a uzupełnioną w 1611 r. o nową stopę z fundacji proboszcza małogoskiego Jakuba Biedy Chrostowskiego. Ten ostatni, jak można przypuścić, kazał się sportretować w postaci oranta i dodać figurkę do wystroju monstrancji w czasie jej XVII wiecznej reperacji, co czyni w z niej obiekt unikatowy. Jak wskazano wcześniej, dzieła sztuki renesansowej są w wystroju tutejszych świątyń rzadkie.

Jeszcze radsze i to w całym regionie są wyroby renesansowego złotnictwa. Podnosi to wartość tódki na kadzidło o pięknej wysmukłej czarze i puklowanym nodusie, z niezachowaną niestety oryginalną stopą w kościele Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Małogoszczu. W tej części Małopolski znane jest tylko jedno porównywalne dzieło, tódka z kolegiaty wiślickiej z 1574 r. Z pierwszego ćwierćwiecza



Kadzielnica renesansowa z monetami w kościele Wniebowzięcia NMP w Małogoszczu. Fot. autor.



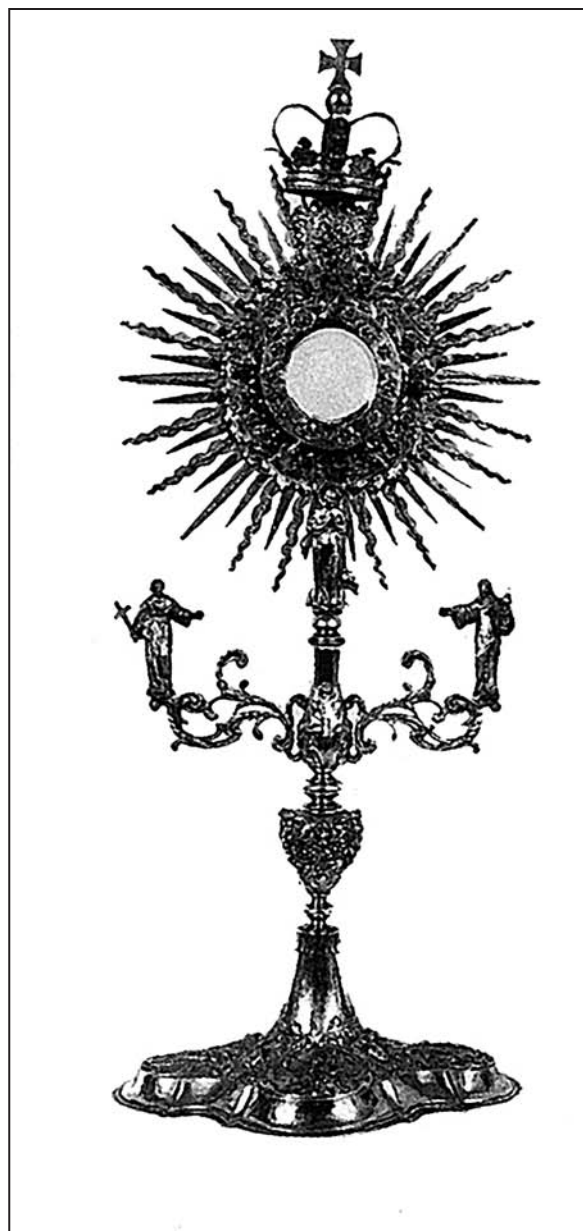
Renesansowa tódka na kadziło w kościele Wniebowzięcia w Małogoszczu. Fot. autor.

XVII wieku pochodzi zapewne unikalna architektoniczna ażurowa kadzielnica, w korpus której wmontowano cały szereg monet i medali z XVI wieku.

Z następnego stulecia w trzeba wskazać na dwa dzieła. Znajdująca się u SS. Bernardynek monstrancja promienista z 1702 r. należy do najwartościowszych dzieł w całym zasobie złotniczym Regionu Świętokrzyskiego. Wykonana została w warsztacie pierwszorzędного toruńskiego złotnika Jakuba Weintrauba dla ksieni Klarysek Chęcińskich Benedykty Turskiej przy współfundacji Jana Gawrońskiego, co upamiętnia stosowna inskrypcja. Wypełniające stopę rzeźbione sceny ze „Stygmatyzacją Św. Franciszka”, „Św. Klara z monstrancją i pastorałem opackim”, „Ostatnią Wieczerzą” i „Św. Franciszkiem z ostem” zestawione są z niezwykle delikatną promienistą nastawą dekorowaną granatami i wielobarwnym szkłem.

Warto zaznaczyć, że w badaniach nad twórczością tego wybitnego złotnika monstrancja nie była uwzględniana, zapewne z powodu braku właściwego odczytania sygnatury artysty w *Katalogu zabytków*. Równie ciekawym plastycznie, chociaż już nie tak unikalnym dziełem złotniczym, jest relikwiarz Krzyża Świętego z Małogoszcza. W formie monstrancji, wykonany przez warsztat małopolski około połowy XVII wieku lub – co wówczas powszechne, przywieziony z Włoch, dobrze reprezentuje typowy dobrej klasy wyrób złotniczy z tego czasu.

W późniejszym okresie warto jeszcze wskazać na mało znaną empirową chrzcielnicą na trójnożu znajdującą się w kościele filialnym w Starych Chęcinach.



Monstrancja w kościele ss. Bernardynek w Chęcinach. Fot. autor.

W bliższych nam czasach trudno byłoby znaleźć w zachowanym materiale zabytkowym dzieła i zjawiska wybitniejsze, pozwalające dostrzec wyraźniej żywe procesy artystyczne rozgrywające się w tej części regionu Świętokrzyskiego. Zamiarem autora niniejszego tekstu nie było jednak wyczerpujące prześledzenie zawartości artystycznej świątyń w Chęcinach i związanym z nimi historycznie rejonie, lecz wskazanie na najciekawsze dzieła i zjawiska z zakresu kultury artystycznej.



Studia na filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego rozpocząłem w roku akademickim 1957/1958. Wcześniej, jako „słuchacz” (tak się to nazywało) Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie, dokładnie VI Fakultetu Radiostacji Lotniczej, osadziłem Gomółkę „na tronie”. Po prostu WAT poparł tow. Wiesława i jako silna jednostka bojowa zablokował sąsiadującą, prostałinowską dywizję, o ironio noszącą imię Tadeusza Kościuszki, która miała być użyta przeciw ówczesnym reformatorem w partii. Na fali ogólnej euforii, udało mi się wyrwać z wymuszonych przez wcześniejszą sytuację rodzinną i polityczną, kleszczy wojskowej akademii i wrócić do rodzinnego Krakowa. Moim życiowym marzeniem była ówczesna POLONISTYKA na UJ!

Marzenie się spełniło, a kiedy na dodatek dowiedziałem się, że historię literatury staropolskiej wyłkładał będzie opromieniony stawą naukową, ale również godną postawą osobistą w latach terroru stalinowskiego – prof. Stanisław Pigoń, zaś gramatykę opisową języka polskiego wielkość nie mniejszego formatu, czyli prof. Zenon Klemensiewicz, radość moja była nie do opisania! Okazało się rychto, iż nie wyłącznie moja. Na wykłady w sali na pierwszym piętrze Collegium Novum przychodziło zawsze, czyli przez pierwszy semestr, ok. 120 osób, to znaczy wszyscy, którzy zostali przyjęci. Miejsc w akademickich ławach nie było dla wszystkich, więc spóźnialscy siedzieli na podłodze. Trzeba powiedzieć, że tej jesieni pogoda była wręcz cudowna, a pięknych dziewcząt i przystojnych młodzieńców na roku nie brakowało. Planty i parki krakowskie z parkiem Jordana na czele kusity do pierwszych spacerów zapoznawczych. Obecność na wykładach nie była obowiązkowa...



Prof. Stanisław Pigoń.

Pamiętam pierwsze wrażenie. Na salę wykładową wszedł średniego wzrostu, zwalistej budowy starszy pan. W oczy rzuciły się wielkie, w rogowej oprawie okulary o bardzo grubych szklach. Profesor był krótkowidzem. Wszyscy spontanicznie wstali, nie tyle na przywitanie, ile dla uhonorowania Stanisława Pigionia, on zaś wszedł na katedrę, położył spory plik materiałów pomocniczych do prowadzenia wykładu, spojrzął na salę i powiedział swoim charakterystycznym niskim

głosem: *Dzień dobry państwu!* i usiadł. Prezentował się znakomicie i nie wyglądał na swoje 72 lata.

Jedną z cech charakterystycznych wykładów Profesora, było, iż w przypadkach omawiania spornych stanowisk badawczych, naprzód przedstawiał swoje stanowisko, oczywiście z pełną motywacją wniosków hipotetycznych, potem swojego najpoważniejszego adwersarza, również prezentując jego metodę badawczą i wnioski z niej wypływające, oczywiście wykazując, w swoim przekonaniu, błędy w nich zawarte. Stanisław Pigoń na którymś z wykładów, w podobnej sytuacji powiedział, że na egzaminie kończącym pierwszy rok studiów, jeżeli któryś ze studentów, czy któraś studentka będą referować stanowisko któregośkolwiek z jego naukowych oponentów, a przygotowani będą dobrze, otrzymają ocenę bardzo dobrą. Jeden z moich kolegów z roku, zaryzykował i z właściwą mu przekorą przygotował się ze stanowiska jednego z głównych przeciwników naukowych prof. Pigionia. Czekaliśmy wszyscy w wielkich emocjach na wynik egzaminu. Trochę, tak się nam wydawało, jakby to był specyficzny poker. Tymczasem egzamin odbył się normalnie, bez żadnej nadzwyczajnej aury, a odważny kolega wyszedł z niego z oceną bardzo dobrą w indeksie. Po tym zdarzeniu nasz szacunek do Profesora wzrósł do poziomu niepodważalnego Autorytetu.

W ten sposób Pigoń przedstawiał i uczył, jakby mimowiednie, na czym polega warsztat badawczy w przypadkach historyczno-literackich, często zahaczających o analizy *par excellence* filologiczne. Mnie osobiście wciągnęło to od razu, wszak było to wskazywanie gdzie jest centrum problemu, co jest istotne, a co poboczne, czy wręcz nieistotne. Z tej nauki korzystałem przez całe życie w moich pracach badawczych.

Jeszcze wracając do problemu autorytetów, chcę przywołać Jego bardzo uczciwą i głęboko mądrą naukę. Miała ona miejsce na początku 1958 roku, w czasie, kiedy zaczęto się już od nowa nachalnie wmawianie wszystkim dookoła nieomyślności pryncypialnych nauk marksistowsko-leninowskich, czyli dogmatów opartych na fałszywych założeniach i personalnych autorytetach, Pigoń wykorzystując zrećznie jako pretekst, któryś ze spornych przypadków w naukach filologicznych, po przedstawieniu swojego stanowiska, powiedział z naciskiem: *Proszę państwa! Proszę nie iść w żadnym wypadku na łatwiznę intelektualną, czyli zawierać bez zastrzeżeń autorytetom. To odnosi się również do mnie. Zawsze należy sięgać do źródeł i starać się wyciągnąć właściwe wnioski.* Mimo aluzyjności tego przekazu,

został on właściwie przez nas odczytany. Był to jeden z przykładów dużej odwagi osobistej Profesora.

Miał on określone i konsekwentnie przestrzegane zasady oraz zwyczaje dotyczące egzaminowania studentów. Najważniejsza z nich, to absolutna obecność w pierwszym terminie egzaminowania. Opuszczenie tego egzaminu oznaczało niedopuszczenie do „sesji naukowców”, czyli terminu poprawkowego. Natomiast, jeżeli ktoś, kto oblał w pierwszym podejściu, dobrze się przygotował przez wakacje, mógł dostać ocenę bardzo dobrą. Pigoń nie obniżał ocen automatycznie z tytułu sesji poprawkowej, jak to czyniło i czyni wielu uniwersyteckich egzaminatorów.

Z tym absolutnym wymogiem obecności w pierwszym terminie egzaminowania wiązało się wiele wydarzeń tragikomicznych. Oto kilka smakowitych przykładów. Studiowała z nami na roku efektownie zbudowana dziewczyna, mająca ogromne powodzenie u płci brzydkiej wszystkich uczelni krakowskich Ewa P. na poważne „konsultacje naukowe”, zamiast do Biblioteki Jagiellońskiej wolała się wybierać do stawnej wtedy probierni win „pod szóstką” na ul. Stawkowskiej. Jakież było sens zwracać sobie głowę perypetiami nadobnej Paskwaliny czy księżniczki Banieluki, po co było się wczytywać w inne obowiązkowe lektury, wszystkie w trudnej do przebrnięcia staropolszczyzny, lub koszmarnych „makaronizmach” poezji XVII wiecznej, kiedy było się piękną, pełną, młodą dziewczyną, a egzaminator starcem? Więc kiedy przyszedł „dzień sądu” Ewa P. pojawiła się w efektownej, kwiecistej sukni nieco nad kolano (co wówczas było nader śmiałe), z dekoltem, w fryzurze podkreślającej urodę. We właściwym terminie, wezwana przez Pigionia, weszła do sali na drugim piętrze tzw. Gotębniaka. Po dość długiej chwili wypadała cała czerwona i wściekła, oczywiście z dwójką w indeksie. Na podstawie chaotycznej paplaniny można wnosić, że komedia jaka tam się wydarzyła wyglądała następująco. Po wejściu Profesor poprosił o indeks i wskazał Ewie krzesło *vis a vis* siebie, po drugiej stronie stołu. Z rozsypanych karteluszków trzeba było sobie wylosować pytania, obok były luźne kartki formatu A4 w kratkę i zatemperowane otówki jako pomoce w przygotowaniu odpowiedzi. Delikwentka wczytała się w wylosowane pytania, a Pigoń pogrążył się w korekcie szczerkowych wydruków swoich dzieł. Co jakiś czas spoglądał na studentkę. Wtedy ona w „głębokiej zadumie”, przygryzając otówek, przechylała się z krzesłem do tyłu, aż oparciem dotykała ściany i w tej pozycji przekładała nogę na nogę prezentując seksowne, koronkowe desusy, kupione, jak się pochwaliła, za ciężkie pieniądze specjalnie na tę okazję w komisie. (PEWEKS-ów za Gomułki nie było). W pewnym momencie upadł jej otówek, więc schyliła się po niego, tak, że biust jej mało co nie wypadł ze stanika. Ewa spieczęta raczka i kokieterijnie przeprosiła Profesora. Manewry te zostały powtórzone dwa, albo trzy razy, po czym Pigoń, wziął indeks do ręki, coś tam napisał i powiedział: *Jest pani za pośrednictwem rodziców*

pięknym dziełem Pana Boga. Gdyby to był egzamin z anatomii, wpisałbym pani celujący, ale to jest egzamin z historii literatury staropolskiej. Proszę się przygotować i przyjść we wrześniu. Ewa P. nie przyszła zdawać w drugim terminie. Poszła do PWST, którą ukończyła i czyniła użytek sceniczny ze swoich wdzięków.

Na moim roku studiowało również dwóch wesotych młodzieńców, którzy podobnie jak piękna Ewa, przedkładali uroki Krakowa z „szóstką” na czele, nad lekturę dzieł staropolskich. Na egzamin przyszedł z pełną świadomością co ich czeka. Na liście, w porządku alfabetycznym, jeden po drugim. Profesor egzaminował od 9 godz. rano do 13 po południu, po czym szedł do domu na obiad. Mieszkał przy al. Juliusza Słowackiego. Z obiadu wracał o 15 godz. i zaczynał popołudniową turę egzaminacyjną. Tegoż dnia, z czasowego przebiegu „rzezi niewiniątek” wynikałoby, iż obaj delikwenci, którzy szli „na ścięcie”, będą mieli to „z głowy” tuż przed przerwą obiadową Profesora. Pod drzwiami błaznowali na potęgę, ale było wyraźnie czuć, że to tylko pozory. Egzamin koleżanki, która weszła tuż przed pierwszym z nich, przedłużył się, ale Profesor jeszcze poprosił go do środka. Teraz krótki, niezbędny opis sytuacji. Sala była wąska. Przez całą jej długość, wygodne miejsca do siedzenia. Ponieważ po krótkim czasie „odwilży październikowej” przyszedł pryncypialny nakaz zdjęcia krzyży ze ścian wszystkich pomieszczeń uniwersyteckich, jakie się na nich spontanicznie pojawiły. Stanisław Pigoń, człowiek głęboko wierzący, przynosił z domu krucyfiks i stawiał go na rzeczonym stole z przodu, czyli od strony drzwi.

Jako się rzekło, pierwszy z wesotych straceńców wszedł na „egzekucję”. Profesor poprosił go o indeks. On podał indeks, ale nagle sparaliżowany strachem, cofając rękę stracił krucyfiks na podłogę. Przerażony upadł na kolana, podniósł go i potą marynarki starannie pucował. Po dłuższej chwili wstał, ucałował i postawił krucyfiks na swoim miejscu, po czym usiadł na krześle „skazańca”. Machinalnie wylosował trzy pytania i zaraz odłożył je na bok. Panowała ciężka cisza. Pigoń spokojnie przeglądał indeks, coś w nim napisał i powiedział: *Proszę powiedzieć koleżankom i kolegom, że będę pytał już po obiedzie.* Kiedy kolega wyszedł ze zbolatą miną, wszyscy rzucili się na jego indeks. Ku zdumieniu figurowała w nim ocena ... dobra. Drugi delikwent wrzasnął: *Hurra! To ja mu ten krzyż wypucuję!* I pobiegł się przygotować. Po przerwie obiadowej, kiedy spotkaliśmy się w Gotębniku, wesotek miał sidol, kredę w proszku do polerowania i coś tam jeszcze, a także kawałek flaneli. Wszystko poupychane po kieszeniach spodni i marynarki. Kiedy przyszedł jego kolej, wszedł śmiało i momentalnie wszelki duch w nim upadł. Krucyfiks stał ... pod oknem. Strach ścisnął mu gardło. Usiadł, nawet nie sięgnął po pytania. Bezwiednie zaczął mamrotać „Ojcie nasz”, potem „Zdrowaś Mario”. Nagle zreflektował się i umilkł. Pigoń swoim zwyczajem przeglądał jego indeks, coś w nim napisał i powiedział: *Gdyby pan jeszcze zmówił „Wierzę w Boga Ojca”, to dałbym panu bardzo*

dobrze, a tak ma pan tylko dobrze i proszę powiedzieć koleżankom i kolegom, że w tej sesji żarty się skończyły.

I jak tu nie kochać Pigionia, który nie tylko imponował nam swoją ogromną wiedzą, sposobem prowadzenia wykładów, które zawsze trzymały naszą uwagę w napięciu, ale u Którego ceniliśmy bardzo, że nas, nieopierzonych beanów traktował serio, nigdy nie okazując lekceważenia.



Prof. Zenon Klemensiewicz.

Na salę wykładową przeważnie wbiegał lekkim truchtem, jak młodzieniec, z lekko rozwianą grzywą srebrzysto-szarych włosów. Proporcjonalnej budowy ciała, średniego wzrostu, przez całe dorosłe życie ulubieniec dam, oczywiście w salonowym tegoż rozumieniu (krążyło na ten temat w Krakowie wiele sympatycznych anegdot, a na Jego otwartych wykładach, czy odczytach w salach PAU na ul. Sławkowskiej zawsze dominowała żeńska publiczność), wykłady prowadził z pewnym, w najlepszym tego słowa znaczeniu, zacięciem aktorskim. Postulował się często błyskotliwymi paradoksami, nieraz wciągając studentów, a szczególnie studentki do tzw. interakcji. Wszystko to powodowało, że wykłady, jakby na to nie spoglądać, z gramatyki opisowej języka polskiego, stawały się zaskakująco ciekawym wnikiem w ducha naszego języka i jego metamorfoz na przestrzeni dziejów, co służyło znakomicie ich zapamiętywaniu. Postaram się przywołać charakterystyczne dla metody Profesora przykłady, iżby to co napisałem, nie pozostało w istocie enigmatycznym ogólnikiem. Niech będą z wykładu o leksykalizacji.

Profesor Klemensiewicz mówił, jak to każdy język będący tworem żywym, ulega statym, często na co dzień niedostrzegalnym przemianom, szczególnie w zakresie słownictwa, jak słownictwo nowe, określające nowe zjawiska w ulegającej zmianom otaczającej nas rzeczywistości fizycznej a także mentalnej, wypiera słownictwo dawniejsze. W tym procesie szczególne miejsce ma leksykalizacja, czyli takie *hokus pokus*, że słowo, które dawniej znaczyło zupełnie coś innego, dzisiaj ma inne znaczenie, które często bywa zaprzeczeniem znaczenia pierwotnego. A mówił tak piękną, wykwinłą wręcz polszczyzną, że słuchaliśmy Go z zachwytem. Z tego zastuchania Profesor wyrwał nas pytaniem skierowanym do starannie upatrzonej „ofiary”. Była nią jedna z ładniejszych dziewcząt naszego roku: *Proszę pani, proszę powiedzieć, co to dla pani znaczy „grzeczny chłopiec”?*

Dziewczę zdetonowane niespodziewanym pytaniem, jak i jego treścią, lekko się zacinając, odpowiedziało, że grzeczny to taki miły, usłużny, sympatyczny, elegancki i coś tam jeszcze w tym duchu. – *Słowem* – przerwał jej Klemensiewicz – *taka przymilna męska ciamajda. Otóż proszę państwa, jeszcze w XVI wieku mówiło się „chłopiec k rzeczy”, a o jaką rzecz chodziło – kończył*

przy ogólnym śmiechu na sali i czerwonej jak rak dziewczynie – *nie muszę państwu tłumaczyć. I to jest proszę państwa przykład leksykalizacji w istotnym wymiarze znaczeniowo-obyczajowym.* I na tę okoliczność, pewnie dla utrwalenia w pamięci przykładu, opowiedział nam przepyszną anegdotkę – zagadkę, którą opowiadano sobie na dworach ziemiańskich, jeszcze w okresie międzywojnia, a która ilustrowała dowodnie rzeczoną leksykalizację w językowej komunikacji w XIX w. *Otóż proszę państwa – powiedział Profesor – dlaczego młodzieniec starający się o pannę, musiał prosić ją o rękę klęcząc u jej stóp? Otóż powody były trzy: po pierwsze – musiał stanąć na wysokości zadania, po drugie – musiał mówić do rzeczy, po trzecie – musiał poczuć czym to pachnie!*

Gromki śmiech przetoczył się przez męską część słuchaczy, przy wstydlivych chichotach naszych koleżanek. Trudno takich wykładów nie pamiętać, trudno było nie lubić Profesora!

W przerwie między jedną a drugą godziną wykładu Zenon Klemensiewicz z ujmującą bezpośredniością wdawał się z nami w pogawędkę. Wypytywał, kto z jakich jest stron Polski, a koleżanki i kolegów ze wsi lub małych miasteczek indagował, jak w ich rodzinnych stronach nazywają się różne zachowania, jakich używa się w danych okolicznościach epitetów czy też rzeczowników, gdzie indziej nie znanych. Szczególnie się cieszył, kiedy spotkał się z jakimś archaizmem językowym, czy regionalną osobliwością, szerzej nie spotykaną. Notował wtedy starannie, zapisywał imię i nazwisko osoby od której się dowiedział, nazwę miejscowości z której pochodziła, w chwilę później na wykładzie omawiał te przypadki słownikowe, a czasami i składniowe i apelował do nas wszystkich, abyśmy w imię fałszywego wstydu wywołanego przez nachalną propagandę „postępowej, socjalistycznej nowoczesności” nie zatracili regionalnych, gwarowych korzeni polskiego języka, czyli swojej tożsamości językowej. Były to perswazje bardzo na czasie, bowiem zaczynała się nowa kampania (po stalinowskiej), w perfidnie przewrotnej formie, mająca na celu rozbijanie więzi regionalnych, niszczenie tradycyjnych form kultury chłopskiej i niszczenie gwar. (wyszdydził ją kilka lat później Edward Redliński w znakomicie kompromitującej książce *Awans*). Perswazje i apele Profesora bardzo podnosiły na duchu nasze koleżanki i kolegów z prowincji broniąc ich przed popadnięciem w kompleksy, choć nie wiem, na ile przyczyniły się do zachowania gwar w Polsce. Wszak był to „głos wołającego na puszczy”!

Zenon Klemensiewicz z właściwym sobie temperamentem walczył z wszelkimi formami zachwaszczania języka. Problematyce tej poświęcał wiele czasu, reagując często na świeże, aktualne przykłady z żargonu partyjnego, czy też – jak szyderczo mawiał – „naukawego”. Były to lata, kiedy w zasadzie nic nie mogło mieć swojej dawnej nazwy. To właśnie wtedy krawat w socjalistycznej „postępowej” nowomowie otrzymał nazwę „zwis męski”... Pralnie publiczne miały

wykazywać „upiór dzienny”! Zbieraliśmy dla Profesora wszelkie takie idiotyzmy i nie raz bawiliśmy się nimi świetnie na wykładach. Klemensiewicz szczególnie wyszydzał żargon naukowy, czyli nadmierne, niczym nie uzasadnione posługiwanie się językiem najeżonym obcym słownictwem, mającym w istocie pokryć pustkę treściową. I podawał na okoliczność pyszny przykład: „*Hipertrofia elokwencji implikuje indolencję akcji*”, czyli – po prostu: „*Nadmierne gadulstwo powoduje brak działania*”. Był to zarazem przykład na niby polski język, czyli polska składnia a słownictwo obce.

Odczytywaliśmy to jako przejrystą aluzję do partyjnej nowomowy.



Prof. Stanisław Sierotwiński.

Był postacią ze wszech miar barwną i oryginalną. Krążyły o Nim mrozące krew w żyłach opowieści, jak to potrafi się wyżywać na biednych beanach, dlatego też, gdy okazało się, że właśnie On będzie miał zajęcia z moją grupą ćwiczeniową, padł na nas błądy strach. Tegoż feralnego dnia, kiedy miał nastąpić pierwszy oficjalny kontakt z Nim, żyliśmy w dużym napięciu nerwowym. Wreszcie nadeszła godzina spotkania z Pogromcą Młodzianków. Siedzieliśmy wystraszeni, a On nie nadchodził. Ktoś dyskretnie wyglądął na korytarz. Pusto. Ktoś spojrzał nerwowo na zegarek i krzyknął: – *Dobra nasza! Za trzy minuty będzie kwadrans akademicki i my chodul* – Wszyscy wstaliśmy w oczekiwaniu na znak kolegi, żeby błyskawicznie zniknąć. W tym momencie drzwi się powoli otworzyły, do sali buchnął spory kłąb dymu tytoniowego, w kilka sekund potem ukazał się niedopatek papierosa w długiej, szklanej „lufce”, a za nim starszy pan, o szlachetnej rzeźbie twarzy. Stanisław Sierotwiński, bo był to On, przeszedł przed naszym frontem nie zwracając na nas uwagi, wyszedł na katedrę, położył na niej teczkę i spojrzał na salę. – *Cemuż to państwo stoicie? Przecież to nie freblówka, to uniwersytet*. Staliśmy dalej, jak porażeni, jakby nam władzę w nogach odjęto. – *No to dlaczego jeszcze nie powiedzieliście chórem: Dzień dobry Panie Profesorze. Proszę siadać*. Potem Sierotwiński spokojnie wyjaśnił, że zajęcia które będzie prowadził z nami, czyli nauki pomocnicze o książce, postara się wzbogacić wieloma arcyciekawymi historiami, związanymi wyłącznie z Krakowem, jako że jest to miasto jedyne w swoim rodzaju. Wyraził przy tym nadzieję, że nas powinno to zainteresować. Mówił bardzo pięknie, barwnym, soczystym językiem, retorem był znakomitym, podobnie jak Pigoń czy Klemensiewicz, ale była to inna zupełnie osobowość.

Dwa kolejne zajęcia upłynęły spokojnie. Wykładami byliśmy oczarowani i powoli zapomnieliśmy o Jego „wejściu smoka i całej czarnej legendzie”. Na trzecim, w środku pierwszej godziny, Stanisław

Sierotwiński zwrócił się niespodziewanie do jednej z naszych koleżanek: – *Dlaczego pani wybrała studia na polonistyce? Dziewczyna zerwała się jak oparzona, a na to On: – Proszę pani! Kto to widział, żeby kobieta stawiała przed mężczyzną?*

Nasza koleżanka czerwona jak piwonია usiadła i zaczęła coś tam tłumaczyć, że Mickiewicz, że Słowacki, że wspaniała literatura romantyczna, że Laura i Filon, że cudowne *Ballady i romanse*, że ... – *Rozumiem – przerwał Potwór – pani skończyła technikum skórzanę w Jasle? Gniew słuszny zawrzał w nas wszystkich. Murem staliśmy za biedną, sponiewieraną koleżanką, a On spokojnie kontynuował:*

– *Proszę państwa. Te studia niczego konkretnego nie dają. To jest tylko otwarcie do statej nauki przez całe życie, dlatego szczerze radzę, aby ktoś, kto czego innego się spodziewał, natychmiast opuścić uniwersytet i poszedł uczyć się konkretnego zawodu na AGH czy Politechnice. Nie chciałbym, żeby fantasmagorie prowincjonalnych polonistek, które prawdopodobnie was tu przywiodły, miały wam zmarnować życie. Proszę bardzo, jeśli ktoś się zastanowił, może w tej chwili opuścić salę. Ja nie będę się czuł obrażony.* –

Oczywiście nikt nie ruszył się z miejsca, ale ta przemowa bardzo nas poruszyła. Znów minęło kilka zajęć w aurze fascynujących iluminacji słownych o dziejach książki w krajach islamu i Europie chrześcijańskiej. Akuratnie Sierotwiński dotarł do początków XVI wieku w Polsce, słuchaliśmy jak zaczarowani wspaniałej opowieści o ówczesnym Krakowie, gdy nagle padło pytanie, tym razem do innej studentki: – *Kto to był Rej proszę pani?*

Dziewczyna automatycznie odpowiedziała: – *Ojciec literatury polskiej panie ... tu urwała, – Profesorze – dokończył za nią – Ach! te galicyjskie nawyki! Po pierwsze nie jestem jeszcze profesorem, można mówić do mnie panie docencie, ale nie jest to konieczne, a po drugie, kto pani takich głupstw naopowiadał? Jak zaświadcza Trzeciecki, biograf Reja, był z niego leń patentowany, hańburda, zamiłowany bywalec szynków i zajazdów krakowskich. Sukno, które kupił mu ojciec na strój żakowski, pociął na wąskie paseczki, wytapał wszystkie wrony, sroki i kawki i poprzywiyżywał im je do ogonów. Miała radość krakowska gawiedź, gdy tak „udekorowane” ptactwo, czyniąc wielką wrzawę krążyło nad miastem. Łaciny uczyć mu się nie chciało, coś tam od żaków, bawiąc się kuflem, usłyszał o Piotrze Ronsardzie i jego „Plejadzie”, do gustu mu to przypadło no i napisał znany bon mot: Niechaj narody wždy postronne znają... Ojciec pieniędzy nie posyłał, a życie wesotego oczajduszy przypadło mu do gustu, więc układał rymowane, sprośne facecje, za które w karczmach piwo i jedzenie dostawał, a i względy nie jednej dziewczki zdobył. I tak, proszę państwa, rodziła się ta „polska literatura”. A propos rodzenia, to pani zdaniem, z kim musiał mieć stosunek, aby splotzić „Literaturę”? Z Muzą? Ależ Muza to był eteryczny, do takich działań biologicznych całkowicie nie przydatny.*

Poza wszystkimi innymi, pani, jako kobieta, przecież wie, że zawsze tylko pewna matka, nigdy ojciec.

Nie był to jedyny przykład oduczania przez wykpiwanie, bezmyślnego postępowania się niezbyt mądrymi stereotypami, tzw. kalkami zbiorowej wyobraźni. Wymagał od nas precyzyjnego wyrażania swoich myśli i logicznego konstruowania swoich sądów. – *Proszę państwa* – zwyczaj mawiać Stanisław Sierotwiński – *studia na Uniwersytecie Jagiellońskim zobowiązują*. Nie muszę specjalnie dodawać, iż dość szybko bardzo, ale to bardzo Go polubiliśmy. Te wspaniałe wycieczki po Krakowie, jedynym mieście, w którym stawiano pomniki postaciom literackim, owe cudowne opowieści choćby o Wernyhorze z poematu Zaleskiego, czy złośliwie dowcipny dialog z poematów Mickiewicza, które wianuszkami otaczają swego „stwórcę” na Rynku

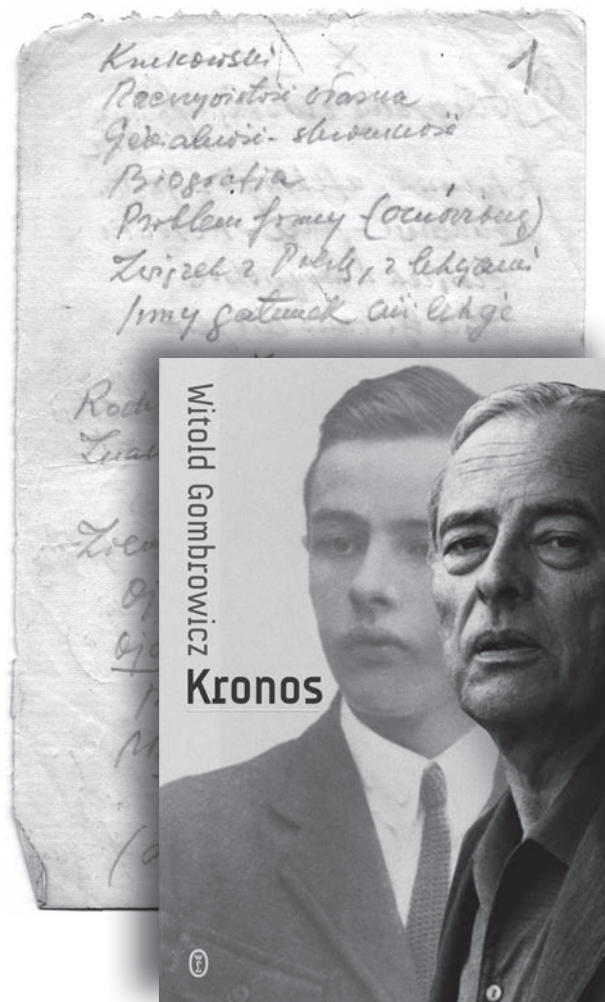
Głównym, wymyślony przez dowcipnych krakowian, dla wykpienia nieudolności artystycznej, którym odmawiał większych walorów intelektualnych...

Sierotwiński miał w Bukowinie Tatrzańskiej willę „Nie tota”. Kiedyś, jakoś się na ten temat zgadało, w trakcie wycieczki po literackim Krakowie. Mówił w ten czas o swoich związkach z międzywojennym środowiskiem artystyczno – literackim Zakopanego i Podtatrza, o Witkacym, o Pawlikowskiej – Jasnorzewskiej. Jedna z naszych koleżanek zapytała dość niespodziewanie: – *A dlaczego taka oryginalna nazwa willi? Czy ona ma jakieś znaczenie?* Profesor zatrzymał się nagle i orzekł: – *Tak. Ma pani rację. Była to historia następująca. Kochałem się wtedy w dwu pięknych dziewczynach, ale trzeba było wybrać i ożeniłem się z jedną z nich, ale to była – jak mówią górale – nie tota.*

Kronos Witolda Gombrowicza

Kronos Witolda Gombrowicza ożywił zainteresowanie pisarzem. Stało się tak za sprawą zorganizowanej akcji marketingowej Wydawnictwa Literackiego. Książka jest kalendarium życia pisarza, co podkreśla w „Postowie” profesor Jerzy Jarzębski. Inny wybitny znawca twórczości autora *Ferdynand* profesor Michał Głowiński przestrzega przed ogłaszaniem, że *Kronos* wielkim dziełem jest, bo to tylko zbiór informacji cennych dla badaczy biografii Gombrowicza, która „do czytania się nie nadaje”. Rzecz jasna do czytania takiego, jak czyta się dzieła literackie. Tak więc *Kronos* nie zmienia niczego w dotychczasowej ocenie dzieła znakomitego prozaika i dramaturga, ale wraz ze świetnie opracowanymi przypisami stanowi interesujące źródło uzupełniające dotychczasową wiedzę o jego życiu. Nie spełniły się także oczekiwania tych, którzy liczyli na wielki skandal związany z opublikowaniem *Kronosa* albo kupowali książkę z nadzieją, że staną się tego skandalu bezpośrednimi świadkami. Skandalu nie było, bo nie było w *Kronosie* treści, które by ten skandal miały wywołać. Ot, kilka „momentów” z życia erotycznego pisarza. Zdaje się, że to nie Gombrowicz zawiódł, ale Wydawnictwo Literackie prowadzące z rozmachem akcję promocyjną. Ale nam bibliotekarzom z Biblioteki Witolda Gombrowicza jego rosnąca popularność bardzo odpowiada.

Andrzej Dąbrowski



Książka w grze, czyli euro pisarzy

Zbigniew Masternak

Po prawie pół roku przygotowań Euro Pisarzy doszło wreszcie do skutku. Wyruszyliśmy z moją żoną Renatą pociągiem do Krakowa, skąd rano autokar miał nas zawieźć do Berlina. Spędziliśmy noc w Domu Łaskiego, gdzie pięć lat temu mieszkaliśmy podczas pobytu na stypendium Homines Urbani. Miałem wrażenie, jakby historia zatoczyła koło. To tutaj dotarła do mnie wiadomość, że na Ukrainie i w Polsce będzie organizowane Euro 2012, to tutaj po raz pierwszy przyszła mi do głowy myśl, żeby zorganizować Euro Pisarzy. No i właśnie obie imprezy miały się urzeczywistnić.

Zanim do tego doszło, trzeba było pod koniec roku 2011 poskładać wnioski na sfinansowanie całej imprezy. Namówiłem na to Willę Decjusza, bo miałem dobre wspomnienia ze współpracy z Renatą Serednicką. I oto 9 maja ekipa polskich pisarzy – piłkarzy wyruszyła o godz. 6.00 rano autokarem z Krakowa do Berlina. A to z powodu projektu „Książka w grze” – krótko pisać – Mistrzostw Europy Pisarzy 2012 w piłce nożnej, które w dniach 09-17 maja miały zostać rozegrane właśnie w Berlinie, Krakowie i Lwowie. Z Krakowa wyruszyło nas tylko kilku – reszta miała dotrzeć we własnym zakresie – samolotami i pociągami. Droga minęła szybko – już o 15.00 wszyscy zostali zakwaterowani w hotelu „Ibis Berlin Airport Tegel” obok lotniska. Reprezentację Polskich Pisarzy powitał list od prezesa DFB Kulturstiftung – Theo Zwanzigera:

„Droży Autorzy, serdecznie witamy w Berlinie. Cieszymy się bardzo, że to od dawna planowane i przygotowywane wydarzenie łączy kulturę i sport nareszcie staje się rzeczywistością. Mamy nadzieję, że będzie ono dla Was także okazją do miłego spędzenia czasu w stolicy Niemiec. Celem naszego projektu jest stworzenie – w przeciągu tych najbliższych dni – na tyle atrakcyjnego programu, dzięki któremu niemiecka publiczność nie tylko będzie miała okazję poznać Was jako zespół piłkarski, ale także, a może przede wszystkim Was w waszej rzeczywistej profesji: jako pisarzy i poetów. Równocześnie mamy także nadzieję, że w przerwach między poszczególnymi punktami programu znajdzie się chwila na poznanie się i wymianę myśli i opinii z członkami Reprezentacji Pisarzy Ukraińskich i Niemieckich, jak również na poznanie miasta”.

Skoro Niemcy zachęcali, nastał czas na zwiedzanie miasta. Wsiadliśmy z Renią do metra i po kwadransie byliśmy w centrum stolicy. Po drodze spotkaliśmy ekipę ukraińską, z której znałem tylko prozaika Sierhija Żadana. Spotkaliśmy się w 2010 roku, na IV Krakowskich Dniach Literatury, w Willi Decjusza. Ukazała się wtedy antologia „Ludzie, miasta”, do której napisałem tekst „Mój syn będzie piłkarzem”. Dobrze, że spotkaliśmy Ukraińców – ich przewodniczka pokazała nam, w którym kierunku ruszyć, żeby trafić pod Bramę Brandenburską. Potem kierowanie imprezą przejęła Renata. Moja żona świetnie sobie radzi z czytaniem map, mogłaby robić za przewodnika w każdym miejscu na świecie. Ja strasznie błądzę, kompletnie sobie nie radzę, muszę o wszystko pytać ludzi, którzy są często jeszcze mniej zorientowani niż ja i wprowadzają mnie w błąd. Mój syn wrodził się w żonę i także uwielbia mapy. Jak tylko jesteśmy w jakimś nowym mieście i przechodzimy koło planu miasta, wypytuję, gdzie jesteśmy. Po raz pierwszy zainteresowało go to, jak miał dwa i pół roku. Marco Polo z niego będzie albo inny Kolumb. Renata stwierdziła, że nauczyła się czytać mapy po tym, jak męczyła ją w podstawówce pani od geografii, dyrektorka szkoły.

Obejrzeliliśmy Bramę Brandenburską i kilka innych molochów, których nazw nawet nie znałem. Wszystko było schludne, ale nie przytłaczało. Nie omieszkaliśmy także zajrzeć do sklepów z markową odzieżą – zaskoczyły mnie ceny w większości z nich, często niższe niż w Polsce. Spotkałem się z tym zjawiskiem już w 2005 roku, podczas podróży po Francji, kiedy ceny w takich kurortach jak Deauville były niższe niż w Lublinie i nad Morzem Północnym więcej oszczędziłem niż w Kozim Grodzie nad Bystrzycą. Albo w 2011, w Karlowych Warach. Tam było za to o jedną trzecią taniej niż w sieciówkach w Warszawie. Renia przywozła całą torbę ciuchów. Moja żona żartuje, że pamięta różne nowe miejsca nie dzięki widokom, ale udanym zakupom. Tanio było również w hipermarketach – ceny bardzo zbliżone do polskich, a w niektórych przypadkach niższe. Czyli nie ma się co dziwić, że niektórzy polscy twórcy, jak choćby taki Artur Szlosarek, wybierają życie w Berlinie. Zarabiać jak w Niemczech, wydawać jak w Polsce, dobra sprawa.

Gdy tak chodziliśmy po Berlinie, oprócz tłumy turystów, zauważyłem, że nie ma tu aż tak dużo obcokrajowców, osiadłych na stałe, jak w innych dużych stolicach europejskich, choćby Paryżu czy

Brukseli. Stwierdziłszy z Renatą, że w sumie to nawet moglibyśmy tutaj żyć. Berlin to praktycznie opłotki Poznania, a nawet Warszawy – tylko 5 godzin pociągiem. Zakupiliśmy na pocztę całą serię widokówek z Berlina.



Nasi zawodnicy zjeżdżali się stopniowo – dotarła grupa białostocka, kierowana przez Jacka Janowicza (kabareciarz), dotarli dziennikarz sportowy, autor kilku książek Roman Kołtoń z pisarzem Janem Grzegorzczakiem (nurt katolicki, cykl przygód księdza Gossera). Stanowimy mieszaninę wielu pisarskich profesji. Są wśród nas także kabareciarze – m.in. Rafał Kmity, twórca genialnego „Quasikabaretu Rafała Kmity”, którego teksty ocierają się o poetykę absurdu dobrego Ionesco. Albo Becketta. To był mój idol z licealnych czasów, cieszę się, że możemy być teraz kolegami z drużyny. Mamy też poetów – Roberta Króla, Macieja Roberta, Marcina Karnowskiego. Z prozaików jest jeszcze Łukasz Saturczak. Grali u nas także Daniel Odiya czy Wojciech Kuczok, którzy jednak zdecydowanie lepiej radzą sobie ze słowem niż futbolówką. Kuczok zdradził przed jednym z meczów, w którym wystąpił, że po raz pierwszy wkłada buty piłkarskie na nogi. Ale ciekawostką był także udział specjalisty od twórczości Czesława Miłosza – Tomasza Jędrzejewskiego, który znakomicie sobie radził na lewej obronie. Dobre występy zaliczył także na pomocy lub obronie Marcin Pawlik z Krakowa. Nieźle z piłką sobie radził na lewej pomocy poeta Krzysztof Gryko, najpierw z Puław, teraz z Krakowa. Mogliśmy mieć na to nasze Euro jeszcze liczniejszą i silniejszą piłkarsko kadrę, ale turniej wypadł w fatalnym dla pisarzy okresie – po pierwsze Tydzień Bibliotek, po drugie – Targi Książki w Warszawie.

Do Berlina przybyliśmy zatem w okrojonym, ledwie 12-osobowym składzie. Co w przypadku dwóch meczów na pełnowymiarowym boisku, w 11-osobowych składach nie napawało zbyt optymistycznie. Ale uspokoił się, bo Ukraińców też było tylko samo, co nas.

O 19.00 w pubie przy klubie piłkarskim Berolina Mitte 49 Berlin odbyła się kolacja integracyjna wszystkich trzech reprezentacji, biorących udział w tym historycznym wydarzeniu (Niemcy, Polska, Ukraina) i miał miejsce oficjalny początek turnieju. Licznie pojawili się niemieccy działacze piłkarscy (Niemiecki Związek Piłki Nożnej), którzy byli współorganizatorami turnieju – obok fundacji Roberta Boscha z Niemiec oraz Willi Decjusza z Krakowa i Forum Wydawców ze Lwowa. Zjawili się także przedstawiciele niemieckich mediów – w tym dwie duże stacje telewizyjne – ZDF i RBB. Umówiłem się z nimi na wywiady na następny dzień, po treningu,

który mieliśmy przeprowadzić na obiektach Beroliny. Ustalono reguły imprezy. Każda drużyna zagra dwa mecze w Berlinie, dwa w Krakowie i dwa we Lwowie (3 punkty za zwycięstwo, 1 za remis). Finał odbędzie się na obiektach klubu Karpaty Lwów. Tam także będzie dekoracja zwycięzców.

Kolacja miała charakter integracyjny, bardziej przypominała October Fest, dominowały piwo Berliner i kielbasa z grilla. Imprezę rozpoczęło przemówienie prezesa klubu Berolina, grającego na poziomie niemieckiej 7 ligi. Powiedział, że ja mam problem, bo grałem w polskiej drugiej lidze. I tak to z III ligi, z Korony Kielce, w legendzie awansowałem do drugiej ligi i wydałem się Niemcom, mającym fioła na punkcie nożnej, groźny. Obiecałem sobie, że ich nie zawiodę. Po kilku piwach pisarze z Ukrainy i Polski zdecydowali się na rozegranie krótkiego sparingu. Rozochocony poważaniem niemieckich pisarzy, którzy dotąd musieli ufać moim umiejętnościom tylko na papierze, popisałem się fantastycznym uderzeniem sprzed pola karnego z woleja, z fałsza, w samo okienko, czym kompletnie zaskoczyłem kapitana Ukraińców, wybitnego prozaika Sierhija Zadana i zażyczyłem na gromkie brawa podchmielonej publiki.

Prawdziwe granie miało rozpocząć się jednak dopiero w piątek, już bez piwa Berliner. Po hucznej imprezie integracyjnej przyszedł czas na właściwy cel wizyty polskich i ukraińskich pisarzy – piłkarzy w Berlinie. Reprezentacje Polski i Ukrainy przeprowadziły o godzinie 14 trening na stadionie klubu Berolina 49 Mitte Berlin. Ukraińcy rozegrali cały mecz w ramach treningu, Polacy, dyrygowani przeze mnie, ograniczyli się do ogólnego rozruchu, a następnie ćwiczenia dośrodkowań w pole karne, strzałów z dystansu, konkursu rzutów karnych. Niestety, cały trening zaktócali mi dziennikarze – z niemieckich stacji RBB i ZDF. Dla RBB musiałem nagrywać jak uderzam na bramkę. Koledzy dośrodkowywali, a ja uderzałem jak oszałały – nożycami, głową, między nogami bramkarza. Z kolei dla ZDF nagrywałem tricki piłkarskie. Potem miałem wywiad – wszystkie 10 pytań, jakie zadała mi dziennikarka, dotyczyły sprawy Julii Tymoszenko i ewentualnego bojkotu Euro na Ukrainie. Starłem się odpowiadać dyplomatycznie, ale sugerowałem, żebyśmy pogadali o piłce nożnej i literaturze, bo w końcu w tej sprawie przyjechaliśmy do Niemiec. W końcu powiedziałem, że Julia Tymoszenko powinna się przespać z Janukowiczem i będzie po sprawie. Chyba się zdenerwowali, bo jak wieczorem następnego dnia była relacja z imprezy, wycięto nie tylko moją wypowiedź, a nawet całą polską drużynę, jakby nas tutaj w ogóle nie było.

Po treningu miałem jeszcze trzy wywiady prasowe – dla „Suddeutsche Zeitung”, gazety DFB Kulturstiftung i „Die Welt”. Wywiady dla dwóch pierwszych gazet

były standardowe – mówiłem o związkach literatury z piłką nożną. Powoływałem się na Platona, który najpierw był doskonałym sportowcem, olimpijczykiem, a dopiero potem został filozofem i pisarzem. Jak jechałem z Renią na wywiad do kawiarenki przy Pappelallee, wzięłem taksówkę. Przyjechał jakiś turek nowym mercedesem – vanem. Nie mogłem otworzyć okna na odpowiednią wysokość, w końcu zrezygnowany syknąłem: „Scheisse!” Czyli gówno. Bardzo lubię to niemieckie przekleństwo, ale chyba to był zły moment. Turek nastroszył się i mówi: „Jakie gówno? Przecież to dobry samochód?” Z trudem mu wytłumaczyłem (praktycznie wcale nie znam niemieckiego), że wcale nie chodziło mi o jego samochód.

Na wywiad ze „Die Welt” przyszedłem ja i jeszcze niemiecki pisarz Uli Hanemann oraz ukraiński prozaik Wołodymir Sierhijenko, jeden ze współorganizatorów turnieju. Tłumaczyła mieszkająca w Berlinie Polka, związana kiedyś z Ha! artem (czy ktoś nie był kiedyś związany z Ha! artem?). I niespodziewanie zjawił się poeta Artur Szlosarek. Mieszka w Berlinie od dawna, zna świetnie niemiecki. Niemieczeni dziennikarze życzyli sobie do wywiadu kogoś spośród nas, kto zna niemiecki. Więc pozyskaliśmy Szlosarkę. Miałem nadzieję, że pomoże nam też na boisku. Albo przynajmniej włoży koszulkę w białoczerownych barwach. A ten na to, że nie będzie sobie robił obciachu. To go popędziłem. Wywiadu by dla „Die Welt” udzielił, ale orzekłem się brzydzi. Pewnie nikt z nim tutaj wywiadów nie robi, chociaż długo w Niemczech mieszka. Pogoniłem go, mimo, że kiedyś bardzo cenilem jego poezję. Był to jeden z moich ulubionych poetów, obok Świetlickiego i Maliszewskiego. Mój niemiecki idol wydał mi się strasznym smutasek. Cieszę się, że w tej drużynie mogę pograć z tymi, których kiedyś podziwiałem – z Odiją, Kuczkiem, Kottoniem, Kmitą. To ciekawi twórcy i bardzo fajni ludzie. Dziennikarze z „Die Welt” byli zaskoczeni połączeniem sportu i Platona. Rozmawialiśmy dużo o futbolu i literaturze. Oczywiście, o naszym polskim trio z Borussia Dortmund także. Chłopaki mieli spuścić klub do drugiej ligi, a dwa razy wygrali Bundesligę, a na koniec upokorzyli Bayern w Pucharze Niemiec. Zwłaszcza Lewandowski się do tego przyczynił. O Tymoszenko padło tylko jedno pytanie.

O godzinie 19.00 w kawiarni przy Pappelallee 15 (Ballhaus Ost w Berlinie) odbył się międzynarodowy wieczór literacki „Śłońce wschodzi na Wschodzie”. Pisarze z trzech krajów prezentowali swoje teksty związane z futbolem. Największymi bravami publiczność nagrodziła mój groteskowy utwór, fragment książki „Ciągłe na spalonym” – „Mój prawdziwy ojciec”. O tym, że moim ojcem był Gerd Muller. Napisałem go na kilka dni przed przyjazdem do Berlina – chciałem napisać coś o piłce błotnej i o Niemczech. Mieliśmy w Berlinie pokazać film dokumentalny o piłce błotnej – „Polen-Deutschland 2011”, w reżyserii Piotra Kawki, zapis

naszego meczu z 2011 roku. Z hymnami narodowymi, w narodowych strojach. Niemcy w koszulkach z napisem Klose...To było coś niesamowitego! Wszyscy ryczeli ze śmiechu! Najśmieszniejsze, że zapomniałem polskiej wersji tekstu i musiałem improwizować! Ale nikt tego nie zauważył, oprócz Romka Kottonia, który świetnie zna niemiecki. Na sali byli obecni przedstawiciele niemieckich mediów. Zwłaszcza stacja RBB się na mnie uwzięta – chyba rzeczywiście uwierzyli, że jestem synem Gerda Mullera, bo robili o tym materiał do programu „Kowalski & Schmidt”. Nagrywali mnie non stop. Szkoda tylko, że film o piłce błotnej się zaciął.

Z innych tekstów warto zwrócić uwagę na „Pochwałę pudłowania”, czyli odę do Kubę Błaszczykowskiego. Niezły wiersz, o Łukasie Podolskim, przeczytał także Robert Król. To była prawdziwa poezja, nie utwór okolicznościowy. W trakcie tej imprezy miała miejsce rozmowa na temat „Piłka nożna, nacjonalizm i aktualna sytuacja polityczna na Ukrainie” w której obok Serhija Zhadana (Ukraina), Yevhena Polozhiy (Ukraina), Artura Szlosarka (Polska), Christopha Nussbaumedera (Niemcy), Franka Willmanna (Niemcy) wziął udział Roman Kottoń, dziennikarz sportowy i bramkarz Reprezentacji Polskich Pisarzy. Tylko ten nieszczęsny, posępny Szlosarek, co tutaj robił? Gość, który kompletnie nie interesuje się futbolem – po co tutaj przyszedł? Zamiast piwa na imprezie piłem herbatę z butelek – coś jakby yerba mate. Kelner z baru myślał, że piję to, bo myślę, że to piwo. Próbował mi to nawet wytłumaczyć, że to nie piwo. Po imprezie pogadałem z pisarzami z Niemiec i Ukrainy, zwłaszcza z Mortitzem Rinke, który był kontuzjowany i nie mógł grać, oraz z Sierhiejem Bada-nem – pogadaliśmy o Puławach, gdzie teraz mieszkam – okazało się, że odwiedzał tutaj Bohdana Zadurę.

Kazałem kolegom wracać do hotelu spać – imprezy przewidziane były dopiero po ewentualnych sukcesach. Nie wszystkim się to spodobało. Autobus odjechał spod knajpy bez dwóch poetów – pomocników. Zmagania piłkarskie, do których szykowałem się przez prawie pół roku, trenując 5-6 dni w tygodniu, rozpoczęły się o godzinie 12.00 na obiektach SC WESTEND 1901 E.V. BERLIN. Wcześniej, zamiast się rozgrzewać, miałem sesję zdjęciową z Sierhijenką i Hanemannem do „Die Welt”. Byliśmy jak w kawale – Polak, Niemiec i Rusek. Tylko że zamiast Ruska był Ukrainiec. Inna sprawa, że piszący głównie po rosyjsku. Przed meczem w szatni polskiej drużyny odbyła się odprawa, którą przeprowadził słynny menedżer piłkarski Andrzej Grajewski (kiedyś m. in. właściciel Widzewa Łódź, gdy ten grał w Lidze Mistrzów, obecnie agent m.in. reprezentanta Polski Sławomira Peszki). Licytowaliśmy się, kto powie śmieszniejszy kawał. Trzykrotnie z Grajewskim przegrałem. Najlepszy był kawał z Żydami pod Oświęcimiem. Myślałem o tym, że w Polsce właśnie dziś „Księżstwo” wchodzi do kin. Film o tym, jak nie

zrobiłem kariery piłkarza z powodu kontuzji. A teraz po wielu latach wróciłem do niezłej formy, grałem nawet jakby lepiej niż w młodości, znacznie dojrzałej i precyzyjniej, i ciągle miałem dużo siły, dużo biegam. Byłem ciekaw, jak film przyjmą krytycy, publika. Także miałem wrażenie, jakbym walczył na dwóch frontach – w Polsce i w Niemczech, jakby do boju ruszyły dwie armie – piłkarska i filmowa, a przez to – głównie właśnie literacka.

W pierwszym meczu zmierzyły się reprezentacje Polski i Ukrainy. Mecz miał piękną oprawę – przed rozpoczęciem odegrano hymny obu państw. Imprezie towarzyszyło zainteresowanie licznych niemieckich mediów. Pojawiły się stacje telewizyjne ZDF i RBB, oraz przedstawiciele znanych gazet, jak Die Welt. Przed meczem najbardziej oblegani byli kapitanowie polskiej i ukraińskiej drużyny, czyli ja i Żadan.

Mecz od mocnego uderzenia zaczęli Polacy – kabareciarz Jacek Janowicz (niedawno Sokół Sokółka) wrzucił piłkę w pole karne do mnie, (co zwykle mu się rzadko zdarza, bo gra bardzo egoistycznie), ale ja nawet nie zdążyłem jej dotknąć, bo bramkarz sam wepchnął sobie piłkę do bramki. Już w pierwszej minucie Polska wygrywała 1:0. Potem było jeszcze lepiej. Rzut wolny sprzed pola karnego wykonywał scenarzysta i reżyser Maciej Rant (niegdyś Czarni Olecko) i znowu bramkarz Siarhij Żadan nie zdołał wyłapać tego uderzenia, było 2:0 po 5 minutach. Polacy byli bardzo aktywni, szczególnie często strzelałem ja i Janowicz. Dobrze grała linia pomocy kierowana przez poetów Macieja Roberta i Roberta Króla, na prawym boku świetnie sobie radził dziennikarz Tomasz Pakuła (BKS Rostocze Krasnobród), na lewej flance walczył prozaik Łukasz Saturczak. Walczył to dobrze powiedziane – Łukasz nie ma żadnych umiejętności piłkarskich, poza tym przyjechał kompletnie nieprzygotowany fizycznie. Znakomicie radziła sobie para stoperów – Maciej Rant oraz znany prozaik Jan Grzegorzcyk (mój redaktor w Wydawnictwie Zys i S-ka). Boki obrony zabezpieczali poeta i muzyk Marcin Karnowski oraz eseista Tomasz Jędrzejewski, specjalista od twórczości Czesława Miłosza. Na bramce stał aktor i scenarzysta Jan Wojtyński (niegdyś Marcovia Marki), zmieniany przez znanego komentatora sportowego i dziennikarza Romana Kottonia (niegdyś Górnik Złotoryja). Z Jankiem poznaliśmy się na planie „Księstwa”, gdzie zagrał Suchego. Gra była zaskakująco płynna, wymienialiśmy wiele dokładnych podań, co strasznie męczyło przeciwnika. To była zupełnie inna drużyna, niż ta co w styczniu przegrała 13:1 z Reprezentacją Dziennikarzy. W pół roku powstał fajny team, a co ważne – wszyscy byli związani z pisaniem. Zupełnie nie było widać głównego problemu polskiej reprezentacji – za krótkiej ławki rezerwowych (na zmianę było tylko dwóch zawodników, z których drugi był bramkarzem). Po piętnastej minucie było już 3:0 dla Polski – po strzale Jacka Janowicza. Polacy na tym

nie poprzestali – otrzymałem bardzo sprytnie podanie od poety Roberta Króla i potwierdziłem, że na tym turnieju jestem świetnie dysponowany – uderzyłem fenomenalnie z prawej nogi z „fatsza” kozłującą przed narożnikiem pola karnego piłkę a ta przelobowała bramkarza i wpadła w samo okienko bramki, po długim słupku. Brawa po tej akcji bili mi nawet zawodnicy z Ukrainy. Po 25 minucie było 5:0 dla Polaków – znów trafił Jacek Janowicz, duet polskich napastników był zabójczo skuteczny, jak w meczu z Poznańskimi Oldboyami (5:1). To od meczu w Poznaniu zaczęło się dobre granie naszej drużyny.

W przerwie dyrygujący poczynaniami polskich pisarzy Andrzej Grajewski zarządził zwolnienie tempa akcji i grę na utrzymanie wyniku – za pół godziny Polaków czekał nas kolejny mecz, z Niemcami. Tak też się stało – oddaliśmy nieco pole gry kolegom z Ukrainy. Szanse na gole dla Polski mimo tego mieli Jacek Janowicz oraz dwukrotnie ja, po podaniach Janowicza i grającego tego dnia turniej życia Tomasza Pakuły, ale to ostatecznie Ukraińcy zdołali zdobyć dwa gole (jeden prawie tak ładny jak moje trafienie) i mecz zakończył się wynikiem 5:2 dla Polski. To był zupełnie inny wynik niż ten sprzed dwóch tygodni, z ukraińskimi dziennikarzami w Krakowie, podczas MEDIA CUP 2012. Szkoda tych dwóch niewykorzystanych okazji, mogłem odskoczyć w klasyfikacji na króla strzelców turnieju. Ale Ukraińcy cały czas mnie pilnowali, indywidualnie czynił to poeta Sierhiej Rozhko, od którego potem otrzymałem tomik poezji. Był to znakomity początek turnieju w perspektywie kolejnych 5 meczów w całych mistrzostwach, zwłaszcza że uzyskany w bardzo okrojonym składzie. Założeniem – w związku z niewielką liczbą zmian – było zdobycie przynajmniej 1 punktu w dwóch meczach i odrabianie strat w Krakowie i Lwowie, gdzie miało dotyczyć do drużyny 5 lub 6 piłkarzy z podstawowego składu.

W przerwie okazało się, że boli mnie mięsień dwugłowy prawego podudzia. To było pewnie z powodu złej rozgrzewki przed pierwszym meczem, albo w skutek naparzenia poprzedniego dnia przez 40 minut przed kamerami, żeby zdobyć ładną bramkę. Okazało się, że jeszcze ładniejszą zdobyłem z akcji, podczas meczu z Ukrainą. Posmarowałem nogę maścią przeciwbólową w nadziei, że to wystarczy.

Do meczu z Niemcami przystępowaliśmy z nadzieją na przynajmniej jeden punkt. Niemcy byli generalnie około 10 lat starsi od nas (wyłączając Grzegorzcyka, rocznik 1959, faceta 53-letniego, już z 3 wnuków!), ale dysponowali 20-osobową kadrą. Polacy radzili sobie bardzo przyzwoicie – pierwszy celnie w światło bramki strzeliłem właśnie ja. Zastawiłem się, wziętem obrońcę na plecy, zdołałem się obrócić i strzelić z lewej nogi. Niemcy strasznie się mnie bali – pamiętali mój strzał z pierwszego sparingu z Ukraińcami, podobną bramkę z Ukrainą, widzieli mnie na treningu, obserwowali

moje strzały dla kamery, moje sztuczki piłkarskie. I kiedy wydawało się, że mamy szansę powalczyć w tym meczu, doznałem poważnej kontuzji – naderwałem mięsień dwugłowy prawego podudzia. Rozległo się głośne chrupnięcie, poczułem, jak coś mi się w mięśniu urywa i padłem na boisko z grymasem bólu. Od razu zszedłem z boiska, na szczęście o własnych siłach. Zastąpił mnie mieszkający w Hamburgu Marcin Zajonc, który przyjechał do Berlina na turniej fanklubów drużyn piłkarskich z Niemiec. Niestety, ta zmiana okazała się raczej tylko uzupełnieniem składu niż realnym wzmocnieniem. Nowy zawodnik dużo biegał, ale brakowało mu pomysłu na grę. Polacy mimo tego pokazali twardy polski charakter – walczyli bardzo ambitnie, braki personalne uzupełniając wolą walki. Kolejny niesamowity mecz grał Tomasz Pakuła, fantastycznie spisywali się Wojtyński z Kottoniem, znakomicie grali obaj stoperzy – Grzegorzcyk i Rant. Cudów waleczności dokonywali Jędrzejewski i Karnowski, ataki Niemców rozbijali liryczni jako poeci, ale twardzi jako pomocnicy Maciej Robert i Robert Król. Przyglądałem się temu z żalem, że nie mogę pomóc kolegom, z zaparkowanej opodal karetki pogotowia. Pierwszą połowę udało się Polakom przetrwać bez straty gola – mogli nawet prowadzić po strzale Macieja Roberta. Niemcy grali dobrze piłką – trenują ze sobą od paru lat, prawie wszyscy mieszkają w Berlinie, radzili sobie z piłką zdecydowanie lepiej od Ukraińców. Andrzej Grajewski był zadowolony ze swej drużyny, chwalił wszystkich za waleczność.

Drugą połowę oglądałem kątem oka – nagrywając resztę wywiadu dla programu „Kowalski&Schmidt”. Mimo bólu zacisnąłem zęby i odpowiadałem na pytania jakby nigdy nic. Druga połowa to także przewaga Niemców, którzy konsekwentnie grali swoje. Kiedy wydawało się, że mimo tego Polacy dowiozą korzystny w tej sytuacji wynik do końca, w niegroźnej akcji Niemcy zdobyli gola. Turecki napastnik Niemców – Hakan Savas Mican (Nie mylić z doskonałym kiedyś Hakanem Sukurem) zdobył swojego pierwszego gola w tym turnieju. Wojtyński nie wyszedł do piłki (nawyk bramkarza piłki ręcznej). To podłamało Polaków. Parę minut potem było już 2:0 i takim wynikiem zakończył się ten mecz.



Nie pojechałem do szpitala w Berlinie, choć miałem ubezpieczenie, ale za wezwanie karetki trzeba było słono zapłacić. Postanowiliśmy poczekać i zobaczyć, co się dalej będzie działo z nogą. Rozpadało się. Niemcy przychodzili do mnie i pocieszali. Widać też było, że się cieszyli, że nie mogłem zagrać przeciwko nim. Szkoda, byłem tak dobrze przygotowany. Ale martwili się też, czy zagram w kolejnych meczach.

W meczu nr 3 tego dnia Niemcy wypunktowali Ukraińców 2:0 i to oni odebrali puchar za zwycięstwo w pierwszej fazie turnieju, drugie miejsce zajęli Polacy, trzecie Ukraińcy. Tak mnie noga bolała, że nie poszedłem nawet na zamknięcie turnieju. Pod okapem zjadłem się kiełbaskami i piłem piwo na vouchery. Po turnieju, mimo zmęczenia, byliśmy zadowoleni z wyniku. Gdyby nie moja kontuzja, można było wygrać turniej. Ale były jeszcze 4 mecze (Kraków, Lwów) i po wzmocnieniach zachowywaliśmy realną szansę na sukces. Byłem pewien, że już nie zagram w tym turnieju, miałem ochotę się spakować i jechać do domu. Ale przecież nie mogłem zostawić drużyny, którą zbudowałem. Po graniu była dekoracja, a potem wyżerka – grill i piwo. Podszedł do mnie węgierski pisarz mieszkający w Berlinie – Peter Zilahy. Bardzo fajny gość. Ma książkę wydaną w Chinach. Mówiłem mu o moim spodziewanym wejściu na rynek chiński – ze względu na zespół Bayer Full, który wystąpił w „Księżstwie”. Potem pogadałem z poetą i prozaikiem Frankiem Willmannem, który także gra w drużynie niemieckiej. Zapytał, czy mam jakiś tekst o punkach, do antologii. Miałem coś takiego – opowiadanie „Dług” ze „Szczoryka” mogło być tekstem o punkach. I tak to właśnie odbyło się moje wejście na rynek niemiecki, czyli to, po co właśnie tutaj przyjechałem. I tak to moje wejście na rynek niemiecki dokonało się nie dzięki samym walorom literackim mojej prozy, a dzięki piłce nożnej. Piłka oddawała to, co kiedyś zabrała. Oddała w filmie „Księżstwo”, częściowo przez niezrealizowany film „Transfer”, teraz – przez transfer literacki na rynek niemiecki.

Następnego dnia wyruszyliśmy autokarem do Krakowa. Jechało z nami kilku niemieckich dziennikarzy, w tym jeden reporter „Der Tagesspiegel”, Lucas Vogelstang, który także grał w niemieckiej drużynie. Gościnnie grał też w ukraińskiej, gdy tych było za mało w Berlinie. Atmosfera w autokarze była bardzo przyjazna. Wszyscy się wymieszali, Ukraińcy siedzieli z Polakami, Niemiec z Polakiem, Polak z Ukraińcem. Jedna wielka pisarska rodzina. I chyba o to przede wszystkim chodziło w tym projekcie. Książka w grze. Wszyscy mocno poobijani po dwóch pierwszych meczach turnieju. To turniej dla zawodowców, nie rachitycznych twórców. Inna sprawa, że rachitycznych to tutaj nie było. Ale nawet zawodowcy nie grają na takim obciążeniu. Po jednym dniu grania są zwykle dwa – trzy dni przerwy. I kadra liczy 23 zawodników a nie 12-13, jak drużyna Polski w Berlinie. Ale cóż, trzeba sobie jakoś radzić. Żartujemy, że to prawdziwa ścieżka zdrowia dla intelektualistów, w starym komunistycznym stylu. Szkoda mi cały czas tej kontuzji – fizycznie jestem świetnie przygotowany. Jak dwa tygodnie temu graliśmy Mistrzostwa Europy Dziennikarzy w Krakowie, to były 3 mecze po 60 minut jednego dnia. Grałem 180 minut, a pierwszą i ostatnią bramkę zdobyłem właśnie w 180 minucie całego turnieju, w meczu z Czechami. Zatem – to było

dobrze przygotowanie, pół roku biegania interwałów po puławskich lasach. Raz zderzyłem się nawet czołowo z sarną w jednym z wąwozów w okolicy torów kolejowych. Dobrze, że to nie był samiec, bo ja nie mam rogów jak on, gorzej bym to zniósł. Rozmawiano o futbolu, o literaturze. O świetnej grze Polaków z Borussii, którzy właśnie ograli Bayern w Pucharze Niemiec. Wymienialiśmy uwagi o swojej prozie i poezji. Musiałem korzystać z pomocy Roberta Króla w tłumaczeniu na angielski i Romana Kołtonia w tłumaczeniu na niemiecki. Jak chcę istnieć na rynku niemieckim, gdzie jest tyle stypendiów i fundacji literackich, muszę się nauczyć niemieckiego.

Po drodze doszło w autobusie do niemiłego zgrzytu – typek, który nie powinien w ogóle u nas grać, bo nie wydał żadnej książki, ale na siłę zrobiliśmy z niego reżysera i scenarzystę, miał do mnie żal o to, że nie chciałem z nim pić w Berlinie – myślał, że jest w swoim klubie z ligi okręgowej na Mazurach. I mówi, że będzie robił zmianę kapitana. Wykorzystał moment mojej słabości i kapitana będzie zmieniał. Założyłem tę drużynę, poświęcałem mnóstwo czasu, żeby poskładać sensowną całość, która nie przegrywałaby 13:1, zapewniłem ludziom fajny 9 dniowy wyjazd, z którego wrócili jeszcze z kasą, mieli promocję w 3 krajach, a ten mi mówi o zmianie kapitana! I jeszcze mówi, że za mało z nimi piję. Ja do Berlina pojechałem grać w piłkę i zatratniać sprawy literackie, a nie upijać się. A więc i tutaj dopadły mnie obyczaje z okręgówki. Wziąć by było na salony, to jeszcze wierzga. Prawda jest taka, że moja rola kapitana ograniczała się do samych obowiązków, i to bardziej menedżerskich, a nie piłkarskich. To ja dogrywałem szczegóły wszystkich turniejów, w których uczestniczyliśmy. Chłopaki nie mogli mi od tej strony nic zarzucić. No i zajmowałem się praniem koszulek, jak zażartowałem, to była moja prawdziwa rola w tej drużynie.



Pierwsze co zrobiłem po przyjeździe do Krakowa, to poszedłem do kiosku przejrzeć gazety i tygodniki. Było mnóstwo recenzji filmu „Księstwo”. Wszystkie dobre albo znakomite. Nawet ci, co psioczyli na film w Gdyni, nagle twierdzili, że to film wybitny. No i moja proza zyskała. Niektórzy kiedyś zarzucali mi grafomanię, inni twierdzili, że średnia. Trafiliśmy z Barańskim do pism, których się nie spodziewaliśmy – do „Playboya”, do „K MAG”. W grudniu ubiegłego roku miałem rekomendację opowiadania wigilijnego w „Skarbie Rossmana”, ale „Playboy” to też nieźle. Po przyjeździe do Krakowa zaraz poszliśmy z Renią do naszej ulubionej knajpki z chińszczyzną, przy Plantach. Chodziliśmy tutaj podczas pierwszego pobytu w 2007 roku, podczas nauki w szkole scenariuszowej w latach 2008–2009, w drugiej połowie 2009 roku, jak przyszedłem tutaj pracować w Ha! arcie. Nigdzie

tak dobrze nie podają kalmarów na gorąco, jak tutaj. Podobno jeszcze w Hanoi, tak mówił mój tłumacz na wietnamski, ale tam nie byliśmy, żeby to sprawdzić.

Jeszcze nigdy polskim piłkarzom nie udało się ograć Niemców w oficjalnym meczu. Podobnie stało się w przypadku Reprezentacji Polskich Pisarzy. Po zwycięstwie w Berlinie nad Ukrainą i porażce z Niemcami Polacy nadal zachowali szansę na zwycięstwo w całym turnieju. Ale kolejnego meczu z Niemcami przegrać już nie mogliśmy. Wydawało się to realne – Niemcy do Krakowa przyjechali osłabieni brakiem kilku graczy. Za to w Polsce dokonano kilku wzmocnień – pojawili się pisarze, którzy nie mogli pojechać do Berlina ze względu na udział w Targach Książki i Tygodniu Bibliotek. Polacy zaczęli ostrożnie, Niemcy grali swoje. Bardzo szybko uwidocznił się brak na boisku najbardziej doświadczonego napastnika Polaków, czyli mnie. Osamotniony Jacek Janowicz niewiele mógł zdziałać przeciwko dobrze ustawiającym się obrońcom niemieckim. Niemcy coraz bardziej cisnęli. Zostałem zbadany przed meczem przez lekarza, brata Renaty Serednickiej. Okazało się, że mam zerwane włókna mięśniowe we mięśniu dwugłowym. Noga została zabandażowana i mogłem wejść na boisko. Strasznie kuśtykałem, ale moje niespodziewane wejście mimo kontuzji wyraźnie ożywiło naszą grę – akcje nabrały tempa, mnożyły się groźne dla Niemców sytuacje. Strzelali Janowicz, Masternak (głową). Najlepszą okazję zmarnowałem właśnie ja – po dośrodkowaniu Tomasa Pakuły wystarczyło dostawić stopę i piłka wpadłaby do bramki – niestety kontuzja nie pozwoliła na oddanie strzału. Próbowaliśmy, ale nie byłem w stanie zrobić gwałtownego ruchu w przód.

Do przerwy było 0:0. Niestety, wykruszyli się nam kolejni piłkarze, jak Marcin Karnowski (pokopana tydka), Łukasz Saturczak (doznał poważnej kontuzji psychicznej, zostawił koszulkę i buty i zniknął) Rafał Kmita (kontuzja mięśnia), Tomasz Jędrzejewski (kontuzja palucha), Krzysztof Gryko (poszedł nakarmić kota) i w drużynie pisarzy praktycznie nie miał kto grać. To wykorzystali Niemcy. Wygrali 2:0, po голу z rzutu wolnego, po bezmyślnym faulu Macieja Ranta tuż przed polem karnym, którego nie zdołał obronić Roman Kołtoń oraz po голу z akcji. W kolejnym meczu Niemcy ograli Ukrainę 4:0 i byli już zwycięzcami całego turnieju, na dwie kolejki przed końcem rozgrywek. Na mecz z Ukrainą w ogóle miałem nie wchodzić – jako kapitan zastąpił mnie Janek Grzegorzczuk. Ale nie mogłem się powstrzymać. Zwłaszcza, że przyszło sporo moich znajomych z Krakowa, w tym Paweł Murek, kolega z liceum w Opatowie, który pamiętał mnie jeszcze z gry w OKS-ie Opatów, a potem był moim kolegą na studiach prawniczych na UMCS w Lublinie. Był też świadkiem na mim ślubie z Renią w Krakowie, w 2006 roku. Noga bardzo bolała, więc szybko zszedłem, żeby oszczędzać się na Lwów. Wcześniej

uzupełniłem skład kilkoma ludźmi z miasta, żeby w ogóle miał kto grać. Pojawili się jakiś kabareciarz, aktor i krytyk literacki, których w ogóle nie znałem. Z nazwiska znałem tylko krytyka – Krzysztofa Fiołka. Wpuściłem go na boisko i strasznie się na niego wydzieratem, bo kompletnie nie wiedział, gdzie gra. W końcu ktoś znajomy mówi: „Nie krzycz na niego, bo ci kiepską recenzję napisze”. A ja na to: on nie pisze o prozie współczesnej, to gówno mi zrobi. I zdjąłem go z boiska. Polakom pozostało ograć osłabionych personalnie Ukraińców, co też uczynili. To dało nam drugie miejsce w Mistrzostwach, na dwie kolejki przed końcem turnieju, który przeniósł się do Lwowa.

Spaliśmy w hotelu Pod Wawelem. To urokliwe miejsce. Wieczór spędziliśmy pijąc dobre wino z Grzegorzkiem i Kołtoniem w pizzerii Mamma mia! Byliśmy już tutaj kiedyś. Romka wszyscy rozpoznawali, na koniec poprosili o wpis do księgi pamiątkowej.



Następnego dnia, 14 maja, w Willi Decjusza w Krakowie, w godzinach 19 – 21 odbył się wieczór autorski pisarzy-piłkarzy, uczestników Turnieju o Mistrzostwo Europy w piłce nożnej. Swoje teksty czytali autorzy z Niemiec, Polski i Ukrainy, którzy dotąd twardo walczyli na boisku. Gdy pisarze wychodzili przed publiczność, widać było skutki walki – wielu utykało, kilku miało podbite oczy. Z polskich autorów oprócz mnie swoje teksty prezentowali Jan Grzegorzcyk (obrońca), skecz o Pawle Janasie zaprezentował kabareciarz Jacek Janowicz (napastnik) z kabaretu „Widelec”. Moderatorem fragmentu spotkania był znany komentator sportowy Roman Kołtoń. Wszystkie teksty były dość zróżnicowane tematycznie i stylistycznie, wszystkie wywarły efekt na licznej publiczności. Spotkanie uświetnił swoją obecnością wybitny polski były piłkarz, a obecnie trener piłkarski Henryk Kasperczak, który ma ochotę na objęcie roli trenera drużyny pisarzy. Przeczytałem zupełnie inny tekst, niż ten w Berlinie. To był fragment opowiadania z książki II, „Niech żyje wolność” – „Diego Armando Goethe”. Jeden z pierwszych, jakie w życiu napisałem. O przygodzie z niemiecką turystką na polach Grunwaldu, w rocznicę bitwy. Niemcy wysłuchali go z uwagą, w odróżnieniu od żartobliwego tekstu z Berlina.

Po przeczytaniu tekstu od razu wsiedliśmy z Renią w taksówkę i pojechaliśmy na dworzec autobusowy. Ominęła nas dobra kolacja w Willi. Tutaj zawsze były dobre kolacje. Pamiętamy, pamiętamy! Na dworcu czekali Żadan z Seirhienką, oraz Christoph Nussbaumer. Znowu jechaliśmy jak w kawale, tylko Rusek i Niemiec się zmienili, a właściwie było dwóch Rusków, Niemiec i żona Polka. Było tak tłoczno, że nawet nie dało się

pogadać. Na granicy celnicy zatrzymali studenta z Ukrainy, któremu skończyła się wiza. Zakuli go w kajdanki i zabrali do aresztu. Ukraina kompletnie nie jest gotowa do Euro. Do Lwowa przyjechaliśmy na 6.00. Pojechaliśmy taksówką do Hotelu Świesław na obrzeżach Lwowa, w dzielnicy Winniki. Był najlepszy ze wszystkich, w których spaliśmy.

O godzinie 13.00 w sali konferencyjnej klubu Karpaty Lwów, niedaleko rynku, odbyła się konferencja prasowa trzech kapitanów reprezentacji pisarzy z Polski, Ukrainy i Niemiec. Polaków reprezentowałem ja. Licznie zgromadzeni przedstawiciele mediów mogli posłuchać dyskusji o roli piłki nożnej we współczesnym świecie, a także zadawać pytania. Mówiłem po polsku, bo wszyscy rozumieli. Konferencja była co najmniej jakbyśmy się sposobili do rozgrywek Champions League. W sumie – Karpaty grały w Lidze Europejskiej, mają doświadczenie. Na koniec kapitanowie rozmawiali o kolejnym projekcie – kształtującym się zamiarze utworzenia od przyszłego roku Ligi Europejskiej Pisarzy.

Następnie poszliśmy z Żadanem i Christophem do restauracji Zenuk przy rynku. Była to restauracja mafijna. Zenuk jak Zenek, ojciec Renaty, żartowałem. W kącie gruby mafiozo liczył kasę i związał w rulon, obwiązywał gumką. Miał trzech ochroniarzy. Bez przerwy ktoś przychodził w pokłonach i wręczał mu zwitki pieniędzy. Haracze zbierał czy co? No i ten rachunek za obiad – horrendalny.

Po konferencji udaliśmy się z Renią na zwiedzanie Lwowa. Miasto strasznie się zmieniło od mojej ostatniej wizyty, ponad 10 lat temu. Wtedy więcej osób mówiło tutaj po rosyjsku, łatwiej było mi się tutaj dogadać. Obeszliśmy centrum miasta, ale było strasznie drogo, drożej niż w Warszawie, drożej niż w Berlinie. Czyżby to już były ceny na Euro? Początkowo sądziłem, że może coś źle przeliczam, ale nie. Kalkulator miałem dobry. To ceny na Ukrainie zwariowały. Pojechaliśmy marszrutką, miejscowym śmierzącym bussem, których tutaj mnóstwo, w strasznie kiepskim stanie, ogromnie zatłoczonym. Jednym ich plusem było to, że były tanie, 2 hrywny, czyli około 80 groszy. W Polsce jednak znacznie drożej pod tym kątem. W Berlinie – to prawie 8 złotych. Jeździliśmy po rozkopanym Lwowie, całe arterie rozkopane. Jakby chcieli się dokopać do przedwojennej Polski. Ceny w sieciówkach były o 30 procent wyższe niż w Polsce. Wymieniłem sporo kasy na hrywny – nie opłacało się, bo nie było sensu kupować drożej tych samych towarów co w Polsce i jeszcze wieźć do domu. Poszliśmy na pizzę, przynajmniej była dobra.

Okazało się, że reszta ekipy także miała kłopoty na granicy – ukraińscy celnicy zatrzymali tureckiego napastnika Niemców – Hakkana. Zapominał

ze sobą niemieckiego paszportu, miał tylko turecki. A Turcy na Ukrainie muszą mieć wizy. Turek musiał wracać do swego kraju na stopa, koledzy się zrzucali. Żeby wjechać na Ukrainę, trzeba było się zrzucić i zapłacić 100 euro. Ot, przygotowanie pod mistrzostwa Europy.

Ekipa, gdy tylko dotarła do Lwowa wieczorem, wybrała się na zwiedzanie. Nie wszyscy wrócili przed meczem trzeźwi. Nie chciałem się bawić w Smudę, ale trzeba będzie po turnieju coś zrobić. Jeżeli rachunek za wczorajszy obiad wydał się nam wysoki, to oczy ze zdziwienia przecieraliśmy, kiedy rano przed meczem zostaliśmy zawiezieni z hotelu, gdzie nie było śniadań dopisanych do rachunku, do restauracji. Na początku nie chcieli nas wpuścić w spodenkach, tenisówkach albo w kurtkach. Potem okazało się, że to chyba najdroższy lokal w mieście. Z kartami dań osobnymi dla Ukraińców, Niemców i Polaków. Niemcy mieli płacić 3 razy drożej niż my za te same dania! Wszyscy wymykali się stamtąd. Najpierw Ukraińcy, potem Polacy, na końcu połowa Niemców. Oblegliśmy budkę z hamburgerami, frytkami i zapiekankami. Kto pomyślał, żeby prowadzić biednych pisarzy i poetów do najdroższego lokalu w mieście? W dodatku na odległość pachnącego mafią i praniem brudnych pieniędzy? Chyba że ktoś miał w tym interes, robił za naganiacza. Najgorsze, że na koniec organizator i tak musiał za wszystko zapłacić – za kotleta z frytkami i surówką. Innego dania do wyboru nie było. Zdziwiły nas te obyczaje.

Ukraina próbowała gonić Europę, ale bliżej stąd (mentalnie) jednak było do targu w Astanie albo Tbilisi niż do Krakowa.

Przed meczem znów byliśmy na spacerze. Pod jednym z pomników zagadnął nas dziadunio z towarzystwa polonijnego. Zapytał, czy my z Polski. Gdy potwierdziłem, ucieszył się. Powiedziałem, że przyjechaliśmy odbić Lwów. Zaczął wtedy przeklinać Stalina. Że zabrał Lwów od Polski. A potem sprzedał nam mapy Lwowa po 5 złotych. Drożej niż w kioskach. Ale architektura była zachwycająca, jakże odmienna od tej z Polski, czy Berlina.



Udaliśmy się 16 maja na stadion treningowy klubu Karpaty Lwów. Ja z postanowieniem gry od pierwszej minuty. Mówię do Ranta: „Bierz torbę z koszulkami!” Ten, że on nie będzie nosił toreb. Ja na to: „No to chcesz rządzić, być kapitanem, a toreb nie chcesz nosić? A przecież to do tego sprowadza się moja rola.” Zapanowała niezręczna cisza. Dobrze, że zjawił się Nazar Litun, to rozładowało atmosferę. Poznaliśmy się kiedyś na orliku w Puławach. Dzisiaj poszedłem pograć z kuzynami na orlika. Zagraliśmy mecz z zebranymi tam kopaczami, głównie dzieciakami.

Najlepiej z nich grał niepozorny gość, myślałem, że przyszedł pokopać z synkiem. Mecz był zacięty, ja grałem w jednej drużynie, ten koleś w drugiej. Co ja strzeliłem gola, to ten znów wyrównał. Byliśmy najlepsi w swoich drużynach. Trochę się wkurzyłem, bo ten koleś był jednak ode mnie minimalnie lepszy, szybszy. Raz go nawet chamsko sfaulowałem, bo myślałem sobie, co to mnie będzie jakiś sprzedawca butów albo mebli ogrywał. Okazało się, że ten gość to znany ukraiński piłkarz, wychowanek zespołu Karpaty Lwów, obecnie gracz drugoligowego Motoru Lublin, z szansami na awans do I ligi. W dodatku 25-letni. To żaden wstyd przegrać 20:18 z takim przeciwnikiem. Aż mi piłkarskie morale wzrosło. Za kilka dni mój zespół ograł jego ekipę, a ja byłem najlepszy na boisku. Przybyło wiele ukraińskich mediów. Podobnie jak w Niemczech, tutaj także było to wydarzeniem. Tylko nie w Polsce.

Polacy przystąpili do ostatniej fazy turnieju z 6 punktami za wygrane w meczach z Ukrainą. Niemcy mieli 12 punktów za 2 wygrane z Ukrainą i 2 z Polską. Ukraińcy mieli zero punktów. W pierwszym meczu turnieju we Lwowie zmierzyły się reprezentacje Polski i Ukrainy. Od początku Polacy narzucili swój szybki, agresywny sposób gry. Wróciłem do gry mimo kontuzji (naderwany mięsień dwugłowy podudzia) i siła ofensywna polskich literatów znacząco wzrosła, czego brakowało w pierwszym meczu z Niemcami w Berlinie oraz w dwóch meczach w Krakowie. Polacy grali najlepiej pod koniec turnieju. Dość szybko zdobyli gola na 1:0 – Jacek Janowicz nie trafił dobrze w piłkę, a ta wturlała się do bramki, mijając zaskoczonego Siarhija Żadana. Niedługo później doszło do sytuacji niezwyklej – mimo że ledwie dreptałem po boisku, dostałem dobre podanie w pole karne od występującego gościnnie w drużynie pisarzy Nazara Lituna i huknąłem obandażowaną nogą z całej siły! Piłka odbiła się od poprzeczki nad głową bramkarza i wpadła do bramki. Uderzenie było tak silne, że odpadła farba w miejscu, gdzie piłka trafiła w poprzeczkę. Od tej chwili Polacy kontrolowali grę. Co prawda w drugiej połowie Ukraińcy, wzmocnieni posiłkami ze Lwowa, zdołali zdobyć gola (w rzeczywistości było to samobójcze trafienie stopera Macieja Ranta, (ak się pije piwo na godzinę przed meczem, to tak to bywa, niestety), ale chwilę później Jacek Janowicz przedryblował w swoim stylu paru przeciwników i ustalił wynik spotkania na 3:1. W tym momencie Polacy tracili do Niemców tylko 3 punkty.

Kolejny mecz Polacy grali z Niemcami, którzy w 4 poprzednich meczach nie stracili ani jednej bramki, a zdobyli ich aż 10. Znowu pojawiłem się od pierwszej minuty na boisku. Niemcy mimo kontuzji obawiali się mnie najbardziej i nie zawiodłem ich – pod koniec pierwszej połowy otrzymałem świetne podanie

z rzutu różnego od grającego znakomicie na obiektach swego byłego klubu Nazara Lituna i przyjąwszy piłkę na klatkę piersiową w okolicy jedenastego metra uderzyłem z powietrza z półwoleja, z fąsza. Kontuzjowaną nogą. Piłka dostała rotacji i wpadła w samo okienko zaskoczonego kompletnie niemieckiego golkipera. Niemcy byli wściekli. Myślałem, że zrezygnuję z wydania mojego opowiadania w antologii. Frank Wilmann był wnerwiony. Po tej bramce Roman Kotłor, zastępujący Andrzeja Grajewskiego w roli trenera, zdjął mnie z boiska, bo nie mogłem już chodzić. Dokonałem nie lada wyczynu – zdobyłem dwa piękne gole mimo poważnej kontuzji.

Chwilę potem boisko opuścił drugi napastnik – Janowicz, który także doznał kontuzji podudzia. Do ataku został przesunięty Nazar Litun, który tego dnia zaliczył aż 3 asysty. Polacy cały czas atakowali. Dwie stuprocentowe okazje w drugiej połowie zmarnowali Krzysztof Gryko i Tomasz Pakuła. Świetny mecz grali Jan Grzegorzcyk i Maciej Rant, oraz Tomasz Jędrzejewski i Marcin Karnowski, którzy byli nie do przejścia w obronie. Na pomocy znakomicie radzili sobie Maciej Robert, Mirosław Samosiuk i Marcin Pawlik. Nagle jeden Niemiec (autor książek dla dzieci) krzyknął „Szajse!”. Jeden z Polaków myślał, że to było „Szwalne” i się pobili. Autor książek dla dzieci był najbrutalniejszy na boisku. Ale Niemcy grali ambitnie do końca. Na 3 minuty przed końcem spotkania dobrze spisujący się bramkarz Polski Jan Wojtyński popełnił błąd i szybki napastnik niemiecki, wychowanek Werderu Brema, zdobył wyrównującą bramkę. Należy żałować, bo Polska była zdecydowanie lepsza w tym spotkaniu. Był to 10 punkt dla Polski. Bramkarz niemiecki nazwał mnie potem w wspaniałym piłkarzem. I opisał mojego gola w swoim dzienniku z Mistrzostw, zamieszczonym na stronie DFB. Jakaż satysfakcja! Doceniony przez Niemców, najlepszych piłkarsko w Europie! Niemcy powiedzieli, że jakbym był w Berlinie na stypendium literackim, to mogę z nimi trenować. Jakbym się pewnie uparł, to mógłbym pewnie nawet zagrać w ich drużynie. I i ten Turek Hakkan, tworzylibyśmy bramkostrzelny atak.

W ostatnim meczu Niemcy zremisowali z Ukrainą 1:1 i zdobyli 14 punkt. Ukraińcy na ośłodę zdobyli wreszcie 1 punkt. Ostatecznie to Polska wygrała miniturniej we Lwowie (4 punkty), 2 miejsce Niemcy (2 punkty), 3 miejsce Ukraina (1 punkt). W klasyfikacji generalnej wygrali Niemcy (14 pkt) przed Polską (10 pkt) i Ukrainą (1 pkt). Najlepszym strzelcem mistrzostw został Jacek Janowicz (5 goli), ja zająłem z 3 golami trzecie miejsce. Turniej zakończyła dekoracja zawodników w budynku mera Lwowa oraz uroczysta kolacja. Niestety, mer się nie pojawił, tylko jakiś jego przydupas. Ale wino było dobre.



Turniej uważam za bardzo udany. Przed jego rozpoczęciem zakładałem, że taka będzie klasyfikacja końcowa – po prostu Niemcy grają ze sobą najdłużej, w większości pochodzą z Berlina, więc mogą trenować ze sobą dwa razy w tygodniu. My praktycznie wszyscy widzimy się tylko na turniejach. Ale i tak była szansa na lepszy wynik. Gdyby nie moja kontuzja, nie przegralibyśmy meczy z Niemcami w Berlinie i Krakowie. Szkoda, bo byłem świetnie przygotowany – przez ostatnie pół roku trenowałem po 5–6 razy w tygodniu, osiągnąłem formę, jakbym był 10 lat młodszy. Ale cieszę się, że mimo bólu dałem radę zdobyć jeszcze 2 gole, mimo że lekarze odsyłali mnie do szpitala.

Stacja RBB zrobiła fantastyczny reportaż w „Kowalski&Schmidt”, zarejestrowali moją piękną bramkę. 40 minut nagrywaliśmy, koledzy wrzucali, żebym strzelił coś fajnego, a dopiero udało się podczas meczu strzelić coś rewelacyjnego. Jednak obecność kamer zawsze mnie uskrzydlała. Na jednych działa deprymująco, mnie zawsze pomagały. A potem przychodziły pocztą gazety.

Wracając ze Lwowa zadzwoniłem do mojego 6-letniego synka Wiktorka, że wiozę dla niego puchar za drugie miejsce. On się pyta, czy większy, niż ten, co przywożem ostatnio, za udział w MEDIA CUP. Ja mówię, że nie. A Wiktor na to: „To wiesz co, tato, to lepiej nie przywoż”.



Autor – znany pisarz, scenarzysta i sportowiec pochodzi z Piórkowa.

Mój Tata

Marek Axentowicz

Urodziłem się w Kielcach w 1934 roku, gdzie pięć lat wcześniej zamieszkał mój Tata – Grzegorz Axentowicz, który w latach 1929 – 1939 był dyrektorem Izby Rzemieślniczej. Bardziej z opowiadań niż z własnej pamięci wiem, że mieszkaliśmy przy ulicy Szerokiej 28 (obecnie ul. Stefana Żeromskiego). Tata bardzo dobrze zarabiał – 1200 zł. miesięcznie, a Mamie dawał na utrzymanie domu 200 złotych. Mieszkaliśmy we czworo: Tata, Mama, mój brat przyrodni – Alik, no i ja. Była też służąca, która oprócz wikt i opierunku dostawała 10 złotych miesięcznie.



Kielce od strony katedry w okresie międzywojennym.

Rodzice utrzymywali rozległe stosunki towarzyskie: z moim wujkiem (ze strony Mamy) – Wiktorem Wojtowiczem, z moim ojcem chrzestnym – inżynierem Eugeniuszem Zagrodzkim, nauczycielką z Mastowa – siostrą Taty – ciocią Marysią, poetą kieleckim Eugeniuszem Żytomirskim i wielu innymi. Z Kielc robiliśmy wycieczki do Buska, a tuż przed wybuchem wojny pojechaliśmy do Krynicy, Rabki i Zakopanego.

Miałem zaledwie 5 lat jak skończył się nasz kielecki epizod. Wybuchła wojna. Pamiętam paniczną ucieczkę w kierunku południowo-wschodnim, na Pokucie, skąd pochodził mój Tata i gdzie mieszkał wtedy Jego ojciec. Pamiętam do dziś małą maskę gazową, w którą Tata nas wszystkich zaopatrzył. Pamiętam okropności wojny, naloty, strzelaniny, pożary, kłopoty z jedzeniem i trudności ze zdobywaniem benzyny. Tłumy na szosach, przerażenie ludzi.

Siedemnastego września zamiast jechać dalej – wracamy. Bolszewicy bez wypowiedzenia wojny wkroczyli do Polski. Tata uznał, że bezpieczniej będzie wracać do domu. Ale w Kielcach już byli Niemcy. Wkrótce Tata został zamknięty w więzieniu jako zakładnik – podobnie jak wiele innych prominentnych osób z Kielc. Dość szybko wyszedł na wolność, prawdopodobnie dzięki doskonałej znajomości niemieckiego wyniesionej z austriackiego gimnazjum. Gdy znalazł się w domu, natychmiast zarządził likwidację mieszkania i przenosiny do Warszawy.

Dzięki tej decyzji jeszcze w końcu września znaleźliśmy się w domu mego dziadka – Gracjana Wojtowicza, ojca mojej Mamy, przy ulicy Karowej 5. Dziadek był prezesem Zarządu Kluczewskiej Fabryki Papieru z siedzibą w Warszawie przy ulicy Moniuszki 2A. Sytuacja materialna dziadka była dobra, nic więc dziwnego, że w jego domu spotykały się całe rodziny Wojtowiczów i Axentowiczów – uciekinierzy z Kresów, oficerowie, którzy nie chcieli iść do niewoli, ciocie szukające zaginionych mężów – cała ta bieda wojenna próbująca jakoś organizować sobie życie w okupacyjnych warunkach.



Mama.



Grzegorz Axentowicz w latach trzydziestych XX wieku.



Dziadek Gracjan Wojtowicz.



Wiktor Wojtowicz.

Ponieważ rodzina Wojtowiczów była bardzo uzdolniona muzycznie, w domu dziadka odbywały się regularne koncerty fortepianowe w wykonaniu prof. Boleśława Woytowicza z udziałem jego siostr i braci. Pamiętam też czytanie „gazetek”, czyli *Biuletynu Informacyjnego AK*, wieczorne dyskusje polityczne przy blasku „karbidówki”, nieustanny lęk wszystkich o swoich najbliższych. Ale oprócz grozy wojny, łapanek, egzekucji, różnego typu prześladowań – były też miłe chwile. Do takich należały przejażdżki rowerowe wzdłuż Wisły. Odbywaliśmy je z Tatą dość regularnie. Była to okazja dla mego Taty do przekazywania mi różnych życiowych porad, instrukcji postępowania przyzwoitego człowieka, stałe podkreślanie: „pamiętaj – jesteś Axentowiczem”. Dziś, z perspektywy całego życia, widzę ile życiowej mądrości miał ten ówczesnie tylko czterdziestoletni mężczyzna.

Sporo z tamtych rad i zaleceń starałem się przekazać memu Synowi, też Grześkowi. Tuż przed swoją śmiercią w tatrzańskim lawinie (30 grudnia 2009) – Grzesiek napisał list do swego rocznego synka – Jasia. W liście, jakże proroczym, udzielił malutkiemu Jasiowi kilku życiowych wskazań. List zaczyna się od słów:

Mój kochany Synu! Masz dopiero 1 rok i dwa miesiące, a ja już myślę o Tobie, o Twojej przyszłości, o tym jaki będziesz. Dopiero teraz, gdy sam zostałem tatą, zaczynam rozumieć własnego Tatę. Przepraszam za niewyraźne pismo – piszę ten list w autobusie do Zakopanego, strasznie trzęsie!

Moi Rodzice wpajali mi wiele rzeczy, często się przeciw nim buntowałem, często je ignorowałem, a nawet jak się z nimi zgadzałem, to i tak postępowałem inaczej. Teraz nagle okazuje się, że (sam nie wiem jak to się stało) jestem tymi wartościami prześląknięty.

Jak wiele poglądów mego Taty przeszło na Jego wnuka, a da Bóg i przejdą na prawnuka! Takie rady, jak „nie pożyczaj nikomu – dawaj”; „stawiaj na outsiderów”; „stawaj zawsze po stronie słabszych” – do dziś jakże są aktualne. Było jeszcze jedno zalecenie – „Twoje zdrowie i życie jest najważniejsze”: to był silny ślad dominującej miłości rodzicielskiej, nie bardzo pasujący do całej życiowej filozofii – tak, jak to często w życiu bywa.

Inne ważne wspomnienie: Jest kwiecień 1943 roku, płonie warszawskie getto. Z moim przyrodnim bratem Alikiem Lubarskim jedziemy ciuchcią – kolejką wąskotorową, z Warszawy do Michalina, do letniego domu wujostwa Sarneckich.

W Falenicy łapanka Żydów, Niemcy wygarniają wszystkich z pociągu i po pobieżnej selekcji według wyglądu kierują łapanych na posterunek policji. Moje ormiańskie rysy twarzy, śniada cera, wielki nochal powodują, że zostaliśmy zaliczeni do grupy pędzonej na komisariat. Granatowy policjant szeptem mówi – „idziecie na rozstrzelanie, jeśli ktoś ma szanse

udowodnić, że nie jest Żydem, niech poda mi numer telefonu kogo mam zawiadomić”; brat podaje telefon Taty, który błyskawicznie przyjeżdża i nas uwalnia. To był prawdziwy cud. Tego strachu i tej radości nie zapomnę do końca życia.

Podczas trwania całej okupacji widziałem jak bardzo zajęтым człowiekiem był mój Tata. O tym, że był w Armii Krajowej i że pomagał Żydom – dowadywałem się jeszcze długo po Jego śmierci. Po wyprowadzeniu się od dziadka zamieszkaliśmy w parterowym mieszkaniu przy ulicy Filtrowej 81 m 12. Tata kupił to parterowe mieszkanie, bo było najbezpieczniejsze podczas bombardowań. Przez to mieszkanie przewijał się tłum bliższych i dalszych kuzynów, ciotek, różnych znajomych. Łatwo można się było zorientować, że wiele z tych osób korzysta z różnych form pomocy. Wychowywałem się wśród smagłych ormiańskich krewnych oraz klanu Wojtowiczów, bywali też u nas dawni znajomi z Kielc jak np. p. Eugeniusz Żytomirski.

Gdy wybuchło sierpniowe Powstanie Warszawskie w domu zostajemy sami z moją Mamą. Tata wychodząc z domu powiedział mi: „– pamiętaj, jesteś jedynym mężczyzną w domu, opiekuj się Mamą”. Pokazał mi też gdzie leży złoty, kieszonkowy zegarek – pamiątka po ojcu Taty. Ten zegarek wyniosłem z domu w małym tobotku, gdy żołdacy RONA wyrzucali wszystkich mieszkańców z domu i prowadzili nas na tzw. „zieleniak”. Przez ten dawny plac targowy przy ul. Grójeckiej przeszła cała Ochota, kierowana stamtąd do Pruszkowa, do obozu przejściowego Dulag 121 – zlokalizowanego w Warsztatach Naprawczych Taboru Kolejowego. Ten zegarek przeszedł ze mną całą popowstaniową wędrówkę i mam go do dziś.

Podczas kolejnego przeglądu, nieuczciwy zegarmistrz wyjął ze środka dwie zapadki, przestał działać repetier. Gdy ostatnio wizytowałem mego byłego szwajcarskiego szefa pana Albrechta Sandmeiera poprosiłem go, żeby odnalazł producenta tych zegarków – firmę La Phare i zlecił dorobienie brakujących części. Okazało się, że cała seria takich zegarków została wyprodukowana na zlecenie cesarza austro-węgierskiego Franciszka Józefa z przeznaczeniem na upominki dla wyróżniających się pracowników. Mój dziadek ze strony Taty był dróżnikiem na przejeździe kolejowym pod Czerniowcami – musiał dobrze wywiązywać się ze swoich obowiązków, skoro dostał zegarek od samego cesarza.

I jeszcze jedna historyjka o Tacie i złocie. Po upadku Powstania, gdy tylko Tata znalazł się na wolności, wpadł na pomysł i zrealizował sprawę wydaje się niewiarygodną. Dogadał się z jakimś kapitanem Wehrmachtu i jego ciężarówką pojechał do naszego spalonego domu w Warszawie. Po odnalezieniu

piwnicy, w której ukrył pod węglem złote monety i różne precjoza, cały znajdujący się w niej popiół załadował do skrzyń i przywiózł do Milanówka. Te skrzynie towarzyszyły nam do końca życia Taty. Nawet UB robiąc u nas wielokrotnie rewizje, nie wpadło na pomysł, żeby sprawdzić, dlaczego w piwnicy jest tyle popiołu. A my, ilekroć bieda zaglądała nam do oczu – szliśmy do piwnicy sitkować popiół. Zawsze na sicie znalazła się jakaś bryłka szerniatego złota, którą można było sprzedać jako złom.

Po wojnie osiedliśmy w Łodzi. Tata został jednym z dyrektorów Centralnego Zarządu Przemysłu Papierniczego. Za utrudnianie nacjonalizacji przemysłu został skazany w pokazowym procesie na 8 lat więzienia. Rzeczywistym powodem takiego wyroku był fakt, że podczas wojny dostarczał papier do druku *Biuletynu Informacyjnego* Armii Krajowej. Z więzienia wyszedł na urlop zdrowotny, na którym przebywał do końca życia, pracując jednocześnie w Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia I Telewizji jako główny księgowy. Dość dziwna to była konfiguracja.

O śledztwie, więzieniu itp. nigdy ze mną nie rozmawiał. Do końca życia zachował pogodę ducha, trzeźwość sądów, uśmiech na co dzień. Miał ogromną łatwość nawiązywania kontaktów, lubił niedzielne, koleżeńskie spotkania w kawiarni. Znany był ze świetnych przemówień na różnych rodzinnych uroczystościach. Ze wszystkich sił wspierał swoich bliskich. Dla mnie było to nieraz dość denerwujące. Na przykład, zaraz po wyjściu z więzienia, gdy ja miałem jakieś jedno nędzne ubranie i jedne buty – Tata kupił swojej siostrze, a mojej cici, Lali wspaniałe kożuch. Gdy spytałem dlaczego to zrobił wytłumaczył mi, że ciotka jest młodą kobietą, wdową po powstańcu i powinna ładnie wyglądać i trzeba ją dowartościować. My sobie łatwiej poradzimy. Każdą pomoc starał się robić maksymalnie dyskretnie, żeby nie urazić obdarowanego.

Ten styl poznałem też na sobie. Było to w roku 1952: przed maturą, za namową najbliższych sąsiadów z ławek szkolnych – Janka Krysińskiego i Tomka Glucka, tak jak i oni, złożyłem papiery na Politechnikę Łódzką na Wydział Mechaniczny. Po udanym zaliczeniu egzaminów wstępnych z fizyki i matematyki zdawałem ustny egzamin z Nauki o Polsce. Gdy wyciągnąłem kartkę z pytaniami: „Życiorys Bolesława Bieruta” i „Bohaterski generał Karol Świerczewski” poczułem się studentem, bo oba tematy miałem „wykute na blachę” z książki o NOP-ie. Po wyrecytowaniu odpowiedzi za zdziwieniem zobaczyłem, że egzaminator dziękując mi za odpowiedź wpisuje dwójkę do leżącej przed Komisją Karty Egzaminacyjnej. Poprosiłem zdającego niedługo po mnie Jurka Biele z równoległej klasy XI c, żeby zobaczył stopień przy moim nazwisku. Potwierdził, że to dwójka. Oczekałem do końca egzaminu i gdy wychodził „mój” egzaminator (nazywał

się Amsterdamski) podszedłem do niego pokazując podręcznik NOP z tekstem identycznym do tego, który wygłosiłem na egzaminie i prośbą o sprostowanie zapewne pomyłkowo wpisanej dwóki. Usłyszałem w odpowiedzi, że Polska Ludowa potrzebuje młodych ludzi do Służby Polsce na budowie Nowej Huty i tam powinienem poszukać swego miejsca w życiu. Na studia nie zostałem przyjęty.

W tym 1952 roku zaczął się rok akademicki na Politechnice Łódzkiej już 1 września. Wtedy właśnie na Lipki, do letniego domu mego dziadka, gdzie chwilowo spędzałem czas, przysłała depesza zawiadamiająca mnie, że zostałem przyjęty na studia i mam się zgłosić do Dziekanatu. Depesza była podpisana – Józefowicz. Pomyślałem, że ojciec Edka – naszego kolegi klasowego – dziekan wydziału chemii, załatwił mi przyjęcie na studia i radośnie pojechałem do Łodzi, zostałem studentem. O podziękowaniu Edkowi jakoś zapomniałem. Po latach, gdy chciałem to zrobić, prof. Józefowicz już nie żył, a Edek powiedział, że nic o tym nie wie i, że jego ojciec nie interweniował w mojej beznadziejnej sprawie. Wtedy zrozumiałem, że to moje dostanie się na studia zawdzięczam na pewno moim Rodzicom, bo przecież tylko Oni znali mój adres wakacyjny, a podpisali Józefowicz, żebym nie zorientował się, że to Oni mi pomogli. A już po ich śmierci mój najserdeczniejszy kolega i przyjaciel – Andrzej Sochor, gdy snułem przed nim domysły, kto mi załatwił przyjęcie na studia, powiedział, że to mógł załatwić kwestor Politechniki – pan Aulich, który studiował na Wydziale Prawa Uniwersytetu Lwowskiego razem z moim Tatą. Pewno tak to się odbyło. Studia skończyłem w 1957 roku, a 30 listopada 2007 odebrałem złoty dyplom na 50-lecie otrzymania stopnia mgr inż. mechanika.

A dlaczego dostałem dwójkę na egzaminie wstępnym z NOP, wyjaśniło się w 1968 roku. Otwierałem wtedy przewód doktorski na Politechnice Warszawskiej. Dostałem pismo Dziekanatu Wydz. Mechanicznego PŁ z prośbą o przekazanie moich dokumentów na PW. Gdy odebrałem je w Łodzi znalazłem tam opinię Szkolnego Koła ZMP podpisaną przez kol. kol. Szczukusa i Pisere stwierdzającą, że nie jestem członkiem ZMP i jako jednostka aspołeczna nie nadaje się na studia wyższe.

To Tacie zawdzięczam przyjęcie na studia i całą przyszłą tzw. karierę. Minęło od tamtych egzaminów równo 60 lat i dopiero teraz choć tym wspomnieniem mogę powiedzieć Tato – dziękuję.

Nałęczów, 11. 11. 2012 r.

Fotografie – ze zbiorów rodzinnych.

O produkcji granatów w Białogonie

Maciej Wijas

Produkcję granatów oraz zapalników w Kieleckiej Fabryce Granat szczegółowo opisał dr Jan Główka. Konspiracyjne ich wytwarzanie w czasie II wojny zaprezentowali Zygmunt Firlej ps. *Ryba*, *Kajtek*. Dość powszechna jest wiedza dotycząca producentów skorup („K” – Końskie, „M” – Warszawa, „W” – Wilno). Znanе są także skorupy z innymi sygnowaniami, m.in. „B”.

Natomiast nieznana jest produkcja skorup granatów przed wybuchem II wojny w Zakładach Mechanicznych i Odlewni Żelaza w Białogonie. Pierwsza pewna informacja pochodziła od mojego stryja Józefa Wijasa, pracownika zakładów. Jego pierwszym zadaniem jako młodego pracownika po przeniesieniu na ślusarnię było opitowywanie skorup granatów. Z relacji innych, dobrze w temacie zorientowanych osób wynika, że skorupy te zaczęto w Białogonie produkować w marcu 1939 roku, to jest od chwili znacznego pogorszenia się stosunków z Niemcami. Prace wykonywali najlepsi formierze, wśród których wyróżniał się Józef Chłopek.

Proces produkcyjny rozpoczynano wykonanie modelu, z którego powstawały cztery sztuki skorup. Efektywność produkcji określa się na 15 skrzynek dziennie; 4 x 15 – 60 sztuk.

Nowy odlew powstawał dwa, trzy razy w tygodniu. W sumie zatem ogólna liczba wykonanych odlewów była niewielka. Rdzenie w celu nadania jak największej gładkości pokrywane były grafitem (tak zwane *szwarcowanie*). Do zakładu przyjeżdżał oficer nadzorujący w stopniu kapitana, który dokładał do żeliwa prawdopodobnie krzem, który podczas wybuchu zwiększał fragmentację skorupy.

Uruchomienie próbnej produkcji granatów było przygotowaniem do seryjnego ich wytwarzania w czasie wojny. Odlewy były opitowywane, otaczane oraz gwintowane, a gotowe wyroby odsyłane do kieleckiej fabryki Granat. Pierwszą z prezentowanych skorup znalazłem na terenie zakładu za odlewnią w 1979 roku. Jest to odrzut z produkcji, niegwintowny, ale z widoczną sygnaturą „Bł.” Drugi egzemplarz, także odrzut z produkcji, otrzymałem od Wojciecha Soboty, długoletniego pracownika KFP Białogon. Trzeci podarował mi Zbigniew Jaroński z Dobromyśla. Znalazł ją w Jarońskich Lesie. Skorupa jest gwintowana, ale nieopitowana, brak sygnatury wytwórcy. Z przekazu ojca Z. Jarońskiego wiadomo, że w czasie

wojny w lasku, w którym znaleziona została skorupa, partyzanci testowali zapalniki do granatów.

W czasie wojny Niemcy uruchomili w Granacie – Hasagu produkcję polskich granatów obronnych, ponieważ nie posiadali własnych.



Granat obronny wz. 33 z zapalnikiem wz. 31.



Skorupa granatu sygnowana Bł – Białogon

Literatura i źródła:

- *Fabryka tożysk Tocznych Iskra Spółka Akcyjna w Kielcach 1897-1997*. Wyd. Muzeum Narodowego, Kielce, 1997.
- Firlej Zygmunt, *W kedywie i w Burzy*, Wyd. LSW, 1988.
- Matynia Józef, Józef Zawadzki – informacje ustne.

Biblioteka w gminie – gmina w bibliotece

Andrzej Dąbrowski

Jako bibliotekarz i obserwator procesów zachodzących w kulturze regionu świętokrzyskiego zadałem sobie pytanie o jej priorytet, filar, o to, co ma znaczenie fundamentalne dla tradycji i dla przyszłości.

Z szacunkiem odnoszę się do różnych form działalności kulturalnej w gminach, do kultury ludowej, stroju, śpiewu, obyczaju, szanuję orkiestry strażackie i talent muzyków amatorów, ale stawiam na kulturę opartą na słowie, na obecności książki w procesie wychowania dzieci i młodzieży, na rozwój i samokształcenie, na organizację czasu wolnego w kontakcie z literaturą i publicystyką, na udział biblioteki w tworzeniu żywego środowiska kulturowego w społecznościach lokalnych.

Zaniedbywanie kultury opartej na słowie – mówionym, pisanym pozostawi negatywne trwałe ślady w kolejnych pokoleniach mieszkańców gmin i powiatów. To od niej – w połączeniu ze szkolną edukacją – zależy sprawność młodego człowieka w nazywaniu otaczającego świata, jego opisywaniu, a więc jego rozumieniu, także jakości społeczeństwa obywatelskiego.

Niedawno jeden z włoskich pisarzy opowiedział w wywiadzie dla *Gazety Wyborczej* jak wygląda społeczeństwo obywatelskie w wydaniu włoskim i dlaczego Włosi tak licznie akceptują Berlusconi w wyborach do parlamentu. Otóż badania prowadzone przez językoznawców wykazały, że 2 miliony Włochów to absolutni analfabeci, zaś kolejnych 12 milionów – to analfabeci funkcjonalni, znający litery, ale nie potrafiący zrozumieć tekstu o średnim stopniu trudności. Zatem kilkanaście milionów ludzi zna wyłącznie obrazkową, uproszczoną wizję świata przekazywaną przez telewizję. Dodać trzeba, że właścicielem większości kanałów telewizyjnych jest Berlusconi. Nie znam wyników badań poświęconych skali polskiego analfabetyzmu, jednak przypuszczam, że mamy do czynienia z podobnymi problemami. Przy okazji jednego ze spotkań w naszej bibliotece dowiedziałem się od znakomitego socjologa prof. Śpiewaka, że 20% Polaków posiadających wyższe wykształcenie to funkcjonalni analfabeci.

Filozof języka Ludwig Wittgenstein tak oto określił zależność pomiędzy sprawnością językową człowieka a poziomem rozumienia świata: *granice twojego języka są granicami twojego świata*.

Sięgnąłem do materiału będącego analizą sytuacji kultury w polskich regionach przygotowanego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wynika z niego, że większość województw samorządowych w Polsce zmniejszyła środki finansowe przeznaczone na kulturę w roku 2013 w stosunku do roku 2012. Województwo Świętokrzyskie utrzymuje wydatki na bibliotekę regionalną na tym samym poziomie, dokładając nieco z tytułu rekompensaty wzrostu kosztów usług i utrzymania budynku. Stąd jak żadna inna biblioteka w naszym regionie z uniwersytecką włącznie możemy przeznaczyć ok. 450 tysięcy na zakupy zbiorów – książek, czasopism, wydawnictw multimedialnych zbiorów regionalnych. To dlatego rokrocznie mamy dwadzieścia kilka tysięcy czynnych czytelników odwiedzających bibliotekę regularnie.

Chciałbym jednak skupić się na bibliotekach gminnych. Wydatki samorządów świętokrzyskich na kulturę i ochronę dziedzictwa od roku 2003 stale rosły, by w 2010 osiągnąć 344% stanu sprzed siedmiu lat tj. kwoty 60 mln 774 tysięcy. Zapewne w tej kwocie poza finansowaniem działalności bieżącej jest także odnowa zabytków oraz różnego rodzaju rewitalizacje urbanistyczne. Niestety od roku 2011 wydatki te są zmniejszane. Mimo dużej dynamiki wzrostu w wydatkach na kulturę i ochronę dziedzictwa narodowego nasze jednostki samorządu łącznie w przeliczeniu na jednego mieszkańca wypadają słabo i znajdują się na 14 pozycji wśród regionów w Polsce z kwotą 155,86 zł. Trzy regiony z najwyższymi wydatkami mają kwoty powyżej 200 zł w przeliczeniu per capita.

Jak widać z powyższych danych mimo więcej niż trzykrotnego wzrostu kwot przeznaczonych na kulturę jesteśmy jako wspólnoty samorządowe gorsi w relacji do większości regionów. Poziom, z którego wystartowaliśmy dziesięć lat temu był mizerny, a udział poszczególnych gmin i powiatów w tych wydatkach jest bardzo zróżnicowany.

Chciałbym teraz powrócić do początku moich refleksji, gdzie biblioteki, książki, „teksty kultury” stawiam najwyżej wśród innych działań kulturalnych w gminie. W Polsce jest 9 gmin, które nie realizują zadania ustawowego polegającego na prowadzeniu biblioteki gminnej. Dwie z nich są w naszym województwie. Jest to wyjątkowa pod względem walorów historycznych Wiślica oraz Moskorzew.



Tam nakłady na działalność biblioteczną służącą mieszkańcom gminy są zerowe. W dwunastu gminach wydatki z budżetu na bibliotekę nie przekraczają 10 złotych w przeliczeniu na jednego mieszkańca, a w kolejnych trzydziestu siedmiu – 20 złotych na jednego mieszkańca.

Podobnie mizernie wyglądają w tych budżetach kwoty przeznaczone na zakup zbiorów bibliotecznych. Pięćdziesiąt sześć gmin wydało na ten cel w 2012 roku nie więcej niż 1 zł w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Są gminy, które zdaje się, nie rozumieją na czym polega tworzenie oferty bibliotecznej i na wspomnianym wyżej cel przeznaczają per capita 12–15 groszy. Dotyczy to Bodzentyna, Pawłowa i Osieka. Na tle tych przypadków "dbałości" o kulturę słowa i języka gmina Krasocin prezentuje się znakomicie z kwotą 4,14 zł na mieszkańca czyli prawie 45 000 zł wydanymi na zbiory biblioteczne w roku ubiegłym. Jak obserwuję często, zamiast bibliotek i książek prawdziwym bohaterem w niejednej gminie jest kostka brukowa, którą pokrywa się obficie ryneczki, chodniki, parkingi etc. Przy czym w tych nowatorskich projektach każdy rynek jest podobny do wyremontowanego nieco wcześniej.

„Hitem” ostatnich lat, w ramach czynionych oszczędności budżetowych jest likwidacja samodzielności bibliotek na rzecz różnych ośrodków, a zwłaszcza „centrów” kultury. Bo jak wiadomo kultura musi mieć swoje centrum nawet tam, gdzie nie ma go stolica gminy. Poza tym skoro słowo „centrum” osiągnęło szczyt popularności nie tylko w „centrach handlowych” ale w „centrach płytek ceramicznych” oraz „centrach farb i lakierów” – to niech i gminna kultura ma swoje „centrum”. „Biblioteka” brzmi dumnie w Danii, Norwegii czy Wielkiej Brytanii. U nas nie. Zresztą tak naprawdę nigdy nie była ważna w tzw. polityce kulturalnej gminy.

Ciekaw jestem, czy za lat kilkadziesiąt, sto zostaną z kultury polskiej książki i pamięć o autorach, którzy dziś powinni spotykać się z czytelnikami w bibliotece, czy też podziwiać będziemy resztki placów z kostką brukową, jako osiągnięcie pierwszych lat po stowarzyszeniu się naszej Ojczyzny z Unią Europejską.

W tej rywalizacji nie stawiam na kostkę brukową nawet złamanej złotówki. Przyszłość należy do tych, którzy myśleniem roztropnym poprzedzają podjęcie decyzji. Wtedy nawet w skromnym budżecie jest miejsce na wydatki służące prawdziwej działalności kulturalnej i środki na książki służące rozwojowi młodego pokolenia mieszkańców. Właśnie tak rządzą między innymi samorządowcy w małej gminie Radków w powiecie włoszczowskim.

Około połowa gmin w świętokrzyskiem zaczyna dostrzegać sens inwestowania w bibliotekę. Może nadchodzi czas budowy bibliotek po wybudowaniu infrastruktury sportowej, drogowej etc. Jednak tendencja modernizacyjna ma zasięg nie większy niż 50% liczby bibliotek gminnych. Gdyby tak jeszcze dotarła do naszego bibliotekarstwa gminnego odpowiednia polityka kadrowa władz samorządowych i skończyło się organizowanie tych instytucji w oparciu o jeden etat, a czasem tylko o jego połowę, przy utrzymywanych jednocześnie wieloletowych ośrodkach lub „centrach” kultury.

To biblioteka powinna być instytucją kulturotwórczą w gminie. Nie będzie nią dopóki z oszczędzania na bibliotece rodzą się decyzje o budowaniu lodowisk dla nieistniejących drużyn hokejowych, dopłatach milionowych do złej, kosztownej struktury szkół w gminie i dziwnych ośrodków kultury, gdzie stoją dwa komputery oraz stół do gry z piłkarzykami na sprężynkach.

Jacek Małachowski kanclerz wielki koronny*

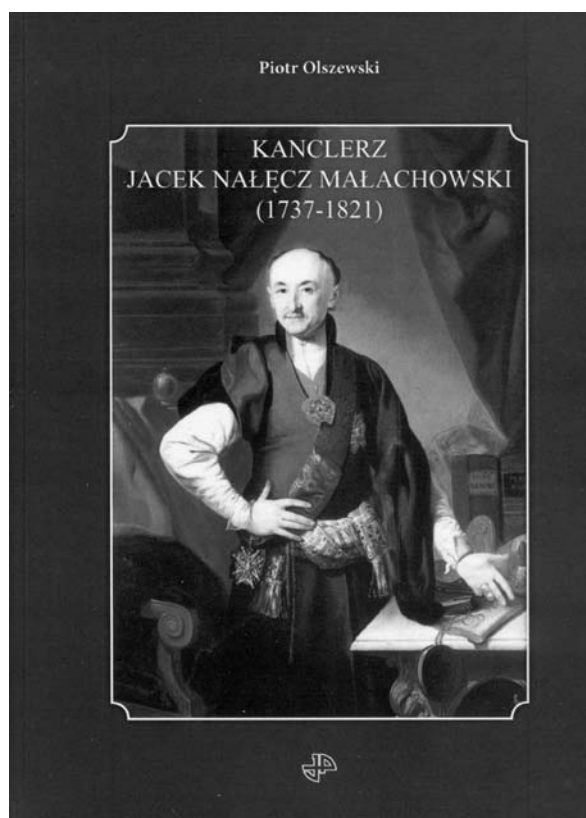
Piotr Olszewski, to postać w naukowym i kulturalnym krajobrazie Kielc wyjątkowo barwna i interesująca. Z wykształcenia historyk, lecz nie taki zwyczajny, o którym można by napisać: „z zawodu historyk”, choć byłaby to prawda. Tyle, że prawda niepełna. To niepoprawny entuzjasta historii, zakochany w dziejach narodowych, a zwłaszcza Regionu Świętokrzyskiego. Przy tym obieżyświat, który zwiedził ponad osiemdziesiąt ciepłych i zimnych krajów świata. W wielu miejscach na kilku kontynentach był parę razy. Jako nauczyciel historii, a jednocześnie wnuk więźnia obozu w Auschwitz postanowił przed laty, że co roku z klasami maturalnymi będzie odwiedzał Ziemię Świętą oraz Yad Vashem w Izraelu. Przyrzeczenie spełnił; był tam już kilkanaście razy. Każdy uczeń chciałby mieć takiego nauczyciela!

Kiedy wobec tego miał jeszcze czas, by zrobić doktorat, oczywiście na temat swojego ukochanego regionu? To jego tajemnica, chociaż chyba sprawa jest oczywista. Przecież powiedzieliśmy wcześniej, że to człowiek, który wszystko robi z entuzjazmem, lub, jak kto woli – z pasją. Zresztą w tej chwili jest w domu chwilowo nieobecny; na miesiąc lub półtora wyskoczył z ekspedycją do Kaszmiru.

Właśnie jestem po lekturze niezwykle interesującej książki autorstwa doktora Piotra Olszewskiego *Kanclerz Jacek Nałęcz Małachowski (1737–1821)*. To kolejna ważna pozycja kieleckiej Agencji „JP”, czołowego w województwie wydawnictwa specjalizującego się w tematyce regionalnej. Jacek Pernal i Ryszard Garus od ponad dwudziestu lat wydają książki, wzbogacające wiedzę czytelników o Regionie Świętokrzyskim.

Kanclerz Jacek Nałęcz Małachowski (1737–1821), to praca doktorska Piotra Olszewskiego poświęcona życiu i działalności postaci zastrzeżonej dla rozwoju gospodarczego ziem polskich. We wstępie książki Autor zacytował skądinąd znakomitego Juliana Bartoszewicza, który niczym ks. Benedykt Chmielowski w *Nowych Atenach (...koń jaki jest każdy widzi...)* napisał o gospodarczych dokonaniach kanclerza Małachowskiego w *Encyklopedii powszechnej* z 1864 roku:

Na tej drodze, nie wiemy, czy położył, bo nie nasza rzecz o tym sądzić, ale starał się położyć rzeczywiste względem Rzeczypospolitej zasługi.



Zatem Piotrowi Olszewskiemu nie pozostało nic innego, jak sprawę naukowo zbadać, opisać i wyjaśnić: („) położył, czy tylko się starał („). Jak napisał sam Autor, jego celem było *wydobycie z zapomnienia i przywrócenie właściwej rangi postaci Jacka Małachowskiego*. Dla Piotra sprawa tym ważniejsza, że kanclerz był jego krajanem, pochowany jest w rodzinnym Ćmielowie. To miasto zawdzięcza rozwój Małachowskiemu, który nie ma w nim nawet ulicy swojego imienia. Widzimy tu, że poza względami czysto naukowymi, zadziałała u Piotra Olszewskiego motywacja emocjonalna i lokalny patriotyzm. Dzięki temu powstać mogła książka poważna, mądra i fascynująca – świetna lektura dla każdego zainteresowanego historią.

Dzielo liczy 294 strony i podzielone jest na 5 rozdziałów: – Jacek Małachowski – początek kariery, – Pro publico bono, – Gospodarka przede wszystkim, – Majątek dziedziczny i tenuta, – Końcowy okres działalności. Pracę uzupełniają, co bardzo ważne,

– Słownik terminów, – Miary i jednostki monetarne, – Spis map, tabel i tablic genealogicznych oraz bibliografia i indeks nazwisk. Książka jest bogato ilustrowana: zdjęcia, ryciny, wizerunki osób, mapy, tabele i tablice genealogiczne.

Jacek Małachowski był wybitnym przedstawicielem rodu, który władał dużymi obszarami na terenie Kielecczyny. Urodził się w Końskich, których właścicielem był jego ojciec hrabia Jan Małachowski herbu Nałęcz, kanclerz wielki koronny, gorliwy stronnik Augusta III. Jacek karierę polityczną rozpoczął w wieku 19 lat jako poseł sandomierski. Stronnik Stanisława Augusta, w 1780 roku otrzymał nominację na podkanclerzego koronnego. Jego kariera polityczna wiodła następnie przez członkostwo w Radzie Nieustającej, Komisji Edukacji Narodowej do stanowiska kanclerza wielkiego koronnego w latach 1786–1793. Zatem sprawował najważniejszy w Koronie urząd administracyjny, decydując o istotnych dla państwa sprawach (na tyle, na ile Polska była jeszcze państwem niezawisłym). Miał więc duży wpływ na gospodarkę kraju. W lipcu 1792 roku przystąpił w ślad za królem do konfederacji targowickiej, lecz w roku następnym zrzekł się urzędu kanclerza, by nie przykładać ręki do II rozbioru Polski, choć nie przestał być zwolennikiem orientacji rosyjskiej. Słowniki oraz podręczniki historii lakonicznie podają, że popierał rozwój rolnictwa, założył manufaktury żelaza w Końskich i Bodzechowie oraz fajansarnię w Ćmielowie. Po trzecim rozbiorze dobra Małachowskich znalazły się pod zaborem austriackim, zaś Jacek od cesarza Franciszka II otrzymał tytuł hrabiego.

Wracamy do książki Piotra Olszewskiego, który postanowił odpowiedzieć na pytanie o faktyczną rolę Jacka Małachowskiego w gospodarczych przemianach na terenie Rzeczypospolitej.

Autor zwraca uwagę na dwa przeciwstawne elementy legendy kanclerza Jacka Małachowskiego: pozytywny i negatywny. Pozytywny był jego konsekwentny pragmatyzm, z którego wynikało przekonanie o konieczności orientacji prorosyjskiej, gdyż tylko, jego zdaniem, rynki zbytu na wschodzie gwarantowały postęp gospodarczy Rzeczypospolitej. Pracował aktywnie na rzecz rozwoju rolnictwa i przemysłu. Z drugiej strony przystąpienie do Targowicy przysporzyło mu wrogów oraz stworzyło czarną legendę. Historia oraz tradycja nieporównanie bardziej przychylna jest jego bratu – Stanisławowi, marszałkowi Sejmu Wielkiego. Tak, czy inaczej, Piotr Olszewski wskazuje na niestetychaną pracowitość oraz mnogość dokonań kanclerza Jacka. Dowodzi, że Małachowski swymi osiągnięciami na polu publicznym, jak i gospodarczym mógłby obdzielić kilka życiorysów. Czasy Kanclerza Jacka były dla

naszej Ojczyzny dramatyczne, dla współczesnego naukowca – pasjonujące. A, że trafiło na tak dociekliwego i emocjonalnie zaangażowanego badacza, jakim jest doktor Olszewski, otrzymaliśmy książkę mądrą, pełną arcyinteresujących opisów, nieznanych faktów, a także ciekawostek. Co ważne – choć naukową, to napisaną pięknym i komunikatywnym także dla nie-historyka językiem. Przy tym – książkę bardzo staranną edytorsko.

Ponieważ jednak mamy do czynienia z pracą stricte naukową, więc wypada przytoczyć opinie o niej osób najbardziej kompetentnych, to jest uczonych historyków.

Prof. dr hab. Wiesław Caban wskazując, że głównymi celami pracy P. Olszewskiego jest wydobywanie z zapomnienia osoby Jacka Małachowskiego oraz poszerzenie stanu badań nad gospodarką ziem polskich ze szczególnym uwzględnieniem Okręgu Staropolskiego w XVIII–XIX wieku, konstatuje, że Autor te cele w pełni zrealizował. *Autorowi udało się, dzięki skrupulatnej analizie zachowanych przekazów źródłowych z drugiej połowy XVIII wieku, ustalić najważniejsze przedsięwzięcia zmierzające do rozwoju górnictwa i hutnictwa w jego (to jest J. Małachowskiego – przyp. J. O.) posiadłościach. Te ustalenia mają znaczenie nie tylko w wymiarze regionalnym, ale i w skali ogólnokrajowej. Piotr Olszewski dzięki krytycznemu podejściu do istniejących opracowań oraz przeanalizowaniu odpowiednich źródeł, po raz pierwszy w historiografii najpełniej przedstawił działania Jacka Małachowskiego na scenie politycznej. Praca ta mieć będzie znaczenie nie tylko w zakresie badań nad dziejami regionu świętokrzyskiego, ale stanie się też poważnym przyczynkiem do rekonstrukcji zbiorowego portretu polityków przełomu XVIII–XIX wieku.*

Prof. dr hab. Jerzy Szczepański zauważa z kolei, że omawiana książka jest dziełem niezwykle sumiennym, ale i nowatorskim. Autor latami zbierał rozproszone i trudno dostępne informacje w wielu archiwach i bibliotekach polskich. Trzeba powiedzieć, że wysiłek ten przyniósł doskonałe rezultaty. W przeciwieństwie do wielu prac, w tym regionalnych, powielających często ustalone sądy i opinie, w tym także błędy, praca Piotra Olszewskiego przynosi wiele nowych ustaleń dotyczących nie tylko dziejów potężnego rodu Małachowskich, ale także ich wysiłków na rzecz modernizacji kraju.

Jerzy Osiecki

*Olszewski Piotr, *Kanclerz Jacek Nałęcz Małachowski (1737–1821)*. Kielce, 2013, Agencja JP S.C. Format 24 cm., s. 293.

Bibliotekarz Roku 2012

Od 2006 roku Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Witolda Gombrowicza wspólnie z Urzędem Marszałkowskim oraz Zarządem Świętokrzyskiego Okręgu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich w Kielcach organizuje Konkurs na *Bibliotekarza Roku* oraz *Bibliotekę Roku*. Celem tego przedsięwzięcia jest: aktywizowanie środowisk lokalnych, kreowanie pozytywnego wizerunku bibliotekarza, promocja bibliotek oraz popularyzowanie oferty i nowatorskich rozwiązań w bibliotekach. Konkurs skierowany jest do wszystkich bibliotekarzy oraz bibliotek publicznych z terenu województwa świętokrzyskiego.

Każdego roku czteroosobowa Kapituła Konkursu rozpatruje wnioski i wyłania najlepszych – zwycięzców.

Ogłoszenie wyników odbywa się podczas *Forum bibliotekarzy województwa świętokrzyskiego* organizowanego w ramach ogólnopolskich obchodów *Tygodnia Bibliotek*, którego inicjatorem jest Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich.

W bieżącym roku tytuł Biblioteki Roku 2012 otrzymała Gminna Biblioteka Publiczna w Radkowie, a Bibliotekarza Roku 2012 – kustosz Iwona Kowaleska – związana z bibliotekarstwem od ponad dwudziestu lat, a od 2004 r. kierująca Powiatową i Miejską Biblioteką Publiczną im. ks. prof. Włodzimierza Sedlaka w Skarżysku-Kamiennej.

Doświadczenie zawodowe zdobywała pracując w wy pożyczalni dla dorosłych. Jest kreatywna, otwarta zarówno na ludzi i wyzwania współczesnego bibliotekarstwa. W codziennej bibliotekarskiej pracy ceni profesjonalizm oraz osobiste zaangażowanie. Jest bardzo dobrym organizatorem Biblioteki. Szczególną uwagę przywiązuje do stałej aktualizacji i uzupełniania zbiorów, z uwzględnieniem nowości dla najmłodszych użytkowników. Rocznie do zasobu przybywa ok. 2 tys. materiałów bibliotecznych.

W ostatnich latach podjęta działania związane z poprawą estetyki lokali bibliotecznych oraz dobrym i nowoczesnym wyposażeniem w sprzęt. Dzięki Jej staraniom oraz kreatywności w wielu pomieszczeniach wykonano remonty oraz modernizację filii nr 1 i 2 oraz siedziby Biblioteki. Lokale zostały wyposażone w nowoczesne meble, sprzęt biblioteczny, informatyczny i multimedialny.

Spotkania autorskie, sesje popularnonaukowe, wystawy objazdowe oraz bogata oferta dla dzieci i młodzieży przyczyniły się do wzrostu zainteresowania czytelnictwem.

Inicjuje zadania upowszechniające wiedzę o ks. prof. Włodzimierzu Sedlaku, Patronie Biblioteki, w siedzibie której zorganizowano Izbę Pamięci z licznymi pamiątkami osobistymi i rodzinnymi, eksponatami archeologiczno-geologicznymi, maszynopisami prac autora oraz zbiorem książek i czasopism (ponad 1600 egz.) będących wcześniej własnością W. Sedlaka. W ramach działań upowszechniających wiedzę o Patronie utrzymuje stały kontakt z Joanną Kalisz-Póttorak, jedyną

spadkobierczynią kolekcji Profesora, rodziną zamieszkałą poza granicami kraju oraz uczniami W. Sedlaka (m.in. prof. Józefem Zonem i prof. Marianem Wnukiem), Fundacją im. księdza prof. Włodzimierza Sedlaka,

Imprezy kulturalne i edukacyjne są inicjowane i koordynowane przez dyrektora Kowaleską. Wiele z nich zrealizowane jest dzięki osobistym kontaktom i zaangażowaniu m.in. konkurs ortograficzny pt. *Skarżyski Mistrz Ortografii Polskiej* zorganizowany po raz pierwszy w 2012 r. pod honorowym patronatem Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN (tekst przygotował oraz poprowadził dyktando prof. Andrzej Markowski); konkurs wiedzy o *Patronie Biblioteki*, dla uczniów klas szkół podstawowych i gimnazjów; IV edycja konkursu pn. *Ks. prof. Włodzimierz Sedlak – badacz, naukowiec, odkrywca – sercem skarżyszczanin*. Konkurs cieszy się dużym zainteresowaniem środowiska i jest ważnym wydarzeniem w działalności kulturalnej biblioteki. Sesje popularnonaukowe poświęcone osobom związanym z działalnością księdza profesora m.in. jubileuszowa sesja zorganizowana w 100-lecie urodzin Sedlaka. Biblioteka uczestniczyła w dwóch projektach: wydanie publikacji pt.: *Ks. prof. Włodzimierz Sedlak... „sercem skarżyszczanin”*; w 100-lecie urodzin oraz realizacji filmu pt.: *Włodzimierz Sedlak – człowiek ze Skarżyska*.

Dyrektor Iwona Kowaleska jest także inicjatorką konkursu czytelniczego *Najlepszy czytelnik biblioteki dziecięcej*, którego III edycja konkursu odbyła się w ub.r. Biblioteka skarżyska wpisuje się ogólnopolską kampanią *Cała Polska czyta dzieciom*. Od lat organizuje szereg imprez dla najmłodszych pt. *Czytam, bo lubię*. W realizację zadań pani dyrektor angażuje się osobiście i społecznie. Dbą o profesjonalne przygotowanie przedsięwzięć oraz ich wysoki poziom merytoryczny.

Oprac. L. Talaga i J. Zielińska

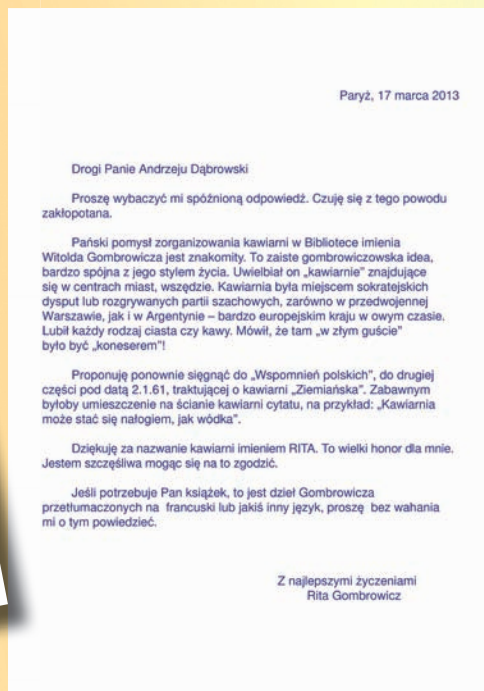
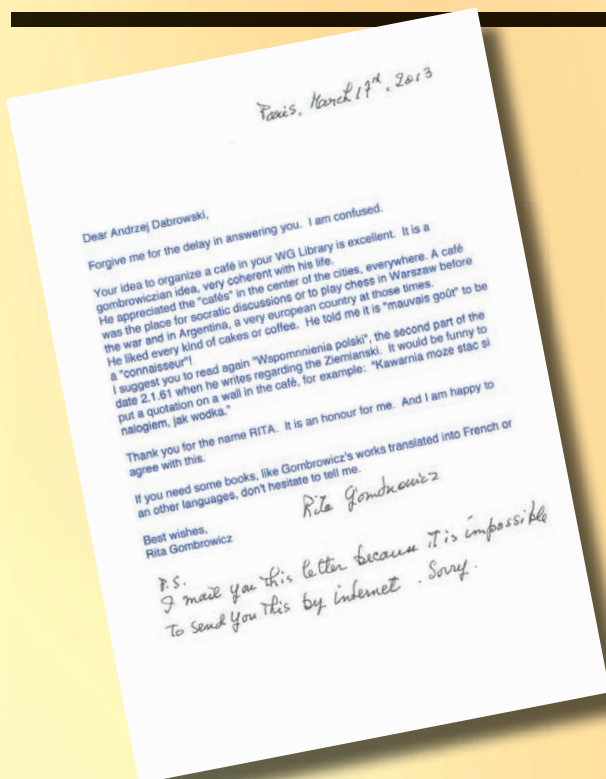


Z prawej Iwona Kowaleska wraz z Magdaleną Hankiewicz – dyrektorką Gminnej Biblioteki Publicznej w Radkowie

„Cafe Rita”

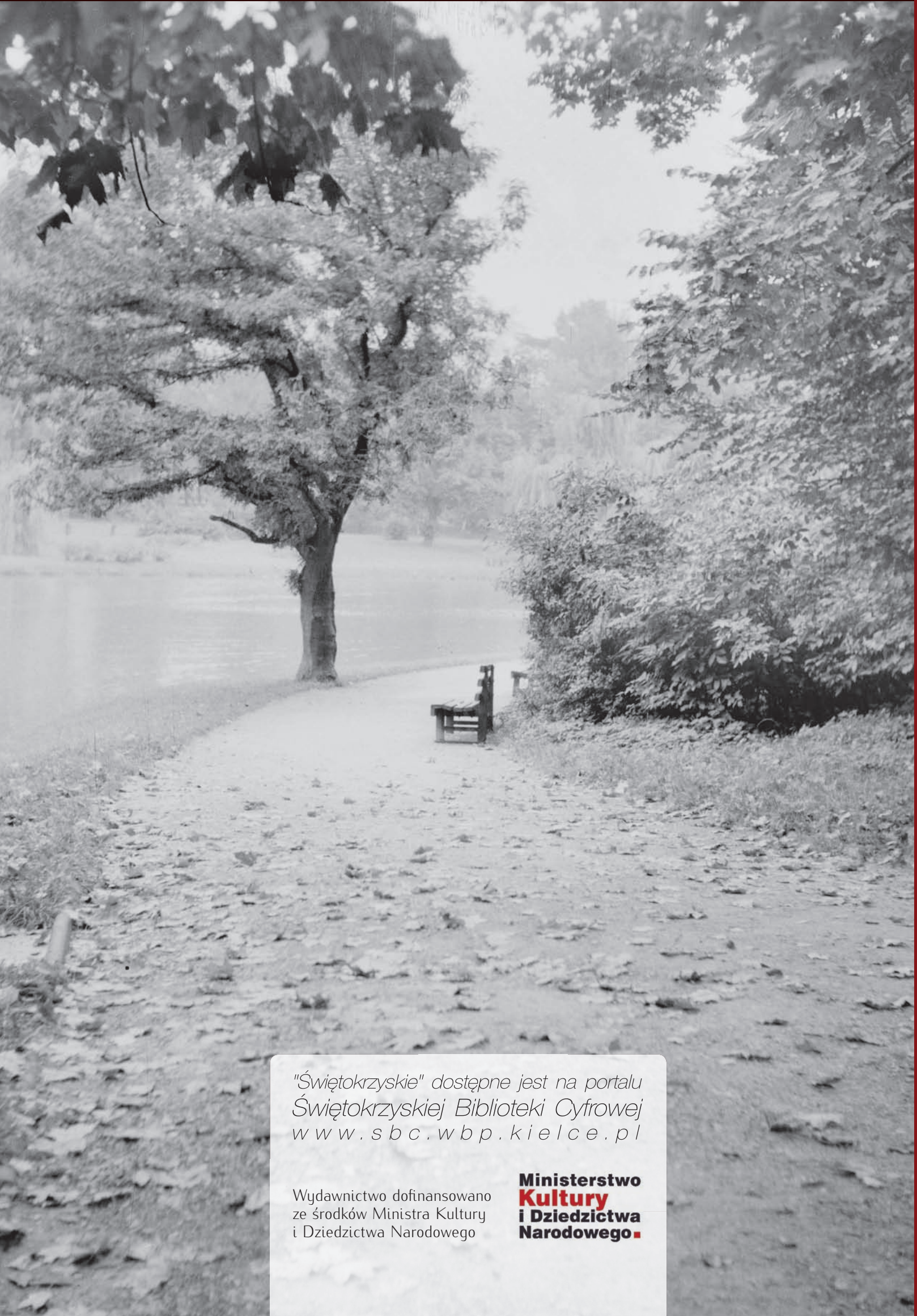
Z początkiem roku 2013 Biblioteka Witolda Gombrowicza stała się jeszcze bardziej gombrowiczowska, powołując do życia kawiarenkę o nazwie Cafe Rita. Mieszkająca w Paryżu żona pisarza Rita Gombrowicz odniosła się do naszego pomysłu entuzjastycznie, przypominając, że pisarz uwielbiał kawiarniane sokratyczne dyskusje i grę w szachy. Lubił kawę i ciasto, nie wybrzydzał, żartując, że byłoby to w złym tonie. We *Wspomnieniach polskich* napisał, że „kawiarnia może stać się natogiem, jak wódka”. Cafe „Rita” już stała się miejscem rozmów i sporów o model współczesnej instytucji kultury, o przyszłość książki i bibliotekarstwa. Jest tu świetna kawa, znakomite ciasta ze spółki Państwa Szabelskich i Rogulów, są szachy, książki Gombrowicza i o Gombrowiczu. Projekt wnętrza przygotował Mariusz Stec, wykorzystując zdjęcia pisarza i jego żony.

Andrzej Dąbrowski



Z okazji XXI edycji Europejskich Dni Dziedzictwa Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Witolda Gombrowicza w Kielcach zaprasza na wystawę zdjęć Janusza Buczkowskiego – znanego fotografa kieleckiego. Tegoroczne Dni obchodzone będą w Bibliotece pod hasłem „Nie od razu Kielce zbudowano”. Na wystawie obejrzyć będzie można fotografie przedstawiające Kielce oraz Kielczan pracujących w fabrykach i instytucjach w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Będą unikatowe fotografie m.in. z Zakładów Precyzyjnych „Iskra”, Spółdzielni Mleczarskiej „Radostowa”, Dymińskiej Fabryki Domów, „Chemaru”, Kieleckiej Fabryki Papieru, Kieleckiej Fabryki Pomp w Białogonie. Na uroczyste otwarcie wystawy zapraszamy we wrześniu do siedziby Biblioteki, ulica Ściegiennego 13.





*"Świętokrzyskie" dostępne jest na portalu
Świętokrzyskiej Biblioteki Cyfrowej
www.sbc.wbp.kielce.pl*

Wydawnictwo dofinansowano
ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**